R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches Centimetres

DANES-PICTA.COM



JAN DES VIGNES ROUGES.

DUSZE DOWÓDCÓW

OPOWIADANIA I ROZMYŚLANIA WOJENNE

TŁUMACZYŁA Z FRANCUSKIEGO
IZA MOSZCZEŃSKA

WARSZAWA 1921.
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

JAN DES VIGNES ROUGES.

DUSZE DOWÓDCÓW

OPOWIADANIA I ROZMYŚLANIA WOJENNE

TŁUMACZYŁA Z FRANCUSKIEGO
IZA MOSZCZEŃSKA

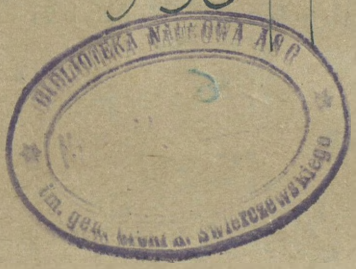
1986



XXXVII.11

WARSZAWA 1921.
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA.

A/ 53077



CZĘŚĆ PIERWSZA

DUSZE DOWÓDCÓW

ROZDZIAŁ I.

PRZYKŁAD.

Wrzesień 1916 r.

Około godziny piętnastej porucznik Weiss rzekł sam do siebie:

— Trzeba mi zobaczyć, jak tam idzie bitwa.

Obok niego, w dziurze od granatu, leżało czterech jego żołnierzy łącznikowych. Z tych dwaj już nie mogli pełnić służby: byli nieżywi. Widział, jak ich woskowe twarze martwiały coraz bardziej, jak gdyby czynność umierania była wysiłkiem, trwającym jeszcze po owej chwili, gdy wśród okrzyków „ach! ach!" wydali ostatnie tchnienie.

Dwaj żyjący jeszcze leżeli bez ruchu obok umarłych, tylko co chwila zwracali zbielałe oczy w stronę porucznika, a gdy ten, wciśnięty w ścianę otworu, wychylał się, by między wyrwami ziemi rzucić okiem do wąwozu, drżeli lekko, oczekując, że każe im zanieść jaką wiadomość do sąsiedniego oddziału.

Ponad otworem przelatywały kule, gwiżdżąc tak, jak gdyby jakiś warjat wywijał szablą młynka w powietrzu.

To trwało już dwie godziny i tyle tylko wiedział porucznik o bitwie, od chwili, gdy na czele drugiej atakującej fali krzyknął: „Naprzód!"

W takich to momentach w duszy myślącego człowieka budzi się tragiczny niepokój: nie może i nie chce zejść do roli istoty ludzkiej, leżącej nieruchomo i zdanej na kaprys pocisku. Jest dowódcą... Chce wiedzieć, rozumieć. Wysila mózg, by wycisnąć z niego rozumne wskazówki postępowania na użytek swych ludzi, swego oddziału. Ale cóż wymyśli? Tutaj na nic się nie zda kombinować idee, z książek czerpane i obracać niemi dla wysnucia logicznych wniosków. Pole bitwy jest białą kartą, na której — niedostrzegalna wzrokiem — rodzi się prawda. A jednak odczytać ją trzeba... Oto jakby mgiełka unosi się tam, w dali, obok rozdartego pnia drzewa; może to niemiecki karabin maszynowy?... A ta linja, którą brałem za bruzdę... ależ tak, nie mylę

się: to nieprzyjacielski okop, widocznie zamaskowany snopami owsa i dlatego nie sygnalizowali go lotnicy. Dalej, trzeba się przekonać... Jakież jeszcze grożą nam niebezpieczeństwa? W tym wąwozie naprzeciwko trzecia kompanja miała walczyć... Teraz widzę tylko trupy... Widocznie wąwóz wzięto pod ogień karabinu maszynowego. Gdzież są ludzie z owej kompanji? Prawdopodobnie, na równi z nami, w wyrwach od granatów. Nic nie widzę!

W tej chwili z dziury sąsiedniej daje się słyszeć głos:

— Poruczniku! Czy pan tutaj?

To ordynans oficera.

— Tak, jestem, Josselyn. Cóż tam nowego?

— Byłem tu na lewo... Widziałem 4-ty pluton... Z tamtej strony Niemcy coś szykują.

Żołnierz zdyszanym głosem usiłuje przekrzyczeć świst kul.

— Poruczniku, poczekaj trochę; gdy te bestje osy przestaną brzęczeć, postaram się wślizgnąć do innej dziury i wytłumaczę to lepiej.

— Nie, Josselyn, siedź, gdzie jesteś; to zbyt niebezpiecznie. Spróbuj krzyczeć i opowiedzieć, co widziałeś.

Ale granat pada za granatem nieustannie... Już nic dosłyszeć nie można. Pod tą nawałnicą każdy z żołnierzy kurczy się, uciekając między zaspy śnieżne.

Naraz porucznik dostrzega cień profilu na krawędzi leja: to Josselyn. Lecz w tejże chwili żołnierz wali się z ramionami wyciągniętemi przed siebie. Głową uderzył w trupa leżącego w głębi dołu.

— Josselyn... Biedny stary! trafili cię...

Czerwona struga płynie z ust żołnierza, który szepce jeszcze:

— Niemcy — kontratak... na lewo...

W tej chwili dowódca musi okazać, że istotnie jest głową swego oddziału. Z tego chaosu grzmotu, pyłu, świstu kul, musi wykrzesać myśl, którą jego oddział wykona, przeciwstawiając ją woli nieprzyjaciela. Weiss energicznie prostuje się i obejmuje wzrokiem teren. O dwieście metrów stąd, za wzniesieniem, widzi czołgające się postaci ludzkie: to nieprzyjaciel próbuje oskrzydlić z lewej strony.

Nawałnica działowa przeszła; świst kul zmniejszył się. Zwraca się do swych łączników.

— Lećcie do 3-go i 4-go plutonu, niech zawrócą na lewo...

W pięć minut później garstka ludzi wynurza się naraz jak z pod ziemi, kierując się na lewo.

— Cóż znowu?! Tylko ich dziesięciu! Nie wytrzymają żadną miarą.

— Drugi pluton jest w rezerwie, ukryty o sto metrów stąd, w wąwozie. Pójdźcie poń" rozkazuje oficer drugiemu z łączników. „Niech tu przyjdą".

Odwróciwszy się, Weiss dostrzega ludzi z drugiego plutonu,

wychylających się po ramiona z przed wąwozu. Oglądają teren, który przebiec mają i wydaje im się zapewne bezpieczny. Głowy ukazują się i znikają na nowo; nie rozumiejąc, jak krytyczne jest położenie, ludzie ci niezawodnie czekają pomyślniejszej chwili, by uczynić skok naprzód.

A tam, za wyniosłością gruntu Niemcy pewno zbierają się i za chwilę ruszą... Drugi pluton musi przyjść natychmiast.

W tej chwili oficer czuje, że w nim skupiła się cała świadomość oddziału. On tylko widzi niebezpieczeństwo w całej rozciągłości; on tylko wie, jak mu stawić czoło. Nie na tem ogranicza się jego rola dowódcy. Oficer doznaje nagłego objawienia swej misji. Tak jak abstrakcyjna idea nie jest zdolna wprawić mięśni w ruch, tak też i jasne pojęcie zadania taktycznego w głowie dowódcy nie starczy, jeśli mu nie towarzyszy siła, pchająca nieodbicie do czynu. Ażeby ci ludzie, stojący w odwodzie, pospieszyli szybko na pomoc, trzeba im bodźca... On go musi wynaleźć! Zwolna oficer prostuje się, staje na krawędzi leja i z całym spokojem, zwrócony do żołnierzy z plutonu posiłkowego, spoglądających nań trochę z podełba, krzyczy:

— Naprzód, żywo! już czas, — nie ma niebezpieczeństwa.

Czeka na nich, jak przewodnik, który wdrapał się na wierzchołek i wzywa turystów, by pospieszyli oglądać nowe widoki.

Cały drugi pluton rzuca się naprzód. Zrozumiano, że oficer, gardząc niebezpieczeństwem, nie padnie na ziemię, póki oni się z nim nie zrównają. Ludzie skaczą z całych sił, by skrócić ten czas, w którym oficer stojąc wyzywa śmiertelne niebezpieczeństwo.

Skoro przybiegli do niego, Weiss padł na ziemię, wskazując ręką wszczęty przez Niemców kontratak. Już można było przyćmić światło myśli, gdyż chodziło tylko teraz o akt brutalnej siły, dla którego starczył ślepy instynkt walenia z rozmachem, wprost przed siebie.

ROZDZIAŁ II.

PRZED BITWĄ.

Ippécourt — 13 lipca 1915 r.

Przyszedłem podumać na tym wzgórku, z którego widzę cały krajobraz w księżycowej poświacie. Tam w dole dręczyła mnie bezsenność, ciążyła mi moja tajemnica... Godzina jedenasta... Cisza panuje we wsi, gdzie nocuje oddział, którym dowodzę. Ja tylko jeden wiem, że za kilka godzin mój bataljon ma ruszyć w stronę, skąd grzmią armaty... Rozkaz poufny, otrzymany wśród dnia, poleca mi o północy otrąbić pobudkę. Przygotowałem wszystko: moi łącznikowi na dany znak obudzą żołnierzy.

Ponieważ ruszamy na hazard bitwy, chcę raz jeszcze, może ostatni, użyć samotności, czyż bowiem dowódca, porwany prądem walki, należy do siebie?

Jakże wzruszająca jest przyroda dziś wieczór! Ta wioseczka nad Mozą, u moich stóp, w której stoi mój oddział, to kaleka z walk jesiennych: trawiły ją pożary, szarpały granaty, a dziś, w bladem świetle miesiąca, walące się mury chat wieśniaczych sterczą melancholiczne i dumne, zrównane w swej niedoli z najszlachetniejszemi ruinami. Rzeka, płynąca doliną, błyszczy w księżycu, niby ognisty miecz archanioła. Na lewo linje krajobrazu spływają w ocean mgły, potęgując wrażenie wzniesienia się ponad przyrodę. Ta noc jest uroczysta, tryumfalna. Jakże miło tak błądzić po nocy! Człowiek ma pełne poczucie swej osobowości; moją napełnia w tej chwili dumne rozradowanie. Poraz pierwszy powierzono mi zadanie samodzielne. Bataljon, obozujący tam w dole, to siła, którą ja mam w ręku; na mój znak zerwie się, niby olbrzymi zwierz, by czołem i pazurami uderzyć tam, gdzie ja go powiodę... Unosi mnie poczucie, że jestem istotą silną wśród wszechświata i że ta siła się wzmaga. Broń mych żołnierzy, ich energja, ich mięśnie, ich mózg nawet, są narzędziami mej woli.

Odczuwam niby zaspokojenie głęboko w naturze ludzkiej tkwiących skłonności, żądzy nieskończonego rozrostu potęgi. Ach! bynajmniej nie łudzę się ani co do mej osobistej wartości, ani co do wagi mego stanowiska; nikt lepiej niż ja nie zna mych słabostek i skromnej roli, na jaką stopień mnie mój skazuje, choćbym jednak był tysiąc razy mniejszą figurą, niemniej posiadam władzę, której pełna świadomość wzrusza mnie do głębi: dowodzę w bitwie! Od najskromniejszego dowódcy do naczelnego wodza, każdy ma udział w tej władzy. Czemże jest każda inna w porównaniu z nią? Majątek, zaszczyty, namiętności polityczne, głupstwo! Małe sposobiki urabiania gliny ludzkiej! Nawet mądry doktór, objawiający swoje prawdy olśnionym słuchaczom, nie jest istotnym władcą ludzkich stworzeń... Ten tylko zasługuje na to miano, który może nakazać śmierci, by kosiła.

Jakże bezwzględnie zdany jest żołnierz na wolę wodza... Moi ludzie w tej chwili śpią spokojni; w moje ręce złożyli swój los. Za chwilę wydam rozkaz: „Wstać!“ Wstaną. „Idźcie naprzeciw śmierci!“ Pójdą... Raz na zawsze przekazali mi obowiązek myślenia za nich. Jeśli bataljon jest istotą żyjącą, ja jestem jej mózgiem. W dolinie cisza niezmącona żadnym szmerem. Wioska wydaje mi się stąd tak maleńka, jak gdybym mógł ją wziąć w garść, niby kamień i rzucić w przestrzeń... Błądząc tu, na tej wyniosłości, rosnę we własnych oczach. W dali ponad czarną linją Argońskiego lasu — tam, gdzie się biją — raz, za razem wznoszą się oświetlające rakiety, a gdy się wzbiją do góry, patrzą na mnie okiem czerwonem i żółtem. Cała duma, błyszcząca na czołach wielkich wodzów historycznych, rzuca na mnie odblaski dziś wieczorem... Nieustanny grzmot dział — wciąż ten sam od kilku miesięcy — przypomina dalekie szczekanie psa, wietrzącego śmierć.

Niebawem myśli moje bieg swój zmieniają... Obracam się

w stronę Verdun... widzę bezkresną perspektywę pól... Ponad zbożowe pola sterczą drewniane krzyże na grobach poległych jesienią... Tylko nowe drewna, złożone w znak święty, błyszczą biało w świetle księżyca... Wydają mi się stadem mew, skamieniałych nad morzem falujących kłosów...

Jakąż siłę przyciągającą posiadają owe mogiłki poległych! Nie osłabia jej wcale nawyknienie, choć nie można ruszyć krokiem w tej okolicy, by nie napotkać grobów. Nie zdarzyło mi się, aby bataljon zatrzymał się nade drogą, a ci i owi nie poszli w zamyśleniu obejrzeć miejsca, gdzie spoczywają ci, co szli przed nimi. I ja przecież wiem, że te mogiły są wszystkie takie same: krzyż drewniany, cztery kołki, połączone drutem, strzępy ubrania, odłamki granatu — a jednak coś mnie do nich ciągnie niepowstrzymanie. Nigdy ich mistyczne wezwania nie były tak silne, jak dzisiejszego wieczora. Zbliżam się do krzyża, z którego zwisa strzęp krawata, jakgdybym miał odkryć jakąś tajemnicę.

Wiekuisty smętek mogił! Dusza moja nasiąka nim i myśl zwraca się ku nowemu przedmiotowi. Wobec zagadki śmierci, najpospolitszej lecz najpotężniejszej ze wszystkich, ogarnia mnie osobliwe pragnienie zrozumienia w pełni, w całości tej chwili, w której żyję jeszcze.

Już mi nie starczy, że jestem dowódcą, któremu inni powierzyli siebie samych, by stać się godnym tej roli; czuję, że powinienem rozumieć coś więcej, czego nie zdołam określić dokładnie... Och! jakże zazdroszczę tym przyszłym poetom, którzy zwolna chłonąć będą echa obecnej epopei i zwiążą je we wzruszającą a logiczną harmonję. Ja jestem jak człowiek, wepchnięty w ciżbę jarmarczną, słyszę wciąż urywki zbyt bliskiej lub zbyt odległej muzyki i dręczy mnie to, że nie mogę objąć wielkiej symfonji, wcielenia nowego piękna i nowej mądrości.

...Tu są umarli... W pewien upalny dzień wrześniowy, pełen bitewnego zamętu i sławy, ludzie, drgający życiem, wdzierali się na ten grzbiet. Pochodzili z południowej Francji; poznaję to po numerach czapek. Jakaż siła wyrwała ich z głębi prowincji i rzuciła w te doły, w których gniją? Niewątpliwie, nazywamy to patryjotyzmem, lecz szukam w tym wyrazie, skąd bije źródło żywe:

Przed chwilą szczyciłem się, że jestem mózgiem mego oddziału... zdawało mi się, że trzymam w ręku ster tej cudownej maszyny, którą zowię—mój bataljon. Złudzenie. Jeśli na chwilę zagadnienie posłuszeństwa przeniosę z pola wojskowości na pole filozoficzne, staję zdumiony; spostrzegam naraz, że życie mego oddziału jest dla mnie pełne tajemnic.

Jeszcze dziś wieczór obserwowałem mych żołnierzy przy „zupie"; byli tacy naturalni, weseli, jak proste stworzenia, rade z dokonanego wysiłku. Są to ludzie tacy, jak wszyscy, z tej samej „gliny". Zupa, wino, spokojny kąt na nocleg — to ich codzienne troski.

Zbyt blisko z nimi żyję, by móc w miejsce rzeczywistego żołnierza podstawić melodramatycznego bohatera. Jeśli jednak

nie uchodzi mego wzroku żadna małostka mych żołnierzy, to widzę również ich wielkość. Ci ludzie samolubni, bez troski, zaprzątnięci swym apetytem, rozmiłowani w życiu, lękający się ran — toć to jednak ci sami, którzy oddają się na ofiarę najczystszym ideałom. Nawet gdy przyjdzie stoczyć się w taki dół, w którym się śpi na wieki, jak te, które mam pod stopami — i wtedy, jestem pewny, ruszą z radosnem uniesieniem.

Ach! jakże niedostateczne i płytkie wydają mi się w tej chwili wszystkie rozpowszechnione zasady moralnego obowiązku... Czyż Miteux, podrzutek, Tatisse, stary chłop, zbydlęcony dwudziestoletnią wytężoną pracą, rozumowali nad tem, co to jest obowiązek? Czy przez wyliczanie wszystkich „pobudek", jak honor, miłość gniazda rodzinnego, suggestja społeczna, potęga wychowania, zaraźliwość myśli... ogarnę tę drżącą życiem wielką całość, jaką będzie mój bataljon za chwilę, gdy wydam rozkaz: „Naprzód, marsz!"?

Posłuchajmy umarłych! Niech rozum umilknie na chwilę; napróżno błądziłby on w ciszy grobów... niech uczucie wzbiera... Jakież wzniosłe wniebowzięcie! Zdaje się, że zanurzamy się w tajemnicę, ale wtedy słowa wyjaśniające tracą wszelkie znaczenie. Dreszcz, uczucie, to jedyny środek odkrywania prawdy.

Umarli, tu pochowani, leżą bez ruchu, nieruchomością nieskończenie dramatyczną, gdyż jest niby natężeniem, trwającem wiecznie. Ich fizyczna osobowość rozprzęgła się, tak, lecz wola ich pozostała rzucona w przestrzeń; pod kopcami mogił, zdaje mi się, że widzę mięśnie trupów jeszcze stężałe w wysiłku, jak ruch bohatera zaklęty w posąg marmurowy.

Dla nich wielka wrześniowa bitwa trwa ciągle... Ponad Verdun wielkie smugi światła błądzą po niebie, niespokojne i drżące. Czy to był blask reflektorów, czy odbicia strasznej bitwy? Czuję, że poza całym tym ciemnym widnokręgiem, pręgowanym świetlnemi rakietami, jakaś olbrzymia potęga, porwana burzą, potrząsa światem, napełnia powietrze elektrycznemi falami... uderzają na się bezimienne tytaniczne siły...

Wielkie abstrakcyjne idee: wolność, sprawiedliwość, wcielone w ojczyzny i zbrojne chmary wojska, zostały napadnięte przez inne idee potworne, wcielenia gwałtu i nienawiści, a groza mordu napełnia góry i doliny, jak krzyk trwogi w ciemną noc. W opętaniu, w halucynacji, ludzie pędzą na śmierć... ideał walczy o życie... zwycięży... Walczy bez wrzawy... wkoło mnie głęboka cizsa, ale ja blady jestem i drżę, bo fale bitwy płyną nademną.

Bądźmy pokorni! Czemże ja jestem w tym wirze, który porywa nawet umarłych? Przed chwilą zdawało mi się, że panuję i pojmuję. Marność! Jestem tylko zdźbłem, unoszonem przez nawałnicę... a jedyną moją zasługą, jako wodza, jedyną wyraźną mą cechą jest to, że silniej na mnie działa ten pęd posłuszeństwa i obowiązku, który porywa nas wszystkich i że poddaję mu się potulniej. Tak gdy wiatr jesienny, przelatując ponad lasem,

miota zwiędłe liście, jedne, wrażliwsze, zrywają się za pierwszym powiewem i pędzą przed hałaśliwie szeleszczącą kupą — możnaby je wziąć za przywódców, a rzeczywiście ten sam pęd unosi wszystkie zarówno.

Schodzę na dół do wioski; przy moście w świetle księżyca duma żołnierz na warcie. Każę mu iść obudzić łączników. Mój mózg odzyskał zwykły spokój. Teraz jestem już tylko maszyną do wytwarzania kombinacyj taktycznych, wyliczania kilometrów, rozdzielania amunicji, żywności, słomy na noclegi.

ROZDZIAŁ III.

TEN, CO SIĘ SAM NARZUCIŁ.

Październik 1916 r.

Fala ataku wepchnęła tych dwudziestu żołnierzy w napół rozwalony okop. Siedzieli w nim ogłuszeni, oszołomieni, jak rozbitki, rzucone przez burzę morską w nadbrzeżną szczelinę.

Labaraque wychylił głowę ponad belkowanie. Burza działowa minęła; jak daleko okiem sięgnąć, widać było pole, świeżo poryte granatami. Co chwila jednak, niby błyski piany na wzburzonych bałwanach morskich, przemykała się po niej od czasu do czasu postać ludzka i znikała znów opodal.

— Zawsze to samo, mruknął żołnierz skulony w głębi okopu. Przyprowadzą cię; nikt nic nie objaśni; pędzisz, lecisz; dowódcy padną i rób, co chcesz; niewiadomo, co się dzieje.

Ludzie ci przejęci byli takim bezradnym niepokojem, jak jakaś pierwotna horda, grasująca ongiś po puszczy i pozbawiona wodza.

Nocą przywieziono ich na to nieznane pole bitwy, każdy z nich drzemiąc szedł za plecakiem poprzedzającego żołnierza i nie pytał dokąd. Przed atakiem słyszeli wprawdzie, jak starszyzna mówiła o punkcie 2.555 przed rządową leśniczówką lasu Saint Pierre Vaast, o ... pułku, który miał atakować od prawej strony, o pozycjach nieprzyjacielskich baterji. Słowa te odbijały się o uszy żołnierzy jak woda o skały.

A teraz, jakżeby chcieli coś wiedzieć! Niema między nimi ani jednego podoficera... Zostali bez kierunku, bez busoli, uniesieni strasznym wirem bitwy. Lada chwila zerwie się znów wściekły huragan granatów, wyrosną z ziemi zdradzieckie karabiny maszynowe.

Co począć? Co wymyślić?

— A ja wam mówię, zapewniał Gaslin, że szwabskie okopy są tam, na tym stoku — a francuskie w wydrążeniu wąwozu. Uderzą nas wzdłuż...

— Cicho bądź — idjoto! odparł Fabre. Mówię ci, że wi-

działem czwartą kompanję, jak co dopiero szła naprzód aż do owego lasku na prawo. To my wystrzelamy tych batiarów.

— Ja myślę, zaproponował inny, że rozsądniej byłoby usadowić się jako rezerwa z tyłu, po drugiej stronie zbocza.

— A jakże! jeszcze czego! mają nas wziąć za tchórzów?

Inni żołnierze milczeli, bierni, zrezygnowani. W oddziałku zapanowała anarchja: „Idźmy naprzód". „Cofnijmy się", „ruszajmy na prawo", „zostańmy". Wszystkie projekty wyczerpano, nie przyjęto żadnego. Oto dwudziestu żołnierzy skazanych na bezczynność, straconych dla bitwy, jeśli wśród nich nie wybłyśnie myśl, która ich zorganizuje.

Ale oto działa już tajemnicza siła, która stwarza wodzów. Rzuciła siew w duszę Labaraque'a. Jakże tragicznie zmaga się, nim zrodzi czyn. W tym młodym, wątłym, nieśmiałym żołnierzu odzywa się naraz zmieszany chór, głosy wszystkich jego dalekich przodków: tęgich chłopów, rzutkich kupców, surowych urzędników, oficerów nawykłych do rozkazywania. Wszyscy oni zaczynają żyć w tej duszy, przyodzianej w mundur. Trzeba wodza: oto najpilniejsza sprawa, wspólne pożądanie całego oddziału. Dalejże! powstań chłopcze! Zapomnij, że masz lat osiemnaście. Ty jesteś powołany do rozkazywania. Ocknij się w poczuciu siły, którą nagromadziły w tobie wieki dziedziczności i lata nauki! Miłość Ojczyzny, poświęcenie, sława, rozum, wielkość, szlachetność: oto pojęcia, które ci zaszczepiono w krew przez wychowanie i naukę. Niechże te słowa ciałem się staną, niechże myśl czynem zakwitnie. Młodzieniec, który w ławie szkolnej marzył o laurach Juljusza Cezara, niechaj zacznie od objęcia komendy nad dwudziestu żołnierzami.

Tam, na prawo przemykają cienie. Zdaje się, jakoby to byli Francuzi, gotujący się do nowego ataku. Labaraque sądzi, że widzi okopy niemieckie, teraz w takim umieszczone kierunku, że możnaby je oskrzydlić. Jeśli tak, to oni, w dwudziestu ludzi, mogliby spełnić ważne zadanie w tym nowym ataku. Niechaj tylko we właściwej chwili zrobią skok naprzód, dadzą ognia, a napewno spłoszą nieprzyjaciela, zajmującego grzbiet wzgórza.

Aż pot go oblewa, gdy wysila się to wszystko sobie jasno przedstawić. W umyśle jego budzi się pojęcie niezłomnej, strasznej powinności i narzuca się z siłą nakazu. Więc cóż? Zerwać się i oznajmić towarzyszom: „Obejmuję komendę, wiem, co robić. Słuchajcie mnie. Naprzód wiara!" Straszna odpowiedzialność, myśl ryzykowna... Nie, nigdy się nie odważy. Chciałby się modlić: „Boże, spraw, bym nic nie widział, nic nie rozumiał... bym był jak drudzy, nieświadomy i bezradny".

— Drwię sobie z tego, oświadczał Boichaux, grzebiąc w swej jamie po granacie. Robiło się, co się mogło; czyż nie? Kiedy już niema podoficerów, nie pozostaje nic innego jak czekać nocy, a potem wymknąć się w stronę traktu. To jedyny sposób, by się niedać złapać do niewoli.

— Może ma on i rację Boichaux, stary żołnierz; ma doświadczenie. Trzeba milczeć, — pomyślał Labaraque.

Naogół jednak oddział wahał się. Mozoliły się mózgi nad pogodzeniem przeróżnych sprzeczności, które się w nich kołatały: obowiązek, roztropność, bij Niemca! — a jednak nie dać sobie przedziurawić munduru. We wszystkich umysłach zapanowały mroki nocne.

Drobny wypadek zwiększył tylko zamęt. W pewnej chwili zdyszany żołnierz stoczył się do dołu. Był to zbłąkany łącznik. Na brudnym skrawku papieru, który trzymał, odczytali żołnierze niezrozumiałe zdanie: „Rozkaz № 18. pułk .....y kierunek: narożnik lasu Saint Pierre Vaast... zajść na lewo w łączności ..... ruszyć po danym sygnale... atak na 16-ą godzinę".

— Widzicie tedy, wyjaśnił Fréjon. Nic sobie z tego nie róbmy. Papierzysko mówi: „atak na godz. 16-ą". Jest 17-a. — Odłożono. Nie ruszajmy się z miejsca. „Inni żołnierze byli przeciwnego zdania. Nagle z grzbietu wzgórza zagrzechotały karabiny maszynowe.

Jednym skokiem zerwał się Labaraque, podniósł głos donośny, rozkazujący.

— Chłopcy... nasze kompanje atakują tam wzgórek od południa... Muszą się wdzierać na stromy stok. Niemieckie maszynki mogą im zagrodzić drogę. Nacierając stąd możemy te maszynki wziąć z boku. Dalej! Naprzód!" Upragniony promień światła błysnął. Wszystko stało się naraz jasne, oczywiste, nakazane. Zrodził się wódz. Ludzie poczuli kierownictwo; ufność wstąpiła w dusze. Na komendę wypadł cały oddział z wyrwy, utworzonej wybuchem granatu i ruszył śladem młodzieńca.

Oto tak zdobywa się naszywki kapralskie tam, w stronie Boucharesnes.

ROZDZIAŁ IV.

PAN I NIEWOLNIK.

W Argonnach, sierpień 1915.

Dla zapełnienia godzin wieczornych, które mieliśmy spędzać w kwaterze komendy, ja i mój major zabawialiśmy się rozmową o tych subtelnych wrażeniach, które przeżywamy nieraz w charakterze dowódców.

— Proszę cię — rzekł mi naraz — pokazując mi otwarty notes, przeczytaj te kartki mego dziennika; czyż nie jesteś mym przyjacielem, przed którym nie mam tajemnicy?

Czytałem tedy:

„Zdaje mi się, że dziś żywiej niż zwykle uświadamiam sobie cierpienie moralne, które mnie trawi... Gdy przed dwoma miesiącami doniesiono mi o śmierci Toli, miałem prawo pogrążyć się w gwałtownej boleści. Czyliż nie straciłem w niej ukochanej to-

warzyszki, która życie me uczyniła rozkosznem upojeniem? Widzę jeszcze tę złowrogą scenę. Było to wieczorem, a kule zawzięciej niż kiedykolwiek świstały ponad kwaterą dowództwa, w której już od kilku miesięcy czuwałem nieustannie. Godzina była dziesiąta. Skutkiem otrzymanych raportów musiałem być tejże nocy przygotowany na nieprzyjacielski atak; zebrani wkoło mnie oficerowie mego bataljonu otrzymali odemnie instrukcje. Wtem goniec oddaje mi depeszę... przerwałem odprawę i przeczytałem. W tej chwili płomień świecy zdał mi się tak żółty, jak światło gromnicy przy katafalku... Dno mej ziemianki zdawało się usuwać i otwierać jak przepaść... stałem... Instynkt odwieczny popychał mnie do zwykłych gestów rozpaczy. Już chwiejące się nogi miały się ugiąć podemną, już ramiona zrywały się do tragicznego błagalnego gestu ludzi, nieszczęściem rażonych, wznoszących złożone ręce do nieba, już łzy miały trysnąć z mych oczu...

„Lecz gdy nagle podniosłem głowę, ujrzałem mych oficerów, rozważających moje ostatnie słowa, pochylonych nad mapą. Jeden z nich — w pełnym rynsztunku — spieszył stąd do okopów.

„Jakaż dziwna i okrutna siła skrępowała mnie w tej chwili? Spokojnym ruchem położyłem na stole depeszę i głosem pewnym, rozkazującym, wydawałem dalej polecenia; zdawało mi się, że we mnie ktoś obcy wstąpił przemocą i przemawia przez moje usta.

„Gdy skończyłem, ta sama osobliwa siła, która mnie opanowała, narzuciła mi jakąś klasyczną reminiscencję; ze stoicyzmem tego generała, o którym pisano w gazetach, oświadczyłem:

„Panowie, z boleścią oznajmić mi przychodzi, że otrzymałem wiadomość o śmierci mej żony... Możecie wrócić na swe stanowiska... dziękuję wam...

„Przez całą noc trwało pogotowie. Moje łączniki opuszczały mnie na to tylko, by roznosić moje rozkazy... Co chwila wywiadowcy komunikowali mi nowiny.

„Kilka dni trwała ta nieustanna groźba ataku, niesłychanie dręcząca dla dowódcy... Przez cały czas musiałem, jak każdy komendant odcinku w podobnym wypadku, trwać na swem stanowisku; podniecać energje, powściągać zuchwalstwo, usuwać niepokój, przewidywać tysiące żądań, któremi nas zazwyczaj zasypują: „Proszę o dostarczenie mi amunicji". „Nie otrzymałem żywności". „Braknie nam worków z piaskiem".

„Niekiedy w napadzie dzikiej rozpaczy pragnąłem otrzymać rozkaz ataku. Upragnioną była mi ta chwila, gdy się pędzi ku sławie lub wiecznemu zapomnieniu! Czy jednak miałem prawo narażać się, zanim ten moment uroczysty nadejdzie? Czyż życie moje nie należało do tych, którzy we mnie, jako dowódcy, położyli zaufanie?

„Po tych dniach niepokoju chciałem zapłakać. Zdumiewające!

„Boleść nie zdołała znaleźć ujścia ze ściśniętego serca. Jeszcze trzymała mnie w kleszczach ta tyrańska wola, która mnie opanowała. Zwiedzałem okopy; ludzie moi szczycili się tem, że

pod gradem pocisków zachowali hart i wytrzymałość. Byli zadowoleni, żartowali, baraszkowali, śmieli się... Jakżebym mógł okazać wśród nich twarz smutną?...

„Od tego czasu zdaje mi się, że się zasklepiłem; nadaremnie torturuje mnie wyrzut, że pamięci mej najdroższej nie składam należnego hołdu; nie jestem w stanie dać ujścia swej boleści, które przyniosłoby mi ulgę razem z cierpieniem.

„Czasem zdaje mi się, że w końcu zaznam tajemniczej rozkoszy łez... Zdarza się, iż budzę się nagle nocą... Ziemianka moja jest pełna grozy, serce moje wali jak siekiera drwala, rozlegająca się echem po szerokim lesie... Czuję w około siebie straszne osamotnienie. Wzywam wtedy ukochane widziadło, by mi przyniosło pociechę. Nic się nie zjawia, dusza moja smutna i bezradna, jak zbłąkane dziecko, które z płaczem pada u stóp drzewa. Zapalam świecę... Znowu mi się wydaje, że wszyscy moi żołnierze gromadzą się w koło mnie i zdziwieni przyglądają się, jak szlocham i płaczę. Bezwiednie prężą się mięśnie mej twarzy, a twarz okrywa się maską wodza, zimną, jak stalowe narzędzie.

To trwa już dwa miesiące. Czuję, niby żelazny nakaz wewnętrzny, powinność ukrywania mego cierpienia przed podwładnymi. Nie narzuca mi tego stoicyzmu bynajmniej głupia obawa ośmieszenia się. Wiem doskonale, że niema ani jednego między mymi żołnierzami, któryby moją boleść przyjął złośliwemi drwinami...; wszyscy oni kochają mnie; jestem nawet pewien, że przejęłoby ich głębokie współczucie; czyż może być bardziej wzruszający widok, niż widok płaczącego mężczyzny, którego widywało się zawsze niewzruszonym i panującym nad sobą? Wiem jednak także, że po tym wylewie sympatji w mózgu ich dokonywałaby się zwolna pewna zmiana; zmąciłoby się ich wyobrażenie o mnie. Niezależnie od mej woli, pod wpływem mnóstwa codziennych nawyknień, suggestji i przeżyć, w pojęciu mych podwładnych zjawiam się w postaci, klasycznie uproszczonej—jestem dowódcą, czyli wolą rozkazującą, istotą zimną, spokojną, energiczną, niepobłażającą słabostkom, narzucającą niezbędny przymus. A oto i ten człowiek podlega rozterkom i upadkom ducha! Jak każdy inny jest ofiarą uczuć, które ujarzmiają myśl i wolę!

Piedestał rozsypuje się w gruzy!

„Nietylko jednak ten wzgląd utylitarny nakazuje mi krępować się dla utrzymania powagi. Czyż nie mógłbym dać upustu łzom, gdy jestem sam? Zdaje mi się jednak, że nie mam prawa strwonić ani cząsteczki mych sił na rzecz mej osobistej boleści. Gdybym raz zachwiał się w postanowieniu pozostania niewzruszonym, czyż wola moja, oswobodzona od przymusu, byłaby zdolną do natężenia?

„Nawet gdy jestem zdala od mych podwładnych, czuję, jak ich myśl natarczywa płynie ku mnie; z ziemianek, w których nocują, z posterunków, na których czatują, z okopów, które drążą

w ziemi, nieustanne biegną ku mnie wezwania... Tysiąc subtelnych, a nierozerwalnych więzów łączy mnie z nimi; wszystkie punkty odcinka, niby żywe istoty, do mnie się zwracają po światło i życie.

„Daremnie chciałbym się odosobnić, być zwykłym biedakiem, który żali się po ludzku... Jakżeby mi było dobrze pogrążyć się w śmiertelnej tęsknocie! Dusza moja rozpłynęłaby się w przyrodzie: drzewa, rośliny, ptaki, owady uczestniczyłyby w mym smutku, a z ziemi płynąłby żałosny hymn, któryby mnie koił łagodnie i słodko.

„Ale mnie nie wolno tak się poddawać i zapominać; ludzie moi nie powinni widzieć na mej twarzy świeżych śladów łez. Już i tak mają zbyt wiele pobudek do smutku, nie mam prawa dodawać im jeszcze jednej. Oni oczekują odemnie podniety do pogodnego podjęcia niezbędnych ofiar i wysiłków.

„Gdy są weseli, chcą bym ich radość podzielał; gdy niespokojni, ja mam ich pokrzepić ufnością; gdy się boją, chcą bym im dał przykład odwagi. Takie jest prawo. Moja osoba jest posągiem, który oni swą myślą i wolą modelują. Gdybym się przeobraził wbrew ich potrzebom i pragnieniom, popełniłbym zdradę. Czyż martwy materjał, który ręka artysty przerabia na dzieło sztuki, ma prawo buntować się przeciw swemu świetnemu przeznaczeniu? Takim jest mój los! Memi myślami, uczuciami, gestem, głosem, spojrzeniem, wyrazem twarzy — muszę dążyć do osiągnięcia takiego idealnego typu dowódcy, jaki wypiastowała dusza mych żołnierzy.

„Nigdy jednak ten straszny przymus nie ciążył mi tak, jak owego wieczora... Czasem wzbiera we mnie gniew niewolnika przeciw tyranowi, który mu płakać nie pozwala... Daremny bunt! muszę poddać się potulnie niezłomnej konieczności i być wyłącznie istotą rozkazującą — dowódcą".

ROZDZIAŁ V.

JAK SIĘ ZDOBYWA POWAGĘ.

Cerisy, wrzesień, 1916 r.

Aspirant Cezar Rigobert, z 16-go rocznika, przygotowywał się na wojnę w szkole Saint-Cyr, a za radą ojca swego, profesora historji, czytał w tym celu pamiętniki Montluc'a.

Wychodząc ze szkoły umiał wołać donośnym głosem: „Naprzód! marsz!" Ze starej książki wyniósł przepisy sztuki opanowania dusz żołnierskich „zawsze tych samych w ciągu wieków" jak zapewniał profesor. Tak zaopatrzony na drogę, pospieszył Cezar do swego pułku na froncie.

Młodzieniec ten, tak, jak wszyscy zresztą, czuł się powołanym do najwyższych przeznaczeń. Poprzysiągł sobie, że wstąpi

w życie, do armji, w piorunującej sławie, jako wódz z piętnem wrodzonego geniuszu. Daremnie jednak marszczył brwi ponad wielkiemi niebieskiemi oczami, najeżał cztery włosy blond, które mu służyły za wąsy, musiał bądź co bądź uznać, że blada twarz spiczasta jak szczoryk, którą znał z odbicia w lustrze, nie była z rodzaju tych, przed któremi ludzie drżąc zginają kolana.

Cezar miał silną wolę i postanowił przeobrazić się, przyswoić sobie maniery marsowe, głos suchy, gesty szorstkie, obrzucać swych ludzi spojrzeniem strasznem i pokazać tym przyszłym podwładnym, jaki to wielki wódz prowadzi ich drogą sławy!

Zresztą na to, by zdobyć wstępnym bojem niezbędną powagę, Montbluc podawał doskonałą receptę... Ten stary żołnierz z XVI-go wieku daje młodym dowódcom swoich czasów następujące rady: „Należy się stroić, twarz obmywać winem greckiem aby poczerwieniała. Chodź przez miasto i między twymi ludźmi z głową podniesioną i krokiem śmiałym. Jeżeli będziesz chodzić z twarzą wybladłą, nie mówiąc słowa do nikogo, smutny, melancholijny i zamyślony, choćby nawet lwie serca mieli wszyscy mieszczanie i wszyscy żołnierze twoi, to jednak staną się barankami".

W braku wina greckiego do obmywania twarzy, musiał nieborak zrezygnować z czerwonego oblicza, tak niezbędnego zdaniem Monbluca, ale powetował to sobie na innym punkcie objętym receptą: „Masz się stroić!" Aspirant Cezar Rigobert wysiadł na stacji transportowej ubrany w kostjum skrojony znakomicie, najczystszym fasonem angielskim, w butach żółtych, wysokich, sznurowanych z przodu, spodniach obcisłych, wysoko na dwie dłonie przed kolanem. Mundur dzikiego, angielskiego koloru — bez najmniejszej zmarszczki na plecach, obejmował go szczelnie; sztywne kepi. Na szyi czarny sznurek zdradzał obecność monokla, który lada moment jednym eleganckim ruchem mógł znaleźć się w oku. To pozwala patrzeć na świat i ludzi z impertynenckiem lekceważeniem wielkiego pana.

Gdy ujrzał go Bourru — pierwszy woltyżer czwartego plutonu — stanął najprzód jak słup, a potem przywołał swoją „bitwę" Grosson:

— „Patrzno, jakiego to nam pajaca przysłali! Powiedziałby kto, że jeden z tych drabów, co trzymają wartę przed drzwiami kawiarni..."

Pułk dopiero co przebył ośm dni na północ od Bouchavesnes. Odpoczywano w jakiejś wiosce na tyłach. Każdy wie, że w takich okresach żołnierze wyglądają tak, jak gdyby zeszli prosto z jakiegoś obrazu Jakóba Callot. W mundurach aż zesztywniałych od błota, hełmach pogiętych, powłóczą nogami, łażą po ulicach w poszukiwaniu wyżerki, wychudzeni, zdziczali, dumni i porozpierani. Oczy, które patrzały zbliska na śmierć, umieją utkwić ostro wprost przed siebie, jak bagnet. Gdy Cezar Rigobert znalazł się wśród nich, miał zrazu ogromną ochotę schować się pod ziemię, ale oparł się dzielnie tej zachciance.

Nazajutrz jednakże, gdy aspirantowi przedstawiano jego pluton, monokl zniknął. Dowódcy w tych okresach wypoczynku mają bardzo niewdzięczne zadanie: zmuszają ludzi by się czyścili, robią przeglądy. Trzeba tu wiele taktu. Gdy młody plutonowy zapowiedział: „O 13-ej godzinie zrobię przegląd", żołnierze oczywiście spełniali ten nakaz, lecz pokazując broń, mieli ruchy takie jakieś przekorne i drwiące, że nie pozostawiały najmniejszych złudzeń co do powagi Cezara Rigoberta.

To trwało osiem dni. Nadaremnie młody kadet robił miny, przybierał pozy, które winny były — sądząc z książek — onieśmielać bandy rejtarów z XVI-go wieku. Nie działały nic bynajmniej na takich Bourrus, z 12-ej kompanji X-tego pułku 20 armji trzeciej Republiki.

A jednak młodzieniec ten wcale nie był głupi, a gdy przypomnę szczery ogień, który błyskał niekiedy w jego dziecięcych oczach, aż mi przykro, że mówię o nim takim tonem ironicznym. Wart czegoś lepszego, ale czegoż chcecie? — stawia swe pierwsze kroki w życiu! Wyobraża sobie, że przez pewne urabianie linji swej twarzy można posiąść za jednym zamachem ową aureolę wielkich przywódców, panujących nad tłumem. Biedne chłopczysko, nie zniechęcaj się! Może przyjdzie chwila, gdy twa postawa, twoje gesty, twój wyraz twarzy, spojrzenie, modulacja głosu wyrażać będą jasno wolę hartowną, podniosłość ducha, ufność w siebie, umysł przenikliwy. Wtedy istotnie, sama twoja obecność stanie się dla twych żołnierzy nakazem posłuchu, szacunku, będziesz miał urok i powagę. Aby jednak stać się takiem żywem uosobieniem władzy, dusza wodza musi w tobie zmagać się przez szereg lat, zanim się rozwinie. Czy chcesz, czy nie chcesz, ujawni się ona wtedy na twej twarzy, tak samo jak dziś, — czy chcesz, czy nie chcesz, taki Bourru od razu czyta na niej, żeś dzieciak.

Sympatyczny dzieciak — bądź co bądź — gdyż idąc tam w górę do okopów, Rigobert śmiało przeszedł przez ogień zaporowy. Tak dobrze, że Guériu, wychowawca z zawodu, wyraził się o kadecie, kręcąc głową:

„Młodziutkie to, kruche, ale może być z niego pociecha.

* * *

Pocóż opisywać atak tego dnia, kiedy fale szły tak, jak na ćwiczeniach...

Pluton Rigoberta, zatrzymany w dawnych okopach niemieckich, posłał dla kontaktu z nieprzyjacielem, z drugiej sekcji woltyżerów.

Żołnierze ukryci w okopie czekają. Nagle nastąpiła pauza w muzyce granatów.

Zdaje się, jakgdyby olbrzymi kowal podniósł rękę i trzymał w powietrzu młot, a zanim uderzy znowu, patrzy, czy ruszają się tam jeszcze te drobne żyjątka, ukryte w norach ziemnych...

Wśród milczenia zabrzmiała skarga:

— „Do mnie towarzysze, ranny jestem...“

Jeden z woltyżerów został w dole o 25 metrów przed nimi. Natychmiast zerwało się trzech ludzi. Nato głos dziecięcy, który silił się na powagę, zabrzmiał:

— „Zostańcie... Ja sam pójdę!“

I młody aspirant poszedł. Miał szczęście; granaty nie padały, kule przechodziły obok niego — był tak szczupły!

Ach! oczywiście, nie trzeba było wielkiego sprytu, by pochwycić tę okazję dla zdobycia powagi u tych ludzi. I fantazji nie potrzeba wiele; pomysł taki klasycznie prosty, banalny nawet! Ale to „coś“, co jednak trzeba mieć w sercu, chcąc go wykonać, musi mieć bardzo potężny wpływ, gdyż oto Bourru z odcieniem czułości i szacunku w głosie, zupełnie jakby przemawiał do wodza otoczonego czcią ogólną, pyta Cezara Rigobert:

— „Pan nie ranny, poruczniku? Ach, jak to dobrze!“

ROZDZIAŁ VI.

ROZMYŚLANIE NA POGRZEBIE.

Barecourt, 27 marca 1916 r.

Niechaj się wam nie zdaje, że wszyscy ci ludzie, — oficerowie i szeregowi — zgromadzeni na pogrzebie pułkownika, mają w duszy nastrój tragiczny. Za dużo tych wypadków śmierci, by można się wzruszać ustawicznie. A potem, ludzkie uczucia przeważnie trzymają się znacznie poniżej wzniosłego tonu Kornela... Na posępne pole pada deszcz... Żołnierze pełniący straż honorową, stoiczni i zrezygnowani, kurczą się pod ulewą... niejeden z nich myśli o swych powszednich sprawach. Papier, zapowiadający dzisiejszy pogrzeb, mówił o „ceremonji“, i istotnie uczestniczymy w urzędowej ceremonji... Nic nie wiem o tym pułkowniku, dowodził pułkiem na sąsiednim odcinku; przypadkowo transport od sąsiedniego ambulansu wymienił mi jego nazwisko w związku z wiadomością o zgonie.

W mrocznym kościele rozpoczęto nabożeństwo żałobne. O potęgo wielkich słów łacińskich! Unoszą się one w powietrzu jak odświeżający powiew, przechodzą nad uczęstnikami, rozpraszają drobnostkowe zainteresowania i budzą myśli poważne, drżące namaszczeniem... Wkoło trumny nieruchomi, milczący, stoją żołnierze wszelkich stopni i broni. Światło gromnic od katafalka pada na ich twarze i rzeźbi je dziwnie... Gdy stąd patrzę na generała, o wysokiej postawie i galijskim wąsie, zda mi się, że widzę sylwetkę jakiegoś dawnego wodza Arwernji, stojącego nad grobem... Major o orlim nosie i kolorowej cerze, patrzący wprost przed siebie, wygląda na rzymskiego żołnierze, który zstąpił z kościelnego sklepienia. Inny znów oficer, chudy i blady,

wznosi mistyczne spojrzenie ku niebu. Jakiś pułkownik, z dumnie podniesioną głową, ma wyniosłą, smętną wytworność magnata, pełniącego służbę w kaplicy królewskiej w Wersalu. Młody żołnierz naiwnie wpatruje się w statuę Dzieciątka Jezus w olśnionym wzroku innego znów czytam drżącą i pokorną cześć.

Pod wrażeniem spełnianego obrzędu, ruchów i gestów, wykonywanych w świętym przybytku, każdy nieświadomie ujawnia swe najgłębsze uczucia... Podziwiam to subtelne oddziaływanie kościoła... A jednak jesteśmy w bardzo banalnym „Domu Bożym", z pospolitemi filarami, malowanemi na marmur, pozłacanemi girlandami gipsu, kolorowemi figurami Świętych... A jednak tyle pokoleń wpatrywało się tu w blaski lepszego nadziemskiego żywota, że jego najpiękniejsze refleksy i na nas padają.

Umarły umieszczony jest w środku chóru, sztandarami okryty u stóp ołtarza — i rad jestem, że dano mu to zaszczytne miejsce, okupione krwią przelaną. — Choć nigdy nie widziałem tego pułkownika, pochlebia mi to, że dano mi rozmyślać nad jego zwłokami, okrytemi chwałą. Ten pogrzeb nie łzy budzi we mnie, lecz dumę. Oto jeden z mych towarzyszy broni wstępuje na szczyt chwały... to dobrze, to słusznie. Czyliż nie jesteśmy bojownikami najświętszej sprawy? obrońcami ideału? A gdy, który z nas — oficer czy żołnierz padnie — pada na swem stanowisku, czyż nie jest zaliczony w poczet narodowych świętych?... Kto tak ginie, wart jest najwyższego hołdu... Niegdyś w Rzymie, obywatel, który życie oddawał za miasto rodzinne, stawał się Bogiem...

Naraz przy dźwięku organów zabrzmiały słowa *Miserere mei Deus:* „Oczyść mnie Panie ze skaz moich — błagały wiersze psalmu — oczyść mnie z krwi przelanej... daj mi radość łaski... Zmiłuj się nademną Panie! jestem tylko niegodnym grzesznikiem..."

Takim był akcent tych suplikacji, że skłoniły się wszystkie głowy, jak gdyby każdy powtarzał skargi proroka...

Cudowna nauka pokory! W chwili, gdy moja dumna myśl napawała się najwyższemi honorami, oddawanemi memu towarzyszowi broni, oto Kościół dał mi twardo odczuć bezwzględną równość ludzi w obliczu Najwyższego Sędziego!... Nad zwłokami bohatera, czy pospolitego śmiertelnika, też same hymny pokutne śpiewają przy trumnie, jak gdyby wszystkie dusze równie pokornie błagać musiały o wstąpienie do przybytku wybranych.

Daremniebym protestował... Ksiądz, który celebruje, wie przecież dobrze, że niedaleko stąd, wściekła bitwa wstrząsa górami, ścina lasy, orze równiny, przebija groble nadrzeczne... Wie dobrze ten kapelan, do jakiej wyżyny cnoty i poświęcenia wznieść się trzeba, by ciało swe ująć twardo w kleszcze i rzucić je w katusze ognia i żelaza. A jednak w imieniu tego nieboszczyka

śpiewa łagodnie: „Jeśli będziesz zważał nieprawości moje' o Panie, któż się ostoi?"

Zdumiony zamyślam się.

Nagle z głębi mej urażonej dumy tryska wzruszenie, które wyjśnia mi zagadkę... Odważni czynem, upojeni wielkością naszych zadań, olśnieni blaskiem sławy, tracimy wszelką miarę... Poza sobą nie widzimy nic pięknego i szlachetnego. Twórcy własnych prawideł moralnych, stajemy przed wszelkim sądem... Życie żołnierza jesi triumfem a śmierć apoteozą... bohater staje się bogiem...

Niewruszony w swem dostojeństwie duchowem, potężny wielką tradycją, której jest przedstawicielem, kapłan imieniem Kościoła budzi nas z tego zawrotu głosem uroczystym i władczym: „Dumny żołnierzu... zaiste, wielkie są twe zasługi, to też patrz, pozwoliłem by ogniste barwy sztandarów na twej trumnie świeciły obok czarnych kirów kościelnych, nie zaniechamy jednak odmówić nad tobą nasze pokutne psalmy, gdyż człowiekiem jesteś, a żaden człowiek nie uniknie sądu Bożego... Tak każe mądra ustawa kościoła, by okiełznać szał pychy, którąby się unieść mogła. Nie godzi się, by człowiek sądził, że może kiedykolwiek bogiem zostać... Na to jest Kościół, by zapobiegał takim wybrykom myśli i uczuć."

Schylam głowę; tu wszystko mówi do mnie o przebaczeniu i pokucie... Pokornie oddając się surowemu nakazowi, łączę pieśń mego serca z głosami tych, co się modlą za poległego żołnierza.

Ale kościół, ten wielki władca dusz, umie równie dobrze i poskramiać naszą pychę i łudzić nasze nadzieje. Umysł mój, rozmiłowany w mowie symbolicznej zwraca się naraz w innym kierunku...

Umarły został oczyszczony; otoczył go dym kadzideł, obmyła go woda święcona. Wtedy, w chwili, gdy trumnę ruszono z kościoła, zabrzmiała wspaniała pieśń i ukazała szczytne widzenia.

„In parudisum deducant te angeli..."

Niechaj aniołowie wiodą cie do raju... Ach! tak, oto zaczyna się chwała najwyższa... Podnosimy głowy. Umarły odchodzi przez drzwi kościelne otwarte na światło i dziwna nadzieja nas ogarnia...

Kapela pułkowa stoi na placu — marsz żałobny skanduje rytm dusz, ale trąby choć płaczą, zawsze sławę głoszą... Żołnierze prezentują broń; ci którzy idą w orszaku, przechylają lufy karabinów ku ziemi.

W drodzę na cmentarz w umyśle mym rysują się różne obrazy; przypominam sobie jakąś starą książkę, w której objaśniano, skąd wziął się zwyczaj pobożnego pochodu za trumną... U dawnych Greków atletę, który otrzymał nagrodę na igrzyskach, odprowadzali do domu przyjaciele z pochodniami w ręku. Kościół chrześcijański, ze swą tendencją poetycką, przyjął ten zwyczaj i rozszerzył go. Chrześcijanin w chwili zgonu, kończy swój bieg. Należy go jak tryumfatora odprowadzić do ostatniego mieszkania...

Z odległej o dwadzieścia wieków przeszłości płynie ku nam wzruszające światło i rozjaśnia znaczenie obrzędów, wykonywanych tutaj w wiosce nad Mozą. Tu obrzęd religijny harmonizuje z ceremonją wojskową... głos księdza łączy się z dźwiękiem pułkowej kapeli... krzyż i sztandar w równej mierze góruje nad zgromadzonym orszakiem, który odprowadza zwycięskiego żołnierza i blaskiem chwały wiekuistej opromienionego chrześcianina... Wznieśmy głowy i śpiewajmy na jego cześć.

Postawiono trumnę na kopcu ziemi przed cmentarną bramą. Na prawo i na lewo szpaler żołnierzy prezentuje broń. Najprzód ksiądz, potem wszycy uczestnicy skrapiają pokolei trumnę święconą wodą, a tym symbolicznym gestem przesyłają ostatnie pożegnanie umarłemu.

Z grupy występuje major niewielkiego wzrostu, z głową szpakowatą, twarzą ogorzałą od argońskich wichrów. — Imieniem pułku żegna swego dowódcę i kreśli obraz życia i śmierci nieboszczyka. Słucham uważnie, a w duszy czynię spostrzeżenia, jak skąpą jest obecna wojna w cechy wielkości. Powiedziałbym, że złośliwie zawzięła się, by wszyscy bohaterowie umierali tak samo w identycznych okolicznościach: „Kostucha" bardzo monotonnie siecze swą kosą.

Nagle głos majora zadrżał z lekka, gdy mówił: „Pułkowniku, gdy przyjdzie nasza godzina, przykład Twej śmierci nauczy nas, jak umierać należy".

Były to tylko zdania, słowa bardzo proste, a jednak dreszcz przeszedł nas wszystkich i mały major zdawał się wyrastać wysoko ponad naszem kołem.

Wysunął się naprzód generał; jego hełm dawał mu profil jak gdyby z medalu.— Wszakże mówiłem już, że nie znałem żadnego z oficerów sąsiedniego odcinka.

Po hołdzie podwładnych, zkolei zwierzchnik składał hołd uznania. W mowie swej podkreślił znaczenie symbolu, który dostrzegłem w obecnym obrzędzie: „Zwycięzco, mówił, dobiegłeś do mety jako dzielny, ochoczy Francuz... oto orszak twój tryumfalny, świadectwem tego męztwa..."

Tu generał zatrzymał się zamyślony... Może odczuł tragiczną bezsilność największych wodzów na tej ziemi, gdy im przyjdzie nagradzać bohatera, którego uszy już ludzkiego głosu nie posłyszą, gdyż wznosząc oczy w niebo zawołał: „Niech Bóg przyjmie cię do raju sławy, przyrzeczonego walecznym!"

Wiekuista tęsknota duszy ludzkiej! Przed wiekami już stary retor rzymski twierdził: „Wiedz, że ci wszyscy, co dziś bronili ojczyzny, mają wyznaczone w niebie miejsce, gdzie zaznają wiecznego szczęścia... Ubi beati oeve sempiterno fruantur!..."

Aż do tej chwili szlachetny smętek wywołany powolnym rytmem kapeli unosił się nad obrzędem... Nagle żywa i wesoła melodja pułku rozległa się z uniesionych trąb. Ostatnie honory! Wojsko defiluje przed pułkownikiom z tą samą pieśnią ochoczą, jak

wtedy, gdy siedząc na koniu spoglądał na maszerujące o wschodzie słońca kompanje... Stwierdzono w ten sposób, że władza jego trwa. Żołnierze maszerują, z głową wzniesioną, postawą prostą, bagnetami sterczącemi ku niebu; oficerowie idą przodem z szablami opuszczonemi na dół, wszyscy ożywieni chęcią uczczenia drogiego dowódcy. W dali amfiteatralnie wznoszą się czarne wzgórza Argońskie, a na ich tle ta grupa zarysowuje się w szlachetnych linjach starożytnego pocisku.

W naszych szeroko otwartych oczach malowało się wewnętrzne wzruszenie, które pręży nerwy i prostuje członki.

Daleka kanonada, dolatująca od północy, przypominała, że dzieło śmierci nie zaznaje przerwy. Pomyślałem o tych wszystkich trupach, grzebanych codziennie w pośpiechu, w rannych godzinach, gdy cienie nocy jeszcze się nie rozprószyły.

A gdy myśl moja oderwała się od miejsca i chwili obecnej, ujrzałem nowy symbol w żałobnym obrzędzie. To coś więcej niż honory oddane dowódcy, on skupia w sobie te uczucia czci, wzbudzone w sercach naszych dla bohaterów, których ciała padają przy okopach. Czas nie pozwala, by każdemu z nich składać osobne hołdy. Nim nad ich mogiłami zagrzmi tryumfalny odgłos trąb, rozsyłają oni swych przedstawicieli do wiosek za frontem, by w ich imieniu wznawiali uświęcone tradycją obrzędy żałobne nad grobami tych, co padli. Ich przedstawicielami tutaj są ci sami ludzie, którzy tam na polu walki wskazywali im drogę poświęcenia.

ROZDZIAŁ VII.

NA ZIMOWYCH LEŻACH.

W tym okresie bezbarwnych komunikatów niejeden cywil napewno myśli sobie: „Nasi żołnierze odpoczywają na zimowych leżach! Temci lepiej! czekają spokojnie".

Była szósta z rana, gdy ubierając się na ćwiczenia, podporucznik Andrzej Rien czynił w duszy powyższą uwagę.

Blade światło zimowego świtu przeciskało się przez zamarzłe szyby baraku Andrzeja; czuło się, że na polu czai się zimna nuda, która przywarła do śniegu, do czarnych pni drzew i do błota.

— „Czekać! wytrzymać" — mruczał młodzieniec. „Cywile wyobrażają sobie, że to tyle znaczy co, próżnować! Kto nie jest wystawiony na kanonadę, ten jakoby nie doznawał okropności wojny. Otóż właśnie; dla mnie największą okropnością wojny jest być na wypoczynku i chodzić na ćwiczenia."

Widocznie ludzie z jego kompanji byli tego samego zdania. Z okiem zaspanem, powłócząc nogami gromadzili się w małe grupy w obozie. Wilgotny, błotnisty krajobraz wydawał się

jakby zastygły pod wpływem smętnej melancholji, spływającej z nieba wraz z brudną mgłą.

Nad barakami snuły się jeszcze nocne mroki. Bouron, żołnierz 2-ej klasy opuścił ramiona i czuł, że jego energja życiowa waliła się w błoto niby nędzarz, ginący ze zmęczenia. Zaczynał się dzień długi, bardzo długi, wypełniony po brzegi nudnemi ćwiczeniami. Jakiś żołnierz zanucił kilka tonów starej zwrotki. Zrobiło to takie wrażenie, jak ponury krzyk człowieka, grzęznącego w bagnie i wołającego o ratunek.

Bourru przerwał mu szorstko: „Cicho bądź! — nie udawaj!"

Andrzej Rien miał do zwalczenia ten nawał nudy, smutku, tępej osowiałości. Jego obowiązkiem było zagrzać, rozweselić, rozruszać. Jego ładna wojenna matka chrzestna, winszująca mu w każdym liście, że się „bije jak lew", nie domyśla się zapewne, ile odwagi musi on rozwinąć w takiej chwili.

— Zbiórka! Czwórkami naprawo, — marsz! — wydaje rozkaz.

Kompanja rusza traktem i zanurza się w posępny krajobraz. Nie słychać nic, prócz chlastania butów po błocie.

Potroszę jednak żywiej zaczyna krążyć krew zakrzepła. Ruch posiada dobroczynną moc,—wytwarza ciepło, wyzwala przytępioną świadomość, zdaje się, że jakaś nowa siła chwyta duszę i wiedzie ją, jak dziecko za rączkę, tam dokąd ono samo dojść nie może; naprowadza wszelkie myśli.

— „Słuchaj, stary" — zwierza się Bourru do sąsiada— „ma szerujemy już pół godziny — zaczyna się to dłużyć..."

Na widok terenu ćwiczeń wszyscy zapadają znów w posępne milczenie. Na szczęście mądrość, wyhodowana przez wieki tradycji wojskowej, kieruje biegiem ćwiczeń, normuje je wedle rytualnego porządku tak, by wprawiały duszę w stan, sprzyjający prostowaniu cnót rycerskich.

Andrzej Rien oświadcza: „Na początek przystąpimy do rozwijania plutonu i kompanji".

— To się przyda! mruczy jakiś kpiarz w szeregu. Ludzie przemokli, gdy się rozwinie plutony lepiej obeschną w słońcu— o ile się ono ukaże...

Plutony, sekcje, żołnierze ruszają się, rozdzielają, zachodzą wedle woli dowódcy. To uzupełnia proces wewnętrzny, zapoczątkowany marszem: wyzwala mięśnie i świadomość, otwiera dusze; nie należy jednak przekraczać miary; gdyby dowódca zbyt długo przeciągał to fizjologiczne przygotowanie, dusza żołnierza zasklepiłaby się na nowo dławiącą nudą, której strawić nie zdoła. Bouron zrzędziłby w duszy:

— „A to piła, ten porucznik ze swemi rozwinięciami!"

Powstałoby wrażenie, że czas sam ze znużenia, obrzydzenia i niesmaku uwiązł i zatrzymał się raz na zawsze na tym pagórku, gdzie żołnierze człapią po błocie.

Ale Andrzej Rien, instruktor wytrawny; umie pochwycić moment, w którym należy przemówić do rozumu.

— „Zbiórka do mnie!“ rozkazuje.

I zaczyna wyjaśniać: „Teraz zrobimy ćwiczenia przeciwnatarcia Czy widzicie ten okop? Otóż przypuśćmy, że zajęli go Niemcy. My jako kompanja w odwrocie, dostajemy rozkaz, by go odebrać z powrotem...“

Oficer rozwija swój plan taktyczny. Żołnierze najprzód słuchają obojętnie, lecz naraz budzi się w nich zmysł fachowców. Są między nimi starzy wojacy, którzy ze znawstwem oceniają założenie porucznika. Kiwają głowami, jakby powiedzieć chcieli: „Tak, tak; nie źle; wcale nie źle“.

— „Czy wszyscy zrozumieliście, chłopcy?“

— „Przepraszam, panie poruczniku, — wtrąca Bourru, — ale jedno przypuszczenie: dokąd zajęli Niemcy okopy? wartoby wiedzieć...“

Czy dziwi was ta poufałość między żołnierzem a oficerem? Cóż chcecie; minął już czas musztry na placu Ratuszowym, gdy obracano automatycznymi żołnierzami.

Nikt sobie nie wyobraża, jaka to skomplikowana rzecz ćwiczenie przeciwnatarcia. Prowadzisz kompanję rowem prostopadłym, gęsiego, jeden za drugim. Zawsze znajdą się tacy, którzy się wloką z tyłu i trzeba ich łapać. Dochodzimy do okopu.

— „Stój!“ — krzyczy podporucznik.— „Stąd ruszycie do ataku.“

— „Gdzie przedmiot ataku?“ pyta jakiś sekcyjny, który nic nie widzi z poza nasypów ziemi.

— „Wprost przed wami.“

W tym okopie wypadowym, gdzie wszyscy tłoczą się pomięszani, trzeba sformować kolumny atakujące.

— „Słuchajcie, grenadjerzy... woła jeden sierżant, wy ruszycie pierwsi, na odgłos świstawki. Umieśćcie się przy strzelnicach... Woltyżerowie pójdą o dwadzieścia kroków za wami...“

Gdy tak krzyczy, klepiąc po ramieniu Piotra, Pawła, Jakuba, mówiąc im:

„Wy jesteście grenadjerami... Rozumiano?“ „Wy jesteście woltyżerami — zapamiętacie?“ wkońcu doprowadził do tego, że każdy ma już jakieś dokładnie wyznaczone zadanie.

— „Wszyscy gotowi?“ — pyta oficer.

I gwiżdże. Wedle planu mają ruszyć kolejno cztery fale ataku, wyciągnięte w linje o dwadzieścia kroków jedna za drugą. Zamiast tego pięknego porządku z okopu wylega banda skłębiona.

— Ależ do pioruna! Gdzie grenadjerzy? — Krzyczy podporucznik. — Fizyljerzy! pędźcież przodem... a cóż tam znowu woltyżerzy przegapili?

— „Wróć! nie udało się zupełnie.“

Andrzej Rien tłómaczy znów, o co chodzi, krzyczy i klnie zaczerwieniony; starzy żołnierze zrzędzą na młodych nowicjuszy.

— „To przez was ćwiczenie chybiło.“

Ale nuda pierzchła, wszystkich tych ludzi pochłania teraz robota i pojmują dobrze, że chcąc należycie przeprowadzić trudne

ćwiczenie, każdy musi z automatyczną dokładnością wykonać rozkazy dowódcy. Ćwiczenie wydaje im się teraz jakiemś dziełem sztuki, które zrealizować trzeba. Z zapałem poddają teraz oficerowi swe mięśnie i mózgi, by je wymodelował wedle zamierzonego planu. Całą kompanję, zbiorową jednostkę, ogarnęło wspólne pragnienie, by osiągnąć wyższy stopień organizacji, zapewniający zwycięstwo w przyszłej walce.

Zaczynają na nowo. Andrzej Rien przebiega od plutonu do plutonu, wyjaśnia, prostuje, poprawia, wydaje rozkazy — umysły podniecają się. Po jego przejściu słychać z kolei głos kaprali i sierżantów, którzy wrzeszczą, awanturują się, szturchają niezdarów. Gorączka ogarnia tę grupę ludzi, w której pulsuje życie. Sposób przeprowadzenia ataku staje się coraz to prawidłowszym, coraz doskonalszym w kompozycji i ruchu; zbudziła się nowa dusza.

To trwało kilka godzin... Gdy wracaliśmy z ćwiczeń, jasne styczniowe słońce naraz przebiło się przez chmury. Jeden z żołnierzy zaczął śpiewać.

Wszyscy pochwycili melodję. Znaczyło to, że kompanja byłaby w tej chwili gotowa wykonać przeciwnatarcie naprawdę.

Tegoż wieczora Andrzej Rien pisał do swej ładnej chrzestnej: „Chciałbym pani donieść, że odniosłem nowe zwycięstwo, lecz niestety! prowadziłem tylko ćwiczenia".

Ładna chrzestna mamo, wierzaj mi, pisząc do swego chrześniaka winszuj mu, jak zwykle, że „bije się jak lew" — zasłużył na to; pokonał bowiem nudę.

ROZDZIAŁ VIII.

ŚMIERĆ BOHATERA.

Czerwiec, 1916 r.

„Alzatczyk-Lotaryńczyk" — pamiętam, jakiem echem odbiły się w mojej duszy dziecięcej te wyrazy, gdy starzy żołnierze naszej wioski, wówczas już spokojni winiarze, opowiadając jakieś epizody z przebytej wojny, kończyli temi słowy: „Tak, tego towarzysza boju nigdy nie zapomnę: to był Alzatczyk-Lotaryńczyk". Czy to byli wojownicy z 1870-ego roku, czy z bojów kolonialnych w Tonkinie lub Madagaskarze, w każdem z ich stokrotnie powtarzanych opowiadań figurował zawsze jakiś Alzatczyk-Lotaryńczyk jako najodważniejszy, najdzielniejszy, najzapalczywszy z całej kompanji.

Gdy w tych dniach rozmawiałem z pułkownikiem Cluny, zbudziły się we mnie te dziecięce wspomnienia. Opowiadał mi swój ostatni pobyt w Vauquois; naraz urywany głos tego dowódcy, zawsze dźwięczący energją i stanowczością — zadrżał ze wzruszenia.

„Straciłem wtedy jednego z najlepszych oficerów mego pułku," rzekł, „porucznika Speltela. Wspaniały żołnierz; ośmnaście miesięcy walczył przy nas na froncie ..... z nigdy niesłabnącym zapałem wojennym. Był to Alzatczyk-Lotaryńczyk."

Cudowna rasa! Już kilkakrotnie w ciągu obecnej wojny, tak obfitej bądź co bądź w przykłady bohaterstwa, słyszałem wyrazy uznania dla żołnierzy z Alzacji-Lotaryngji, stanowiących wzór dla innych, tak samo jak wtedy, gdy w mem dziecinnem sercu budzono dla nich podziw i cześć.

Teraz pułk, w którym służył ów dzielny wojak, jest na wypoczynku; żołnierze i oficerowie stoją w garnizonie; doskonała sposobność dla mnie by, przeprowadzić pewnego rodzaju wywiad i zebrać w całość te obrazy i wspomnienia, które niby smugę świetlną pozostawia po sobie śmierć, poległego na polu walki bohatera.

Najprzód słucham, co mówi pułkownik Cluny.

„Speltel?" mówi, „ależ ile razy wskrzeszam w pamięci jakikolwiek moment boju i sławy naszego pułku, jego obraz staje mi przed oczyma. Ten żołnierz był bohaterem wszystkich bitew, wszystkich przygód, jego zapał nie zachwiał się nigdy. Przypominam go sobie jeszcze zeszłego roku, a mianowicie 8-ego stycznia 1915-go w Meurissons. Był tylko prostym żołnierzem, ale służył w tym słynnym plutonie wywiadowczym, nieporównanie walecznym, tak, że Richert, Piotr Boisson, Laurenceau i tylu innych wydzierało sobie wzajemnie zaszczyt prowadzenia z nim najniebezpieczniejszych zwiadów. Był to niesłychanie ciężki dzień. Trzeba było się trzymać w okopach, ledwie rozpoczętych w błocie i śniegu po kolana. Ludzie kładli się w nich chroniąc się przed kulami, szron ich okrywał, przymarzał w lufach karabinów i przeszkadzał strzelać. Chłód mroził wolę, ponury wicher Argońskiego lasu wył tajemnym gniewem... byliśmy głodni. Nieprzyjaciel atakował nieustannie. Czując swą liczebną przewagę, chciał ją wyzyskać. W takich razach dowódca, najsilniej polegający na swych ludziach, zadaje sobie pytanie, „czy wytrzymają?" — i niewątpliwie niejeden z żołnierzy w podobnie tragicznej sytuacji czuje słabnącą odwagę. A jednak żaden nie zawiódł. Ale jakąż wspaniałą rolę odegrał wtedy Speltel! Powiedziałby kto, że deszcz, zimno, niebezpieczeństwo i padające granaty — tylko go podniecały. Jak pies owczarski, biegał od jednej grupy żołnierzy do drugiej, krzepiąc wszystkich swemi słowami i przykładem. Kilku ludzi skostniałych z zimna, w milczeniu apatycznem oglądało zatkane karabiny. Rozruszał ich: „Twój karabin nie działa? Pokaż go. Patrz, już naprawiony; to głupstwo... Spojrzyj-no tam! Widzisz tego Niemca? Weź go na cel! Już go masz!"

„I tak cały dzień i całą noc biegał wśród towarzyszy. Dla tych ludzi znużonych, sennych był on jakby fermentem życia".

Pułkownik mówił w ten sposób długo o Speltelu. Jak daleko pamięcią ogarniał dzieje pułku, zewsze ten człowiek okazy-

wał się znakomitym krzepicielem; jego obecność wzbudzała odwagę. To też Speltel szybko przechodzi do wyższych stopni: kapral, podoficer, podporucznik — wszystkie te mianowania następowały szybko, zawsze w nagrodę waleczności. W chwili śmierci był dowódcą saperów swego pułku. Zaszczytna rana potęgowała jego aureolę bohatera.

To też jego zwierzchnicy wyrażają swój podziw lapidarnemi zdaniami: „Nie znał trwogi, a siał ją wśród wrogów swem nieporównanem zuchwalstwem: podejmował się najryzykowniejszych zadań." „W bitwie pod Vaugnois uderzył zwycięsko na nieprzyjaciela na czele ludzi, zagrzanych jego przykładem, wziął do niewoli i zabił kilku Niemców, którzy mu się opierali".

Generał komendant dywizji podawał go za przykład swym żołnierzom. Jest przekonany, że we wszystkich walkach, w których wezmą udział, każdy z jego ludzi będzie się starał wstępować w ślady Speltela.

„Dręczy mnie to, dodał pułkownik, że taki człowiek zginął marną śmiercią. Ugodził go pocisk w rowie strzeleckim, jego, co był godnym zginąć w apoteozie ataku".

* * *

„Czy zechcesz, kochany panie Lagorce, opowiedzieć mi, jakie wspomnienie zachowałeś o Speltelu?"

Oficer, którego zagadnąłem w ten sposób, należy do „przedwojennych". Gdy przechodzi ze swą twarzą bladą i wyschniętą, utykając na nogę skutkiem ostatniej rany, dość widzieć, jakiem otoczony jest poważaniem, by ocenić znaczenie, przywiązywane do jego sądu.

„Speltel ukazuje mi się przedewszystkiem jako człowiek całkowicie przejęty poczuciem obowiązku. Każda jego czynność, choćby najdrobniejsza, charakteryzowała żołnierza, dla którego powinność jest świętym nakazem. Jeśli tylko zadanie, jakie miał spełnić, stawało przed nim jako moralne zobowiązanie, wykonywał je niechybnie. „To moja powinność" — mawiał zwykle. Skoro dostał rozkaz, nie namyślał się, jakie trudności nastręcza wykonanie, lecz niezwłocznie brał się do dzieła. Gdyby mu powiedziano, że sam jeden ma wziąć okopy niemieckie, nie protestowałby; byłby posłuchał. Nie cofnął się przed żadnym trudem lub niebezpieczeństwem; „powinnością" było dla niego zwiedzić najniebezpieczniejsze punkty odcinka; „powinnością" spędzać noce całe na kopaniu rowu łącznikowego; „powinnością" narzucać sobie wszystkie umartwienia; zawsze pełnił tylko powinność.

„Dość było widzieć jak stąpa wielkiemi krokami, by odczuć, że człowiek ten idzie bezwzględnie prostą drogą do celu, nigdy nie dając się od niego odwieść. Nie myślał, aby śmierć go dotknęła. Pewnego razu, gdy badał odsłonięte stanowisko rzekłem mu:

— „Uważaj, Speltel!"

— „Niema obawy, niema obawy...“ odparł alzackim akcentem. I czuło się, że u niego nie jest to popisem i przechwałką, lecz obojętnością człowieka, którego całkowicie pochłania myśl o spełnieniu obowiązku.

* * *

Pożegnawszy kapitana Lagorce, spotkałem adjutanta Lecerné i żołnierza J..., najbliższych współtowarzyszy Speltela. Jako wierny towarzysz pracy, Lecerné opowiadał mi szeroko, jak dobrym był jego zwierzchnik, jak troskliwym o potrzeby ludzi, jak niezmordowanym w służbie. W słowach jego szczególniej nieodmiennie powtarzał się podziw dla jednej zalety Speltela: „Był on pierwszym saperem w swej kompanji, czy to przy pracy, czy w boju, ten dowódca miał zawsze w ręku łopatę lub karabin“.

Ze wzruszeniem patrząc w otwarte oblicze rozmawiającego ze mną, oblicze tak pełne szczerego żalu jeszcze raz zastanawiam się ad tem, jak cudowny wpływ posiada dowódca, który umiał stać się żywym wzorem dla swego ooddziału.

* * *

Doktór Aubert, który mi opowiadał ostatnie chwile Speltela jest człowiekiem zimnym a głos jego jakoby lękał się najdrobniejszego odcienia patosu. Widzę w tem jakąś skrupulatność, lękającą się efektów literackich, które mogłyby przekształcać fakty.

„Byłem na miejscu opatrunkowem o wpół do 10-ej wieczorem. Nagle usłyszałem odgłos dwóch salw działowych od strony pancernego schronu; dziesięć minut później zawiadomiono mnie, że w rowie łącznikowym jest kilku ludzi rannych. Między nimi Speltel.

„Oto, co się zdarzyło. Za pierwszą salwą raniony został jeden z saperów. Speltel dowiedziawszy się, że padł jeden z jego ludzi, natychmiast pobiegł do niego i kierował sprawą odniesienia go do ambulansu.

„Idź pan przodem, poruczniku“ mówili sanitarjusze.

„Nie, ja pójdę ostatni“ odparł oficer.

I mała gromadka przesuwała się przez rów łącznikowy, a Speltel i jeden z jego łączników, który nigdy go nie opuszczał, na końcu.

„Za drugą salwą pocisk padł na grupę, dobił rannego, zabił łącznika, zranił sanitarjuszy i porucznika, którego natychmiast odniesiono do schronu saperów. Gdy przybyłem, leżał tam zakrwawiony i rozciągnięty.

„To pan, panie Aubert, rzekł do mnie; miło mi widzieć pana. Zdaje się, że mnie dobrze ugodzono!

„Zbadałem rany...; istotnie śmierć była nieuchronna i bliska. Postanowiłem pozostać przy nim. W całej swej karjerze lekarskiej nie dane mi było patrzeć na tak wzniosły zgon.

„Wkoło nas, zgięci na wpół, gdyż nie było można się wyprostować, znajdowali się saperzy, podkomendni Speltela. W milczeniu wpatrywali się w umierającego dowódcę. Twarze ich ukazywały się w blasku świec poważne i skupione.

„Gdy zastrzyknięcie morfiny złagodziło ból i pozwoliło konającemu zebrać myśli, odezwał się spokojnie:

„Moi przyjaciele, ja umrę, ale to nic; pracujcie dalej!"

„Ci, na których przypadła kolej pracować, zrozumieli zapewne, że nie mogliby żadnym hołdem lepiej uczcić swego dowódcy, wyszli więc i po chwili słyszeliśmy odgłos zabieranych łopat".

„Od tej chwili jakieś podniecenie ożywiało rannego. Powtarzał ciągle: „Ja umrę, ale to nic, to za Francję... do widzenia, pułkowniku... do widzenia, generale,.. do widzenia wam wszystkim". Można by myśleć, że miał w tem punkt honoru, by przed rozstaniem się z życiem zwrócić się myślą do każdego z tych, których kochał".

„Powiedzcie mej żonie, że jako dobry Alzatczyk, rad jestem w chwili zgonu, iż walczyłem za Francję!

„Wkrótce potem poprosił:

„Pomóżcie mi przeżegnać się".

„Siły go opuszczały coraz więcej, ale wciąż jeszcze powtarzał słowa, w których widocznie tkwiła jego najgłębsza myśl:

„Ja umieram, ale to nic, to nic".

„Wkrótce skonał".

* * *

Jak się odbył obrzęd pogrzebowy, którym uczczono bohatera? Lubię rozważać nabożne gesty i słowa, któremi żołnierze składają hołd pamięci zmarłego towarzysza. Te orszaki, otaczające trumnę, nigdy nie są ściśle do siebie podobne. Nad każdym z nich unosi się dusza tego, kogo opłakują.

Prosiłem, by mi opisano pogrzeb Speltela i oto, jak się on przedstawiał. Na cmentarzu małej wioski nad Mozą żołnierze i oficerowie otaczają grób otwarty. Najpierw przemawiał major Fleuriot imieniem pułku, stojącego jeszcze wówczas w linji. Podkreślił on jeden z charakterystycznych rysów bohatera i zadrżeli wszyscy, gdy donośnym głosem stwierdził:

„Koledzy! dzień dzisiejszy nie jest dniem żałoby, lecz dniem nienawiści i zemsty! Ten, którego opłakujemy, oddał życie, by pomścić swych braci Alzatczyków." Potem wystąpił generał Valdaut. Chwilę stał w milczeniu schylony nad trumną; możnaby myśleć, że wzrok jego, utkwiony w obrazie zmarłego, w nim szuka natchnienia.

Gdy przemówił, mowa jego była dziwnie zwięzła i potężna zarazem. Słyszano tylko nazwy i daty, przerywane chwilami milczenia, w których myśl pracowała. „Speltel, 17-ego lutego 1915... bitwa pod Vauquois, 23-ego lutego Auréville... nagroda. 29-ego

maja 1916 r. Vauquois... ofiara. Dziś — Auréville — spokój wieczny". Dla nas, czytających te wyrazy, będą one zagadką, ale niech wasza wyobraźnia odmaluje poezję tej sceny.

W środku grupy generał, niewielkiego wzrostu, ale silnie wparty w tę ziemię argońską, której broni już tyle miesięcy, ma w tej chwili na swej energicznej twarzy wyraz zamyślenia i smutku. Wkoło niego żołnierze, sami żołnierze z Vauquois. Na cóż im dokładny i wyczerpujący opis przeżytych wydarzeń? Czyż trzeba pomagać im w odtwarzaniu wzruszających obrazów, gdy słyszą: „17-ego lutego... Vauquois..." Natychmiast zjawiają się przed ich oczyma ci dzielni zeszłoroczni żołnierze, którzy atakowali wzgórze. Na ich czele Speltel, ze swymi przyjaciółmi, R. i Z. Upojeni wojennym zapałem pędzą do wsi oranej przez granaty, a przed nimi pierzchają przerażeni Niemcy.

„23-go Auréville... nagroda". W pięć dni po ataku, na grzbiecie pagórka, między Grange—Leamte a Auréville, wprost tragicznego wzgórza, stoją w linji pułki i odbywa się przegląd. Najdzielniejsi zajmują pierwszy rząd, między nimi Speltel. Otrzymują odznaczenia, a trąby rozgłaszają sławę bohaterów, którą echo roznosi po Argońskim lesie.

„29-ego maja 1916 r. Vauquois — ofiara". Speltel do ostatniej chwili powtarza: „To nic... To dla Francji".

„Dziś Auréville... wieczny odpoczynek". Towarzysze broni wkoło trumny, którą ziemia francuska przygarnie miłośnie, jak matka ukochanego syna; modlitwy wznoszą się do nieba... a ludzie twardego charakteru łzy ocierają, myśląc, ile wieków odległej przyszłości przepłynie ponad tą świętą mogiłą.

Tragiczne streszczenie bohaterskiego żywota. Istotnie, ten generał odrazu wzniósł się na szczyt natchnienia, gdy gardząc wszelkiem krasomówstwem, jakgdyby mówił sam do siebie, rzucał daty i nazwy pełne znaczenia: „17-ego lutego Vauquois, bitwa... 23-ego lutego — Aurevillée... nagroda".

* * *

Myślą obejmuję teraz te wszystkie wspomnienia, które zebrałem o autentycznym bohaterze. Widzę pułkownika, opłakującego człowieka, którego mienił cudownym „krzepicielem" wojennego ducha w pułku; widzę towarzyszy, którzy żałują tego, co był dla nich wcieleniem idei obowiązku; podwładny przechowuje naukę, zaczerpniętą z przykładu swego dowódcy. W słowach umierającego Speltela, powtórzonych przez doktora: „to nic... to nic..." maluje się w sposób nieporównanie piękny i prosty całkowite oddanie się jednostki sprawie publicznej. Dla generała Speltel jest przedstawicielem tego bohaterskiego zastępu, który imię Vauquois zapisał na kartach nieśmiertelnej sławy.

Jak mamy zrozumieć naukę tego bohatera? Szukam jej znaczenia. I znowu występują w mym umyśle tyle razy słyszane

wyrazy, streszczające moje wrażenie: „Alzatczyk-Lotaryńczyk". Dziwne przeznaczenie ras i jednostek! Dla Francji nasze prowincje, utracone w 1870 r. są symbolami ducha, który nie chce się poddać brutalnej sile. Dla Francuzów towarzysz boju z Alzacji i Lotaryngji jest prawie zawsze żywem wcieleniem cnót rycerskich. I ten pułk musiał jeszcze zaznać tego tajemniczego uroku.

Zanim stąd wyjechałem, poszedłem klęknąć na grobie Speltela.

ROZDZIAŁ IX.

SPÓŹNIONY.

Listopad, 1916 r.

Jest to psychologicznem prawem: gdy jesteśmy niezadowolnieni ze siebie, wszyscy są temu winni.

Gdyby Colèri lubiła roztrząsać swe myśle, byłby mógł sam na sobie sprawdzić tę regułę, powróciwszy wczoraj z urlopu. Jednakże wspomnienie paryskich wywczasów zbyt silnie jeszcze tkwiło mu w głowie, aby mógł przeprowadzić tak skomplikowaną operację myślową. Ten dzielny szeregowiec poddał się tedy biernie żywiołowym siłom, które w nim działały. W danej chwili budziły one w nim nienawiść do kapitana. Był to w istocie nieznośny oficer. Pomyślcie tylko! Colèri o trzy dni spóźnił się z powrotem i starszy sierżant przyszedł go zawiadomić, że ma stanąć do raportu przed dowódcą, by się wytłumaczyć z tego przewinienia.

Na dobrą sprawę Colèri nie miał dostatecznej mymówki, — ale nawet nie wyobrażacie sobie, jak trudno rozstać się z tym miłym Paryżem, gdy się z nim przez siedem dni obcowało. Właśnie na odjezdnem jest najwięcej do powiedzenia i zrobienia. Idąc na dworzec człowiek uderza się w czoło:

„Dalibóg! Byłbym wyjechał bez widzenia się z kuzynką Matyldą!"

Kuzynka Matylda przypomina ci tego starego poczciwca Philipparta, o którym wspomnieć nie można bez wesołych żartów i którego też przecie zobaczyć należy.

Że zaś wino paryskie ma taki miły zapaszek, który duszę napełnia błogością, że zresztą, ktoś tam mówił, iż pono pociągi urlopników nie kursują, Colèri pozwolił sobie o trzy dni przedłużyć urlop.

Teraz jednak, gdy przyszło odpokutować, już nie przesłaniała mu oczu mgła optymizmu, w którą otulały się minione racje i powody. — Aha! Jeszcze czego? Za nic nie zgodzi się na trzydzieści lub sześćdziesiąt dni aresztu on, stary żołnierz, ranny pod Bouchavesues.

Kapitan był w stajni, która służy za kancelarję obozu.

Dziwna rzecz, ten człowiek zupełnie nie pozuje a jednak każdy przed nim czuje się jakiś onieśmielony. Siedzi zimny, chudy, zamyślony, trochę smutny a oczy błyszczą mu w zapadłych oczodołach. Ledwie drzwi się zamknęły, Colèri jako stary wojak odrazu wszczyna ofensywę:

— „A to dobre, panie kapitanie, niepokoić takiego żołnierza jak ja... dwadzieścia sześć miesięcy na froncie... nigdy się nie wykręcałem... nigdy nie zmykałem. — Więc czyż to warto nadstawiać gardło?! — Inni pozwalają sobie na wszystko i wszystko im uchodzi."

Colèri hardo wyrzuca ze siebie słowa... Oficer z całym spokojem odwraca się po prostu na krześle i słucha. Ale oczy jego tak dziwnie przeszywają żołnierza, że ten niebawem nieznacznie spuszcza z tonu i plącze się w mętnych wyjaśnieniach.

— „Osobliwe!" myśli sobie, wciąż mówiąc dalej. „Możnaby myśleć, że stary nie gniewa się na mnie... A ja oczekiwałem łajania co się zowie!..."

Istotnie w uważnem i głębokiem spojrzeniu kapitana błyska wyraz sympatji i przywiązania.

— „Oto," myśli sobie, „dobry materjał żołnierski, ukrywający pod pozorami buntu skarby poświęcenia... Biedne człowieczysko o dziecięcym mózgu, jakże ja cię znam i rozumiem! Niepotrzebnie podnosisz swoje zasługi; są one w każdym razie większe niż przypuszczasz. Wiem, że umiałbyś, patrząc mi hardo w oczy świsnąć mój zegarek, ale wiem także, że gdy będzie trzeba pędzić do okopów niemieckich, znajdę cię zawsze przy sobie. Za to też mimo pogróżek w twoich pijackich oczach, lubię cię, ty nieświadomie wzniosły żołnierzu...

W końcu Colèri zamilkł, a kapitan oświadczył poważnie:

— „Przyjacielu, nie tłumaczysz się dostatecznie. Twoja wina. Cóż chcesz? Sprawiedliwość wymaga, byś za to odpokutował. Wniosę dla ciebie o 30 dni aresztu".

—„Trzydzieści dni aresztu!"— pomyślał Colèri.—„Po pięć sous dziennie potrąconych z żołdu; to wynosi siedem franków pięćdziesiąt. Muszę za wszelką cenę z tego się wywinąć!..."

Dodał więc głosem żałośliwym:

— „A więc tak, kapitanie, zaraz panu powiem. Spóźniłem się, bo matka mi zachorowała tego dnia, kiedy miałem wyjechać."

Tak mu się udało wpaść w ton, że oficer pochwycił te słowa: zainteresował się, pytał o szczegóły. Mówił tak po prostu, bez udanego rozczulenia, które mogłoby drażnić szeregowca. Zupełnie jak dobry towarzysz, współczujący zmartwieniu drogiego mu Colèri.

Słowa kapitana miały taki pociągający czar, że wzbudziły skruchę Colèri.

— „A jakżeż się teraz ma twoja matka?" — pytał dowódca. „Czy można coś dla niej zrobić? Jest bezwładna? — mówisz. Ach! biedaku; rozumiem cię. Czy możesz mi dać jej adres? Mam

w Paryżu żonę, która ma dosyć wolnego czasu; miło jej będzie odwiedzić twoją matkę i może jej w czem dopomóc."

Colèri już nie mógł wytrzymać i zaczął bąkać:

— „Ach! kapitanie, to już wolę wszystko powiedzieć. Jestem świnia i kłamię. Wcale nie prawda; moja matka nie chora. Pan jest za dobry. Daj mi pan sześćdziesiąt dni aresztu i już... To wyniesie piętnaście franków potrąconych z żołdu, zasłużyłem na to!..."

— „Kiedy tak, toć oczywiście, przyjacielu... sprawiedliwość wymaga. Jeśli skłamałeś muszę ci zapisać sześćdziesiąt dni aresztu..."

— „Dziękuję, kapitanie... pan jest za dobry... dziękuję! dziękuję!"

Colèri wyszedł, a oficer zwrócił się do starszego sierżanta:

— „Rozumie się, że oczywiście kary nie będzie..."

ROZDZIAŁ X.

GŁOS PRZESZŁOŚCI — PRZED ATAKIEM...

Do nieznajomej wdowy, kwiecień 1915 r.

Czcigodna Pani! Zawiadomiono Cię w pięknych i wzniosłych słowach, uświęconych zwyczajem, że ofiara dokonana: „Zginął na polu chwały — jako waleczny żołnierz... w obliczu nieprzyjaciela." To echo starych dźwięków sławy zabrzmiało szlachetnym tonem ponad twoją boleścią.

Lubię, gdy nad trumną towarzysza padają takie wyrazy; czyliż ten wzdzięczny rytuał nie zawiera wszystkich pociech, jakie można nieść w darze towarzyszce poległego żołnierza?

Chciałbym jednak jeszcze, by mi było wolno pokazać Ci, czcigodna Pani, obraz, jaki mi pozostał w pamięci po Twoim mężu... Ale jestem ci zupełnie nieznany, gdyż stałem się przyjacielem twego męża dopiero w przeddzień jego skonu. To też kartki te rzucam na wiatr...

Zdarzają się takie wieczory zimowe, gdy z nieba, nisko zaciągniętego chmurami, płynie w duszę żałość, jakby muskając ją czarnemi skrzydły śmierci. Najdzielniejsi żołnierze znają także tragiczne nastroje a ponieważ ulgę może im przynieść tylko przyjacielskie uczucie, w takich momentach między towarzyszami broni rodzą się nagle nierozerwalne związki przyjaźni.

W tych dniach obaj z mężem Pani przeżywaliśmy tego rodzaju chwilę. Było to o zmierzchu jednego z ponurych dni marca bieżącego roku. Wszystkiemi traktami w Argonach maszerowały armje, rozczłonkowane na tysiąc kolumn i taborów i wydawały się jak olbrzymie fale ludzkie, pędzone szalonym orkanem ku wschodowi. Choć znaliśmy się bardzo mało, rozmowa

nasza szybko zeszła na zwierzenia. O czemże mieliśmy rozmawiać, jeśli nie o Wielkiej Tajemnicy, tak nam bliskiej o — „Pani Śmierci", jak ją zwali ze czcią ludzie dawnych czasów. I my również, żołnierze dzisiejszej doby, w prostocie ducha mamy dla niej tyle szacunku, że skłaniamy głowy przed jej niewidzialnym majestatem.

Lepiej niż ktokolwiek zna Pani potęgę umysłu tego, którego w tej chwili opłakuje i wie Pani jak on wpatrzony w sferę wielkich idei.

„Zdaje mi się, — były jego słowa — „że dziś dopiero rozumiem znaczenie śmierci żołnierza... Niegdyś za młodu wyobrażałem sobie walczącego żołnierza, jako istotę, obdarzoną jakąś nadprzyrodzoną cnotą. W tylu poematach czytałem słowa uwielbienia dla szczytnych czynów na polu walki, że jaknajgoręcej pragnąłem dostąpić tej łaski, która najpospolitszego człowieka podnosi na wyżynę bohaterstwa. Ach! jakże piękne były te rycerskie postacie wskrzeszane z książek czytanych, gdy pędziły na śmierć, jak na wielkie święto!... Dla nich śmierć była rozkoszą. Gwałtowne pragnienie oddania się na ofiarę, złożenia życia swego na ołtarzu chwały, odrywało ich dusze od ziemi i ciskało w niebo, dusze, drżące uniesieniem i promieniejące blaskiem chwały.

„Kilku naszych towarzyszy zginęło w takim szlachetnym uniesieniu i podziwiam ich jak świętych, uwieńczonych palmą męczeństwa... lecz ja od początku wojny daremnie badałem swą duszę i bynajmniej nie odkryłem w niej tego gwałtownego pragnienia śmierci. Niewątpliwie, gardziłem śmiercią idąc do boju; dla nas wszystkich jest to punkt honoru. Ale po walce zawsze byłem rad, że uniknąłem śmierci. Zawstydzony oskarżałem się sam przed sobą o małoduszność i niskie uczucia i chętnie ukryłbym przed wami tę zgryzotę, jako skazę moralną, gdyby nie to, że w tych dniach widok całej tej gorączki wojennej, która nas otacza, objawił mi inną postawę żołnierza wobec śmierci, bardzo ludzką, bardzo pokorną, lecz posiadającą również pewne rysy piękna.

„Weźmy naprzykład te pułki idące pod Verdun... odczuwa się w jakiej one poruszają się atmosferze... Zdala grzmot dział przypomina jakąś olbrzymią złowrogą maszynę do miażdżenia ciał ludzkich, a my piechurzy wiemy doskonale, że gdy przyjdzie chwila rzucenia się pod nawałnicę granatów, to maszyna ta nie jest wtedy bynajmniej wyobrażeniem, lecz rzeczywistym faktem. Jakgdyby dla tem większego postrachu wokół roztacza się posępny, rozpaczliwy krajobraz zimowy, czarne sylwetki drzew rysują się na bladem niebie... Krew w żyłach, myśl w mózgu krzepnie od zimna... mgła pokrywa całunem wszystkie przedmioty... i oto zrywa się stado kruków i pędzi na wschód... tam gdzie wał trupów się gromadzi. Jakaż rozpacz zalegać musi dusze tych ludzi!

„A jednak proszę spojrzeć na to napięcie energji... na tych żołnierzy kipiących życiem. Niektóre postacie są poważne

i skupione, ale na wszystkich znać pragnienie wytężonego działania. Oto cud, dla nas nie dostrzegalny tylko dlatego, że powtarza się w tysiącach dusz naraz... By to zrozumieć, należy sobie wpierw uprzytomnić stan duchowy człowieka, którego lekarze skazali na śmierć niechybną. „Na cóż działać?" myśli sobie; — „jakże błahe są wszystkie czynności codziennego życia!" — Trzeba sobie wyobrazić tych chorych... ich wzrok nieprzytomny, ich zupełną obojętność na sprawy tego świata, ich znużenie... Ach niechże ich zostawią samych sobie, niechże im dadzą umierać spokojnie. Cała literatura odtwarza ten stan, jako stan zupełnej abnegacji ludzi, oczekujących śmierci.

Zdawałoby się że i u żołnierzy, skazanych na niechybną śmierć, powinniśmy zauważyć podobne objawy! Lecz nie! „Tu nie widzimy nic podobnego... całemi dniami dusza moja obcowała z temi pułkami, które tędy przechodziły, stykałem się z młodym żołnierzem, wesołym i wolnym od troski, żołnierzem o dojrzałości i stanowczości mężczyzny, o stoickiej rezygnacji rolnika... u wszystkich wyczuwałem to cudowne pragnienie czynu natychmiastowego, zdecydowanego na wszystko, aż do ostateczności... Daremnie groza śmierci staje w całej nagości, daremnie rozum wskazuje na straszny hazard, na który się wystawiają... Nikt nie myśli o tem, by się zatrzymać i pytać: „Na cóż to wszystko?" Działają, pracują, zawzięli się żyć aż do końca...

„Jakiż tedy głos tajemniczy woła do nich: „idź! idź!" w tej godzinie, gdy rozum wskazuje im dokładnie tragiczną przepaść, w którą runąć mają na wieki?"

Po tych słowach, Pani, mąż Twój wstał ożywiony dziwnem podnieceniem. Ogarnęły nas zwolna mroki nocy i każdy z nas miał złudzenie, że jest sam jeden.

„I ja"—ciągnął dalej—„usłyszałem ten głos i zapamiętałem go... On to nakazuje każdemu z nas przyczyniać się do tego, by przyszłość lepsza była od teraźniejszości. Marzę o tem, by naród francuski osiągnął to, co da mu wielkość i piękno, chcę na przyszłość tryumfu idej, które poczytają za sprawiedliwe, wierzę, że dzięki naszym wysiłkom dzieci Francji szerzej oddychać będą i wyrosną na wspaniałych ludzi, jakimi my pragnęliśmy zostać. Ach! ta piękna, świetlana Francja przyszłości, jakże olśniewającym blaskiem opromieni ona świat, gdy groza narodu-drapieżcy nad nim ciężyć przestanie... Jeżeli śmierć nas oszczędzi, może ujrzymy zawiązek tego nowego życia Francji...

„Jestem pewny, że wszyscy nasi żołnierze czują w duszy tę prawdę, choć ich umysł jej nie formuje... i dlatego nie należy mówić żołnierzowi: „idź na śmierć", lecz przeciwnie: „idź ku szerszemu, pełniejszemu życiu!"

Słuchałem w milczeniu człowieka, który mi odkrywał szlachetną głębię swej duszy. A gdy umilkł na chwilę, usłyszeliśmy silniejszy grzmot dział, miażdżących nasze pułki. Ogarnął

mię straszny żal na myśl, że ten wzniosły umysł, który w tej chwili wiódł mnie na wyżyny, jutro może już przestać pracować. Widocznie mąż pani odczuł, tak jak i ja, niepokój, ogarniający tych, co idą na ofiarę, bo dodał po chwili:

„Przyznam się wam, że czasem lęk mnie bierze. Ci ludzie, co krew przelewają dla wielkiego rozkwitu przyszłości, jakże będą mogli objawić, że taką a nie inną widzieć ją chcieli? A jeśli przypadkiem idea ich zostanie w wykonaniu spaczoną skutkiem okoliczności dziś jeszcze nieznanych?! — Ach, widzicie, to ciężka troska, dręcząca tych, co tworzą kształty przyszłości. Nie mają oni pewności, że owo przyszłe życie, któremu poświęcają siebie, ułoży się zgodnie z ich wolą, a wtedy okrutna wątpliwość czepia się duszy: „Czyżby daremnemi miały zostać nasze trudy i ofiary?“

„Widzę, że ta myśl niejednego dręczy. Z niej zrodził się projekt pewnego wielkiego pisarza*), który chce, by w przyszłej organizacji społecznej, osoby bliskie i drogie poległym żołnierzom, wdowy, rodzice, jako przedstawiciele bohaterów, wyrażali wolę tych, którym śmierć odjęła możność działania.

„Ta myśl ogromnie mi się podoba — nietylko dlatego, że przedłuża istnienie poległych, lecz nakłada wielki obowiązek na ich wdowy. Oto słaba, zbolała niewiasta ma być przedstawicielką swego towarzysza życia w tej wielkiej przyszłości, za którą on ginął. Drżąc, podejmować będzie tę zaszczytną misję i może na razie wyda jej się nazbyt ciężką, skoro jednak zrozumie swój obowiązek, jakaż nastąpi w niej przemiana wewnętrzna! Stanie się to dla niej punktem wyjścia do rozrostu duchowego. Reprezentować swego męża w życiu współczesnem, to nie zasadza się wyłącznie na odgrzebywaniu w pamięci jego poglądów osobistych i przekazywaniu ich w jaknajwierniejszej postaci. Żołnierz poległy, gdyby żył, tak samo, jak wszyscy inni, byłby rozwijał swe zapatrywania. Nie byłby tem samem w 1930 roku co w 1914-ym. I wdowa jego zatem powinna rozwijać i kształcić idee, zaczerpnięte ze wspomnień o nim, jeśli chce utrwalić jego pamięć.

„Jakże płodnem jest takie zobowiązanie moralne! Wdowa pogrążona w przepaść rozpaczy, czuje się zmuszona powrócić do życia... myśleć, przyswajać sobie i zgłębiać idee... działać w imię tej samej miłości, którą chowa w sercu jak relikwje... A dzięki temu duch zabitego żyje i trwa... Nie całkiem umarł jeśli myśl jego nie zginęła wtedy, gdy on padał! Wierna i kochająca towarzyszka pochwyciła ją, piastuje i hoduje, by owoc wydała.“

W tej chwili mimo nas szedł nowy pułk. W mroku ledwie mogliśmy rozróżnić sylwetki żołnierzy. Wojsko to wydawało nam się potężniejsze niż zwykle, niby symbol owego cu-

*) Aluzja do projektu głosowania umarłych, rzuconego przez Maurycego Barrés.

downego porywu woli ku czerwonym krańcom widnokręgu — porywu, niosącego tam, gdzie śmierć żeruje...

Na ten widok przyszły mi do głowy wielkie słowa „Naśladowania“:

„Dimitte transitoria et quaere aeterna“.

Któż bardziej, niż żołnierz idący w ogień dział, traci z oczu rzeczy doczesne i małe, by patrzeć wyłącznie w oblicze wieczności. Niechaj Bóg daje każdemu po śmierci taką wieczność, na jaką zasłużył! Lecz jest i nieśmiertelność, którą ojczyzna i na ziemi winna zapewnić swym obrońcom a mianowicie: trwanie między żywymi ich myśli i woli.

Mąż pani milcząc pogrążył się w myślach... głowę wzniósł ku niebu i przysiągłbym, że wzrokiem śledził jakiś obraz myśli, że widział tam postać Tej, na którą może kiedyś spadnie misja zapewnienia wieczności jego myślom i pragnieniom serdecznym.

Nazajutrz rano bataljon jego ruszył do Verdun.

ROZDZIAŁ XI.

KARABINY MASZYNOWE 2-go BA-ONU.

Październik 1916.

Dawno już karabiny maszynowe 2-go Ba-onu czyhały na sposobność odwetu. Na odcinku, z którego je świeżo wycofano —gdzie wielkie natarcia ustały — zajmowały one stanowisko w drugiej linji, zupełnie spokojnej i bezpiecznej. Co najwyżej padały tam kule i granaty, o minach i fugasach nie było ani słychu. To też można sobie wyobrazić, jak niemiłosiernie drwiono z nich jako z „dekôwników“. To ich doprowadzało do pasji. Nie szło o nich samych; oni byli „dziećmi szczęścia“; a wiadomo, że każde „dziecko szczęścia“ może obojętnie przyjmować sarkazmy zawistnych. Chodziło im głównie o porucznika Lacatre, który wydawał się bardzo zirytowany, gdy jakiś kpiarz krzyknął:

— Hejże, wy, z oddz. karabinów maszynowych, wy jesteście (o. k. m), „ocal kto może“, nie to co my: „Piechota spieszy pierwsza“. — (p. s. p. — pułk strzelców pieszych). — Te litery bywały transponowane w sposób najrozmaitszy: spytajcie jakiego znajomego relutona.

Zamiast śmiać się z tych drwinek, porucznik blednąc, przygryzał swoje blond wąsiki, że zaś cały oddział kochał swego dowódcę, wszyscy gniewali się z nim razem... Bourrn mruczał:

— „Powinien plunąć na to porucznik... Niechno trochę poczeka na pierwszą cięższą przeprawę, a pokaże się, czy my jesteśmy do niczego.“

Jesteśmy nad Sommą, pierwszego dnia; na północ od Bouchavesne, mamy wziąć udział w bitwie narazie jednak jesteśmy jeszcze w tyle. Bourrn, maszerując z drugą kolumną, niesie swą maszynkę na plecach. Jasnem jest że gdy tylko nasze linje

doszły do grzbietu, odezwały się niemieckie karabiny maszynowe. Posuwamy się pomimo to w największym pędzie: „Naprzód! naprzód!“ słychać zewsząd; — musimy jednak niebawem schować się w dołach od granatów.

Bourrn nie stracił głowy; wie on dobrze, że jego rolą, wraz ze swymi towarzyszami Mavreau i Yvonner, jest zwalczać nieprzyjacielski karabin maszynowy. Próbuje nastawić swą maszynę; ale jak mierzyć? Kule nieprzyjacielskie zdają się iść zewsząd. Ostrożnie wychyla się karabinowy z za krawędzi dołu i patrzy.

— „Uważaj!“ przestrzegają koledzy.

— „Niema strachu...“ odpowiada im.

Ale w tejże chwili pada, rzężąc, ugodzony prosto w głowę.

Mijają godziny... Kilka razy skokami przeprawiano się z jednego dołu do drugiego. Wzdłuż przebytej drogi leżą ranni i zabici. A w każdej nowej pozycji powtarza się usiłowanie wykrycia niemieckich maszynek, plujących nieustannie. Wokoło widać jedynie pola owsa, skłębionego pod gradem pocisków.

W danym momencie cały oddział karabinów maszynowych znajduje się w ciasnym parowie. Nie wystrzelono jeszcze ani jednego naboju. Na prawo i na lewo piechota, leżąc w dołach od granatów, czeka, by jakaś wyższa siła — artylerja z tyłów, działka 37 mm. lub karabiny — poskromiła djabelskie maszyny, które warczą szyderczo: tata-tata-tata. Porucznik Lacatre jest przy oddziele. On ma nietylko rozwiązać zadanie taktyczne, lecz wystawiony jest również na moralną próbę. Odgaduje również niespokojne wyczekiwanie otaczających go piechurów i odczuwa swą ciężką odpowiedzialność. Dręczy go i trawi pragnienie podtrzymania ich ogniem swych maszynek. To pech! siedzieć tutaj z ośmiu gotowemi do strzału karabinami i nie mieć żadnego widocznego celu! Cóż powiedzą inni oficerowie? Cóż za męka tkwić tu, w tej szczelinie i nie móc dosięgnąć — niewiadomo gdzie.. Wszystkie marzenia o tem, że oddział swój powiedzie do sławy, obracają się w gryzące upokorzenie, które mu całkowicie zasłania niabezpieczeństwo.

Od czasu do czasu ktoś z jego ludzi wygląda ostrożnie i oświadcza:

— „Nic nie widać.“

Istotnie, pole walki jest zupełnie puste. Ile razy jednak jakiś żołnierz wychyli się ze swej nory, natychmiast świszczą złośliwe kule.

Nad nimi wysoko przechodzą granaty z przeciągłym sykiem. Żołnierz patrzy na swego dowódcę, czekając jego rozkazu... Bourrn z rozczuleniem spogląda na niego.

— „I zawsze biedaczysko krwi sobie napsuje!“ myśli.

Nad wieczorem żołnierz, który się prześlizgnął o 50 metrów na prawo, wraca i mówi:

— Widziałem, że Niemcy ruszają się, tam wprost, nas z boku.

Widocznie gotują się do przeciwnatarcia. Możnaby ich wziąć pod ogień stamtąd, gdzie ta mała wyniosłość.

Nim porucznik zdążył wydać rozkaz, żołnierze pierwszego plutonu maszynek zerwali się i skoczyli ku wskazanemu stanowisku. Ledwie jednak wdrapali się na ścianę wąwozu, usłyszano odgłos ciężko walących się ciał i brzęk żelastwa, staczającego się po ziemi. Potem ruch ustał. Rój kul zmiótł wszystko.

— Ach! zawołał jeden z obserwatorów, wszyscy zniknęli.

Przyszła kolej na Bourrn i jego maszynę. Posuwają się naprzód wszyscy, celowniczy i amunicyjni. Zatrzymują się o 10 kroków w dziurze od granatu. Dwaj koledzy padli podczas przeprawy. Bourrn krzyczy wgłąb wąwozu: „Hejże, przysłać mi dwóch zastępców". — Nowy skok, znowu pada jeden żołnierz, innego wzywają zastępcę. — Ośmiu ludzi padło, nim stanęli we wskazanem miejscu. Został tylko Bourrn i jego towarzysz Huguenin. Pozycja do strzału jest istotnie znakomita. Doskonale widać Niemców, gotujących się do przeciwnatarcia, lecz stanowi się również cel dla nieprzyjaciela widoczny.

Dzyng! pada Huguenin. To już dziesiąty leży na placu!

— Idźcież stąd! krzyczy porucznik Robert, stojący o 50 kroków na lewo. Wasza pozycja nie da się utrzymać.

— Nasz porucznik kazał nam ją zająć, więc ją zajmiemy.

A oto zjawia się nowy żołnierz jako uzupełnienie. Właśnie w tej chwili zrywa się przeciwnatarcie niemieckie. Widać doskonale wynurzające się z ziemi linje wrogów, posuwające się—dalibóg—bardzo dzielnie. A na szczęście nasz karabin maszynowy już czeka. Bourrn ze swą maszynką bierze linje nieprzyjacielskie z boku, inne maszynki pozostawione w jarze, mogą teraz siec je jak biczem.

W ciągu niecałego kwadransu wystrzelono 6000 ładunków, a porucznik wskazywał coraz to nowy cel. Ludzie oblewali się potem, jakby zwijający się w gorączkowym pośpiechu robotnicy przy warsztacie. Chwilami żartowano:

— „A to dajemy szkołę Niemiaszkom!"

— „Poruczniku, a będzie poczęstunek wieczorem?"

Tam naprzeciw, o 700 metrów przed nimi, padają Niemcy, jakby zataczając się na lodzie. Ale i ich kule golą krawędź jaru. Od czasu do czasu trafiony żołnierz toczy się bezwładnie w dół po zboczu.

Gonfelmi, jeden z najstarszych wojaków z oddziału k. m drugiego ba-onu, konając, mruczy jeszcze do kolegów:

— Co tam? nie patrzcie na mnie, wracajcie do maszynek!

Obok Bourrn'a i jego kolegów wybucha granat. Obadwaj podnieśli się bez szwanku, lecz maszyna zapchała się ziemią. Natychmiast rozebrano ją, celem oczyszczenia. Dwaj żołnierze obcierają ją chustkami do nosa i czyszczą zamek.

Ośm minut później strzelają na nowo.

Nim piechota zdążyła się spostrzec, co się stało w głębi jaru, niemieckie przeciwnatarcie zostało powstrzymane a wał trupów niemieckich zalegał ziemię.

Nocą, gdy porucznik prześlizgnął się do stanowiska zajmowanego przez Bourrn'a tenże z udaną dobrodusznością zapytał?

— A co? poruczniku, czy będą się jeszcze natrząsać z o.k.m.?

ROZDZIAŁ XII.

ROCZNICA ZWYCIĘSTWA.

Ville sur Cousauces, 12 września 1916.

W gorącej duszy tego młodego dowódcy wojna płonęła całym blaskiem poezji; nie minął ani jeden dzień kampanji, by mu nie przyniósł wrażeń, potęgujących poczucie, że dokonywa czynów wielkich i niezwykłych; zapał wojenny był dla niego jak gdyby religijnem uniesieniem.

Jakżeby pragnął natchnąć swych żołnierzy swoim poglądem na wojnę! Ale większość tych dzielnych wojaków, których miał pod swemi rozkazami, oswoiła się z temi strasznemi przeżyciami, a raz postanowiwszy spełnić swą powinność, nie rozmyślali nad tem więcej. Teraz już wykonywali ruchy żołnierskie automatycznie, jak rzemieślniczą robotę — trochę niebezpieczniejszą niż każda inna — i na tem koniec.

Oczywiście, dobrze się stało, że ten nałóg się zakorzenił, jednakże z zastrzeżeniem, by w pewnych chwilach te proste dusze mogły doznać elektryzujących wzruszeń, któreby je podniosły na wyżynę wojennego heroizmu.

Oddział jego był rozłożony tymczasowo w małej wiosce nad Mozą, w pobliżu frontu, — tam, gdzie jesienią zeszłego roku przeszedł wielki orkan bitwy.

Zbliżała się rocznica tego zwycięstwa. Dowódca poprowadził swój oddział na pewien punkt pola walki i tam miał mu przypomnieć wielkie czyny armji.

Nad mogiłami zagrały trąby, rytmicznym ruchem bagnety oddały pokłon na „prezentuj broń!" Odbyła się defilada. Potem pod jednym z krzyżów mogilnych żołnierze otoczyli kołem dowódcę.

Ten zamierzał wygłosić półurzędową mowę. Bataljon zajmował przełęcz niedaleko od wsi Ville sur bousances. Grube chmury zasłaniały słońce... Naraz w chwili gdy dowódca miał zacząć mówić, krajobraz się zmienił; obłoki się rozdarły i potok słonecznego światła oblał ściernisko, rozciągające się bez końca. Wszystko przybrało odmienną postać, przyroda ukazała się jak świątynia, przygotowana na wielkie nabożeństwo.

Dwie przełęcze, górujące nad wioską, wydały się niby dwa łuki tryumfalne, uwieńczone koronami drzew; nad wszystkiemi

wgięciami doliny, obszarem pól, nad całym tym barwnym krajobrazem unosiła się tęskna harmonja, jakgdyby natchnieniem genialnego artysty wyczarowana z tego prostego widoku. Wietrzyk lekki, kołysząc gałęzie wierzb, błyskał białemi listkami, które powiewały jak srebrne palmy wybrańców, a zdala smukłe brzozy o pniach śnieżystych stały niby gromnice kościelne. U stóp naszych kwitły skromne fioletowe kwiatki, zapowiedź bliskiej jesieni. Jakiś dziwny nastrój nas ogarnął. Żołnierze uczuli wtedy, że wraz ze swoim komendantem przeżywają dziwną i nie powrotną chwilę, do której kiedyś w przyszłości z tęsknotą myśl powracać będzie: pierwszą rocznicę bitwy, która ocaliła cywilizację ludzką.

... Czyż wobec tego wspomnienia nie zbledną wszystkie inne? A zwłaszcza, jeśli się wie, że dramat jeszcze nie rozegrany do końca i że dziś lub jutro można samemu paść jego ofiarą. Wszystkich przejmowało dziwnie mięszane wzruszenie... Czy miało ono pozostać przelotnym dreszczem, znikomem zakłóceniem bezwładnego spokoju duszy? Czy też miało sięgnąć do umysłu i zostać uszlachetnionem przez pełne uświadomienie? Każdy pragnął wyzwolenia, jak autor, opanowany uczuciem, któremu nie zdołał dać wyrazu.

Silniej niż inni, doznawał tego pragnienia sam dowódca. Czyliż ta rocznica nie przejmowała go więcej niż wszystkich, jako wspomnienie jego pierwszego boju, stoczonego tam, po przeciwnej stronie linji, pod Barcy?

Równocześnie jednak panowało nad jego umysłem pojęcie nowego obowiązku, który mu spełnić należało: jego rolą dowódcy było dopomóc duszy tych ludzi wznieść do poziomu owej chwili. To też przemówił.

Bez oficjalnych zwrotów — mówił jak człowiek natchniony, który sam ze sobą rozmawia.

„Tylko ten obszar pól może dziś odpowiadać naszym rozmyślaniom i modlitwom... Otwórzmy oczy: w koło nas kipi życie. Tam, gdzie nasi najbliżsi cierpieli, jęczeli, wyli z bólu i krew przelewali w niewymownej udręce, dziś tylko ciche na wpół zapadłe mogiły. Przyszli oracze, wyrosły kwiaty i zboża, szczątki pobojowiska zarosły trawą, ptactwo śpiewa... Jakaż melancholja tkwi w tem zwycięstwie przyrody. Możnaby myśleć o świętokradztwie zapomnienia i burzyć się przeciw niemu; — ludzkość przecież w tem swą wielkość zakłada, by ślubować wieczną pamięć tym, których czci i wielbi".

Dowódca przywiódł na myśl poległych przyjaciół: Karcher, Muirielle, Hayez, Orophane, Lareque... i tylu innych śpiących dziś spokojnie na wzgórzach i równinach Lotaryngji i Marny. Wstrząsnął się i podniósł głowę.

„My tutaj teraz spełniamy ślub wiecznej pamięci... Widzę te domy spalone, rozwalone na pół, które spotyka się nieraz w ponurych zaułkach i które przypominają grozę, spełnionego mordu. W koło nas ścięto zboże, lecz krzyże pozostały. Plon,

który tu zbierano rok temu, nie gromadzi się w śpichlerzach; on musi tkwić w ziemi i użyźniać ją na wieki".

W uniesieniu dowódca snuł dalej wątek swej myśli „Z tej wyżyny, my, towarzysze boju poległych, możemy dumnie spoglądać... Cała ziemica, którą widzimy dookoła siebie, to ziemia francuska, przez nas na nowo zdobyta. Jakiż rozgłos sławy! — grzmi on nad nami, niby wrzawa trąb, obwieszczających zwycięstwo. Póki tu był nieprzyjaciel, zdawało się, że mroczne więzienie gniecie kraj swemi ciężkiemi murami. Przyszły nasze pułki, obrońcy wolności zwyciężyli. Teraz kraj oddycha. Wydaje się, jakby wyswobodzony ze strasznej ciemnicy. Wzniosły hymn unosi się ku niebu. Przed chwilą rozkwit przyrody był w moich oczach świętokradzkiem zapomnieniem; — to był błąd; — jej radość płynie z poczucia nowych sił, powstałych pod wpływem swej woli zwycięskiej, która skruszyła jej więzy. Życie na swój sposób składa hołd bohaterom: z ich soków budzi nowe soki żywotne i nieśmiertelności im użycza. Złóżmy dzięki poległym: im zawdzięczamy to moralne piękno, które nas opływa i unosi".

Tu wzrokiem objął drewniane krzyże na mogiłach. Wiemy, niestety, jak rzadko widać na nich wyryte nazwisko.

Ciągnął dalej:

„Chcielibyśmy z żalem i czcią wymawiać imiona tych bohaterów; żaden napis nie odpowiada na nasze tęskne zapytania... Nie płaczmy nad tem; jest tragiczna wielkość w ich bezimienności, — dla nas noszą oni imię bojowników wolności. Przeznaczenie — rzucając ich do wspólnego grobu, kazało im stać się wcieleniem i dalszych słów narodowego hasła: „Równość i Braterstwo". Niechaj pozostaną tedy w naszej pamięci, jako wspaniały tłum od którego bije blask czci i sławy".

Dowódca przez chwilę milczał; zamyślony patrzył chwilę na linję gór, wznoszących się w północnej stronie, potem przemówił:

„Nad Argone przeszła chmura, pociemniało. W tej sekundzie dojrzałem nowy symbol. Tam oto ostry wierzchołek l'Epinay, wydał mi się olbrzymim łbem wielkiego zwierza, którego ogromny tułów rysował grzbiet gór, ciągnących się od tego wierzchołka. Wyglądało to tak, jakgdyby jakiś czołgający się potwór legł na ziemi i szarpał ostremi kłami naszą ojczystą rolę. I tak jest istotnie: tam na północy wróg...; przypominają nam o tem co wieczór czerwone ognie pękających pocisków... Ileż razy wlepialiśmy spojrzenia w tę stronę widnokręgu. Tam bestja teutońska wciąż pastwi się i wścieka; my ją poskromimy"!.

Długo jeszcze przemawiał oficer.

Słuchając go, myślałem o tajemniczych prawach, które stwarzają powagę wodzów narodu. Prawdziwym przywódcą jest ten, który umie budzić w ludziach zrozumienie wzniosłej strony życia i podnosić przez to dusze na wyżyny ofiary. Prorocy, agitatorzy polityczni, świętobliwi założyciele sławnych zgromadzeń zakonnych,

wodzowie krzyżowców, władcy, stojący na czele ludów — są to przedewszystkiem poeci, porywający serca tłumów. Ich spojrzenie, dźwięk ich głosu ucisza grube śmiechy ludzi pospolitych, potrafi nadać życiu inną wartość. Co egoista poczytywał za omamienie, staje się wzniosłym czynem; najmarniejszy człowiek przez jeden poryw — podnosi się do rzędu tej wspaniałej kasty wybrańców, która umie bez drgnienia powieki spoglądać w oblicze śmierci. By jednak wywoływać te przewroty moralne w duszach ludzi, do jakiegoż stopnia naprężenia uczuć i woli musi wódz doprowadzić duszę własną? A ten oficer — jeden z wielu zresztą — który nas tak wzruszył owego dnia, jakiemże silnem wzruszeniem musiał być sam opanowany!

ROZDZIAŁ XIII.

OFIARA Z ODWAGI.

Październik 1916 r.

Siedząc przy stole, gdzie nas ugaszczano — Piotr Abrac i ja, urlopowani na dni siedem, usłyszeliśmy entuzjastyczny głos dziewczęcia:

— Czy czytaliście w gazetach o tym oficerze, któremu tak pilno było biec do szturmu, że pędził naprzód przed swoim pułkiem, nim dano sygnał, biegł niepowstrzymany, wyzywając niebezpieczeństwo. Jakiż to wspaniały, iście francuski gest!

Porucznik Abrac wraz z innymi podziwiał również bohatera chwili. Bardzo miły chłopak, ten Piotr, ale w rodzinie uchodzi za człowieka chłodnego. Niewątpliwie obowiązki swoje spełnia przyzwoicie, a świadczą o tem skromne wzmianki w rozkazach dziennych. Ładna kuzynka Lidja wolałaby jednak, aby miał trochę więcej rycerskiej fantazji. Ach! tak; pióropusz, białe rękawiczki, mina wojownicza, urągliwe słowa pod adresem szwabów lub lekceważące o śmierci — oto prawdziwy, oficerski szyk! Zamiast tego szyku i fantazji, u Piotra spotyka się ona tylko z prostem, spokojnem opowiadaniem o straszliwej wojnie, a w tem ciągle mowa o bombardowaniu, okopach, trupach, dołach po granatach. Nie, zaprawdę, czemże to jest wobec tych przejmujących opowieści, w których żołnierze wielcy, jak postacie z epopei, z uśmiechem na ustach przechodzą wśród gradu kul... Przed wojną myślała czasem Lidja, że Piotr nadawałby się na męża, którymby się pochwalić można, ale teraz? Nie, stanowczo był zanadto prozaiczny.

Gdy na twarzy dziewczęcia czytałem te niewypowiedziane myśli, bolesny uśmiech błądził na wargach Piotra. Odezwałem się tedy:

— Ponieważ pani tak lubi bohaterskie powieści, opowiem pani jedną z nich... Pewnego ranka pułk nasz miał atakować nieprzyjacielskie okopy w lesie Saint Pierre Vaast. Położenie

było klasyczne; wystarczy kilka słów, by pani miała obraz osób i tło, na którem występowały. Noc była na schyłku; brudne, leniwe światło zaczynało zwolna obejmować okolicę; zdawałoby się, że przez ostrożną dyskrecję nie chce ono zanadto uwydatniać okropnego widoku. Cały widnokrąg zasłany jakby wielkiemi kretowinami po wybuchach granatów, a wśród tego drzewa potrzaskane i kalekie, wzgórza poryte i poszarpane, słowem, jakiś krajobraz księżycowy, ziejący jakby odwieczną pustką. W szeregu okopów, połączonych dobiegowemi, prostopadłemi rowami, ludzie z naszego pułku skuleni i drżący oczekują na rozkaz pójścia do ataku... Niech Pani nie myśli, że będę się rozwodził nad wysokiem znaczeniem stoicyzmu tych żołnierzy. Nie, zwrócę Pani uwagę na zasługę jeszcze subtelniejszą niż ta...

— O 6-ej godzinie rano zaczyna się przygotowanie artyleryjskie. Bądź co bądź to trochę porusza nerwy, gdy widzi się, jak pociski biją w teren, który się ma zdobywać. Tę przyjemność każdy odczuwa w swój sposób, zależnie od swego usposobienia.

— Patrzaj — mówi jeden z żołnierzy — artylerja nasza tak postępuje z Niemcami, jak kucharz z befsztykiem, który ma iść na patelnię. Tłucze ich, aby byli kruchsi.

— Porucznik jeden myśli w duszy: „Za kilka minut przyjdzie dla mnie śmierć lub sława". Ach, o ileżby wolał, żeby przyszła sława! Jakżeby mu byłoby miło pisać do swej ukochanej: „Zdobyłem krzyż za waleczność, gdyż pierwszy wdarłem się do nieprzyjacielskiego okopu w lesie Saint Pierre Vaast".

— Atak ma się rozpocząć o 7-ej minut 10. Czas płynie Artylerja nieprzyjacielska odpowiada słabo. Zapewne odgadła o co chodzi i chowa ogień zaporowy na ten moment, gdy niemiecka piechota, jeszcze żywa, da znać czerwonemi rakietami, że fale naszego ataku już się poderwały.

Dla obu przeciwników jest to moment krytyczny. Tam daleko, na trzy lub cztery kilometry przed nami, nieprzyjacielska artylerja gotuje się nas wykosić, a obserwator jej czyha na sygnał czerwony rakiety. Niech się tylko ukaże, wyjdzie rozkaz... trzydzieści sekund przerwy i nastąpi komenda, my zaś musimy skorzystać z tych trzydziestu sekund, by wyskoczyć z naszych okopów. Jeśli pomkniemy dość szybko, ogień zaporowy uderzy za nami.

— O godzinie 7-ej minut 8, młody porucznik, o którym była mowa, doznał silnego wzruszenia; rzuciwszy wzrokiem w stronę Niemców dostrzegł, że ci, co byli wprost niego o 100 metrów tylko, uciekali. Jakaż pokusa. Niema karabinów maszynowych, któreby go zatrzymać mogły. Dość byłoby zerwać się i krzyknąć: „Naprzód!" Ma prawo sądzić, że względy taktyczne nakazują to postanowienie. Niechże je tylko poweźmie, a nic nie ryzykując— z łatwością wyprzedzi swój pułk i wejdzie pierwszy, jak ów bohater, którego pani podziwiała przed chwilą...

— Ale pani rozumie, co nastąpi skutkiem tego. Skoro jego pluton się podniesie, nieprzyjacielskie czaty dadzą czerwony sygnał i w trzydzieści sekund później uderzą granaty, właśnie w chwili gdy podrywać się będą plutony sąsiednie...!

— W takich to momentach potrzeba najwięcej hartu i siły woli. Żołnierze z plutonu porucznika rozumieją dobrze, ile można zyskać, ruszając odrazu. Jeden z nich, gotów do skoku, mruczy — Dalejże! o co chodzi? marsz naprzód! Czyżby porucznika strach obleciał?

— Wszystko podnieca oficera do przyspieszenia rozkazu: zmniejszone trudności, zadowolenie żołnierzy, sława pierwszeństwa w dotarciu do nieprzyjaciela... Czyż nie jest przyjętym zwyczajem, że ten, kto w ataku wyprzedzi innych, otrzymuje wyrazy uznania? Duszę rozdziera walka wewnętrzna. Jeszcze minuta... jeszcze czterdzieści sekund — „Pędzę... tak... nie... tak... nie..."

— Nie, to byłaby nikczemność z mej strony — myśli oficer — i z prawdziwem bohaterstwem czuwa w ukryciu, czekając na chwilę, gdy będzie wolno ruszyć z miejsca.

Cały pułk ruszył razem jedną falą, skoczył ku niemieckim okopom, z których wystrzeliły czerwone rakiety, wzywając ogień zaporowy. Ten jednak nie mógł już wyrządzić szkody, dzięki sprawności i akuratności wykonanego manewru.

Dlatego to, proszę pani, Piotr Abrac, który tam teraz rumieni się na drugim końcu stołu, nie został odznaczony po ostatnim ataku. Jakżeż mogło być inaczej, kiedy nie wyróżnił się niczem od innych. Trzymał się w równym szeregu, na swojem miejscu, ruszył ściśle o oznaczonej godzinie...

ROZDZIAŁ XIV.

RAZ, WIECZOREM GENERAŁ OPOWIADAŁ...

Styczeń 1917 r.

I my także zimową porą na spokojnym odcinku lubimy odnawiać wspomnienia, siedząc przy płonącem ognisku. Osobliwy objaw! Zabawiamy się już dziś przygodami wojennemi jak starą legendą, gdy tymczasem ogień działowych pocisków, błyskający nad naszemi schroniskami, wciąż nam przypomina, że może nie dalej jak jutro, przyjdzie nam snuć dalej wątek historji...

Przysłuchiwaliśmy się, jak generał ***, pykając swoją fajkę, zwierzał się ze swych wrażeń dowódcy podczas ataku na V. Nie będę wam powtarzać dokładnie szczegółów tej sprawy. Nie ma dziś cywila, któryby nie umiał równie dobrze jak my, opisać przebiegu szturmu. Istotny patos boju tkwi w duszy, w duszach rodzin zwłaszcza... Dla żołnierza ten wielki dramat jest zawsze taki sam; myśl o śmierci przyjmuje on spokojnie lub odpycha ją

z przeżeniem; ale wódz musi rozporządzać nietylko swojem lecz i cudzem życiem. Przed tą ciężką odpowiedzialnością najmniej wrażliwe sumienia dreszcz przejąć może.

„Byłem przy obiedzie wraz z oficerami mego sztabu"—mówił generał—„gdy otrzymałem zawiadomienie, że atak, którego się domagałem, został postanowiony. Przez kilka chwil ja tylko jeden posiadałem ten sekret; w mojem otoczeniu porucznicy gawędzili o teatrze, muzyce i tancerkach. Jednym rzutem myśli objąłem wszystkich ludzi mej dywizji: w obecnej chwili odpoczywali po kwaterach, jedli, spali, pisali listy — najspokojniej w świecie. Z ust moich ma paść słowo, piorun z jasnego nieba, a dla wielu z tych ludzi rozpocznie się ostatnia faza życia. Przez kilka sekund mego zamyślenia poczucie tragizmu potęgowało się. Doraźnie przerwałem bieg snujących sie w duszy obrazów i wydałem rozkazy.

Od tej chwili stałem się znów tylko przyrządem do rozkazywania. W ciągu tej wojny nieraz żołnierz miał wrażenie, że jest robotnikiem w olbrzymiej fabryce, dowódca zaś pochłonięty czynnościami zawodowemi, niby kierownik wprawia w ruch maszynę z uczuciem, że działa z nakazu jakiejś wyższej konieczności...

Po cóż mam opowiadać o goryczy doznanego w tym dniu niepowodzenia? Ponieważ przywołujemy na pamięć tylko niektóre, najsilniejsze z przeżytych wrażeń, pozwólcie, bym zatrzymał się na wspomnieniu zaprzysiężonego wtedy postanowienia.

— Ponowię próbę...

Uczyniłem to dwa tygodnie później. Jakiż jednak niepokój dręczył mnie przed następnym atakiem! Z mego posterunku komendanta widać było stoki wzgórza, które zdobyć należało; pokryte ono było trupami, zostawionemi poprzednio. Żołnierze widzieli je również; czy to wrażenie, zbyt silne, nie zmrozi ich rozpędu? Czy przygotowanie artyleryjskie będzie dostateczne? Czy moje plany doprowadzą do celu? Czy rozkazy moje będą należycie zrozumiane? Czy nikt nie uprzedził nieprzyjaciela?.

Jedna minuta radości i dumy wynagrodziła mi wszystkie te troski; było to wtedy, gdy wyroiły się pierwsze fale ataku. Z mojego posterunku śledziłem ruchy wojska: ach! moi dzielni żołnierze! jakiż zapał ich pędzi! ani jeden nie został w okopie... wspinają się, idą, posuwają się, przeskakują... linja nie załamuje się ani odrobinę,—łzy rozczulenia cisną się do mych oczu, chciałbym być blisko tych ludzi, by ich uściskać. Opanowuje mnie radosna pewność: zwyciężymy. Kilku padło; to co się z nimi stało odczuwam własnemi nerwami i mięśniami; blednę jakgdyby mnie samego trafiono. Ale rozpęd pierwotny nie słabnie i niebawem całe wzgórze jest zajęte!

Ale czy pamiętacie terkot niemieckich karabinów maszynowych? Nigdy żaden dźwięk nie wydał mi się równie złowieszczy... Najprzód zerwał się z prawej strony wzgórza; zakląłem: „Do cholery! artylerja nie zniszczyła jednego blokhauzu!" W pięć

minut później zawarczało z lewej strony „tak, tak, tak"... potem ze środka... i później jeszcze z jakiegoś innego punktu... Wiłem się z bólu jak ojciec, patrzący na mord swych dzieci i nie mogący ich ocalić.

Na szczęście telefon działał.., Jedne bataliony donosiły o swych sukcesach, inne domagały się posiłków,—trzeba było bez wytchnienia wydawać rozkazy. Potem przyszła krytyczna godzina, gdy same złe wieści napływały: ten batalion zatrzymany; tamta kompanja zniesiona... meldowano o przeraźliwych stratach, wymieniano nazwiska zabitych oficerów: jeden pułkownik zginął; kilku majorów... Raporty kreślone pospiesznie ołówkiem, nieraz krwią zwalane, gromadziły się w mojej kwaterze, wstrząsanej przez wybuchy pocisków. Co chwila jakiś łącznik z twarzą rozpaloną lub śmiertelnie bladą nadbiegał, podawał papier... czytałem... same złe nowiny: zwycięskie przeciwnatarcie nieprzyjaciela; nieprzebyta zapora ognia działowego; bombardowanie gwałtowne, rozprężenie w jednostkach bojowych... Czyżbym jeszcze raz miał nakazywać wycofanie się ze zdobytych pozycji?

W takich chwilach rodzi się w duszy dowódcy najgroźniejsza pokusa... „Dość już krwi, dosyć trupów"—myśli—„zrobiliśmy, co było można, honor ocalony"... Jakąż byłoby to ulgą, gdyby można jednym wyrazem przerwać straszne dzieło śmierci! Nie można się poddawać tej słabostce, to wiadomo. Gdyby się wiedziało, że to są tylko podszepty litości nie trudno byłoby je uciszyć — choćby przyszło ze ściśniętem sercem wydać rozkaz: „Rezerwy naprzód—za wszelką cenę". Najstraszniejszem jest to, że i zimna rozwaga również napomina, że niekiedy najwyższym dowodem hartu woli dowódcy jest nakaz natychmiastowego odwrotu dla uniknięcia bezcelowej rzezi.

Nie zawsze można rozwiązać zagadnienie czystem rozumowaniem. Tego dnia nakazałem dalszą walkę, albowiem od chwili, gdy patrzyłem na moich ludzi, pędzących do ataku, miałem niewzruszoną, niemal mistyczną pewność zwycięstwa... Zwyciężyliśmy... i ja się tem nie chełpię, gdyż wewnętrzne przeczucie, które zadecydowało o wszystkiem, zawdzięczałem wyłącznie silnej woli mych żołnierzy, zdecydowanych zwyciężyć lub zginąć".

Generał już oddawna milczał, a myśl moja jeszcze pogrążona była w zgłębianiu tej zagadki, pełnej tajemnic, którą stanowi dusza dowódcy.

ROZDZIAŁ XV.

PAMIĘCI TOWARZYSZY BRONI.

Ville sur Iousames. Październik 1915.

Gdym czytał list z wieścią żałobną, w całej przyrodzie panował dziwny niepokój... Nagle zabrzmiał śpiew ptaka, jakimś gło-

sem okrutnym i szyderczym, jak gdyby dźwięk skocznej muzyki przed pogrzebowym orszakiem.

— — — — — — — — — — — — — — —

W Szampanji, na cmentarzu podobnym do tego tu, wznoszą się świeże krzyże, a jeden z nich wskazuje miejsce, gdzie spoczywa mój ostatni przyjaciel...

Od sześciu miesięcy powtarzałem w duchu: „Oh! Boże, zachowaj go jak najdłużej przy życiu, póki on żyć będzie, będę jeszcze mógł przypominać promienną przeszłość mej młodości."

Dziś on już nie żyje!...

Jestem sam; zdumiony i drżący dziwię się, że ja jeszcze istnieję... Prędko dajcie konia... Dzisiejsze wolne popołudnie chcę spędzić na samotnem rozmyślaniu pod październikowem niebem dogasającego roku.

Kołyszę się w rytm mego wierzchowca;—myśl moja płynie i rozsiewa się wzdłuż drogi, jak wersety psalmu, w którym płacze nieutulony ból dwudziestu stuleci.

Instynktownie wjechałem na ulubiony szczyt, gdzie przestrzeń bez kresu zachęca do marzeń. Boleść moja, nie zdolna skupić się na jednym obrazie, harmonizuje z przyrodą,—a jak z mgły bladej wynurzają się kościelne wieże, tak z mej pamięci, oblicza mych poległych przyjaciół.

— Oto Reuss,—szlachetny Alzatczyk, ten, co teraz umarł; Muivielle—o myślącem, promiennem czole; Hayez—nawskroś sprawiedliwy; dumny Karcher,—marzący o odwecie; Roe, który był radosnym śmiechem Touraine; Maurycy Richard—wciąż gorejący patrjotyzmem.

A dalej jeszcze Limon, apostoł wielkich idei; Orôphane, zawzięty Bretończyk; Courtemandre, zawsze gotów do poświęceń, lojalny Boidin, Larerque, tak do mnie przywiązany... i tylu, tylu innych...

Za każdem z tych imion zjawiają się w mej duszy obrazy zmięszane, szybko po sobie następujące, a bolesne, jak pospieszne pchnięcia sztyletu skrytobójcy.

Nie chcę dziś mierzyć strat, jakie Francja poniosła, gdy oni padali, gdyż każdy z nich miał wielką wartość i zasługi.

O wiele więcej wzrusza mnie inna myśl. Kiedyś w chwili wesołego humoru, daliśmy sobie słowo, że spotkamy się za dziesięć lat, by razem pożartować ze śladów pozostawionych na nas przez ząb czasu, który nas nie pożałuje.

Dziś ja tylko jeden wiem o tem przyrzeczeniu. Czy los dozwoli mi stawić się na schadzkę? Czy blady, milczący zasiądę sam do biesiadnego stołu, a ludzie pytać będą: „Cóż to za dziwna postać ludzka?"

Och! bolesne osamotnienie. Do kogóż teraz zwrócę pytanie: „Czy pamiętasz?" Czy pamiętasz ten zachód słońca, który wyzłacał morze i stare wały tego sławnego miasta w ów wieczór... Pamiętasz?"

Gdzież ten przyjaciel, do którego niegdyś szedłem, gdy mi pierść wzbierała oburzeniem na krzywdy i trzeba mi było znaleźć w drugiej duszy ludzkiej, echa własnych uczuć?

Kto wie? może w przyszłości, gdy ja oburzać się będę, moi przyszli przyjaciele drwić będą ironicznie i zdumiony zapytam sam siebie, kto z nas się myli?

Ach! drodzy przyjaciele! nigdy nie zliczę, ile cząstek własnej duszy pochowałem w waszych grobach.

Wśród mej samotnej przejażdżki, mnóstwo drobnych widoków przelotnie odbija się w mej duszy: płaczący jesion, pole z rezygnacją oczekujące bliskiej zimy, szereg obrazów, które dziś w mgle podświadomości wsiąknęły w moją istotność.

I wy, przyjaciele, żyjecie we mnie nadal jako odbicie minionej rzeczywistości. W podróży mego życia wy stanowiliście te szlachetne, wielkie, piękne widoki, które mnie porywały i kształtowały mego ducha.

Dziś wzdłuż mej drogi ciągnie się tylko rozległe pustkowie... jednostajnie gołe pole... Przedemną wije się naga ścieżka, po której się posuwam w mrokach wieczoru.

* * *

Z doliny bije głos dzwonu, w dźwięki odziany duch wiosek, unoszący się nad niemi w jesiennych oparach. I moja boleść wznosi się w wyższe sfery; dziwnie subtelne myśli żal mój przenikają.

Już nie widzę twarzy wynurzających się z mgły wspomnień, lecz przepełnia mnie niewysłowiona, wprost nieuchwytna melancholja. Opłakuję coś bezcielesnego — duszę naszej gromadki.

Czyż podobna? Czy istotnie łączyło nas coś więcej, niż koleżeńska zażyłość? Nigdy nie przychodziło nam to do głowy.

Widzę, jak kroczymy wesoło jakąś „Aleją Gambetty“ małego miasteczka, wieczorem po obiedzie. Ludziska mówią spokojnie: „idą oficerowie“.

My zaś rozmawiamy o naszych drobnych kłopotach zawodowych, o współzawodnictwie w awansach, o rozrywkach, nowinach dnia, o naszem jednostajnem życiu...

Zdawało nam się, że dawno już minęły owe bohaterskie czasy, gdy rozkwitały wzniosłe uczucia przyjaźni, pieczętowanej w obliczu śmierci na polu bitwy.

Dziwne wspomnienia! Jeden z nas ironicznie zapewniał, że nigdy żaden urzędnik nie miał natury spokojniejszej niż on. Kula ugodziła go w pierś, gdy stojąc wołał: „Naprzód!“

Niekiedy jednak owiewała nas jakaś nostalgja. Czasem w dzień ćwiczeń, gdy bagnety błyskały, a krzyk komendanta dawał nam złudzenie wojennego szału, oczy nasze zapalały się gorączkowym ogniem.

Te przelotne błyski tłumaczą mi, dlaczego przyjaciele moi występywali przed front i odpowiadali „jestem", gdy śmierć czyniąc przegląd szeregów, zażądała ofiar.

Teraz jasnem to jest dla mnie, że pod skorupą codziennych błahostek, ukrywała się nasza wspólna dusza, jako cząstka wielkiego ducha armji.

Składało się na nią pewne pojęcie punktu honoru, nieświadomego pragnienia poświęceń, ambicja wzorowego pełnienia obowiązków, lojalność, a prócz tego drobne przesądy.

Z nami umarł odrębny świat pojęć, wzruszeń, sił, ognisko tradycji, pewien sposób pojmowania obowiązków naszego zawodu.

Czemuż w tej chwili nawiedza mnie wspomnienie starego oficera, którego niegdyś znałem? W rozmowach swych, z pewnego rodzaju maniackim uporem, silił się na wskrzeszanie obrazu armji z czasów swej młodości.

Nadaremnie! Słuchając go, odtwarzałem z jego słów jakiś obraz, lecz to niebyłten sam, który on chciał mi odmalować.

Stary odczuwał to i rozgoryczony, że nie może swego widzenia przeszczepić do mojej duszy, zapadał w milczenie jak jeniec w otoczeniu barbarzyńców, którzy nie rozumieją jego języka.

O dziwo! to teraz ja, który utkwiwszy wzrok w widzeniu przeszłości jestem „starym". To ja głosem nabrzmiałym dumą mówię: „My byliśmy tacy, myśleliśmy tak lub tak..."

To mój tragiczny los pogrobowca pewnej grupy ludzi, ciężkie poczucie moralnego osamotnienia mąci mój umysł...

By się otrząsnąć, puszczam się galopem w pole. Jest ono tak puste, że daremnie szukam obrazów, które zmieniłyby bieg mych myśli.

Zdaje mi się, że odżywa we mnie nastrój z owych prastarych okresów ludzkości, gdy człowiek pierwotny, po kataklizmie, który wygubił całe jego plemię znalazł się sam na łonie wrogiej przyrody.

Wobec rozległej samotnej równiny strach ogarnia zbiega! Chwieje się na nogach jak człowiek, przebywający odkrytą przestrzeń, ścigany nienawistnym wzrokiem.

Ten dramat, tak stary jak ludzkość sama, rozdziera mi duszę, a z piersi rwie się krzyk, wzywający nadziemskie potęgi.

Wśród tych pustych obszarów sterczy dąb, równie samotny jak ja. O bracie niezłomny, w skargach, które wiatr wydziera, słyszę twój żal za wyciętym lasem, w którym niegdyś wyrosłeś.

* * *

Las — powiedziałem. A toć jest niedaleko, ciemny las Argoński, w którym lubię się pogrążać w dniach smutku i niepokoju. Dziś dziwnie mnie on ciągnie ku sobie; porywa mnie szalone pragnienie zanurzenia się w nim.

Skoro się do niego zbliżam, jakiś żar ogarnia mą głowę jak wtedy, gdy poczuję obok gorący oddech zwartego tłumu.

Czemprędzej zapuszczam się w kręte ścieżki. Jakże mi dobrze wyrwać się z zawrotnej przestrzeni! Kieruje mną instynkt zranionego zwierza, który szuka gęstwiny, by w jej głębi cierpieć swobodnie.

Na leśnych drożynach gałązki muskają mą twarz. Ciśnie się zewsząd dookoła mnie życzliwa ciżba drzew.

Ciszę przeszył krzyk sójki i padł na moją duszę jak wołanie wśród nocy.

Szmery, szumy, blaski i wonie, które mnie otaczają, porywają moją duszę i nurzają w jakiejś zadumie powszechnej, którą tchną wszystkie przedmioty.

Dopiero co współczułem samotności dębu, odgadując w nim pokrewny nastrój smutku i walki. Teraz las spowiada mi się szeptem ze swych odwiecznych jesiennych rojeń.

Mówi mi, że listki jego po ciepłym oddechu kwietnia, który je zrodził, po upajającej pieszczocie skwarnego lata, poczuły zimny powiew październikowy, który im śmierć zwiastuje.

Śmierć cichą i zrezygnowaną... Ptaki śpiewały w ich cieniu, im zawdzięczają drzew wierzchołki swą piękność, więc dziś mogą już te listki zczerwieniałe opadać na ziemię jak krople krwi bohatera.

Powiedziałby ktoś, że w tej uroczystej chwili, budzi się w nich jakaś świadomość, giną w złotych blaskach dumy i chwały, spełniwszy chlubnie swe przeznaczenie.

Ludzie od wieków słyszą tę mowę lasu. Chcąc ją lepiej zrozumieć i pokochać, poeci zapuszczają się w jego gęstwinę wzruszeni i odurzeni oparami, unoszącemi się na drożynach, niby krążące w powietrzu duchy.

Choć drzewa walą się, gniją, a na ich miejsce wyrastają nowe, wciąż ten sam głos poważny, uroczysty rozlega się dalekiem echem o tej porze roku.

Tak po starych katedrach gotyckich przepływa jedno pokolenie za drugiem. A jednak pod ich sklepieniem unosi się zawsze w dzień zaduszny to samo żałosne pienie. O potęgo nieśmiertelności, przenikająca rzeczy tego świata!

Dlaczegożbym odkrywając wiecznotrwałą duszę lasu, miał sądzić, że dusza naszej gromadki koleżeńskiej zniknie raz na zawsze?

Dwa lata temu byliśmy jak uśmiechnięty las kwietniowy, rozbrzmiewający śpiewem i świergotem ptactwa... tętniący radością życia, pełnym jasnych i lekkich myśli, jak świeże liście wiosenne.

Przyszła śmierć... zabrzmiał w lesie uroczysty hymn jesieni. Wczorajsza armja podniosła się na wyżynę bohaterskiego natchnienia i ujawniła się jej dusza poważna i wzniosła... O cudo! toż to ta sama, co w dawnych latach!

Przyjaciele moi! to, co było czysto duchowym pierwiastkiem naszej przyjaźni, tradycja wojskowa, która nas ożywiała, była mimo naszej wiedzy nieśmiertelną.

Później przyjdą inni oficerowie i oni również z ubolewaniem i pogardą patrzeć będą na swą małość w porównaniu z waszą wielkością heroiczną, wyolbrzymioną przez legendę. Dojdą do przekonania, że są całkiem do was niepodobni. Ale i oni wyrośli w tym francuskim lesie... Gdy dla nich uderzy godzina walki... przed ich zdumionym wzrokiem objawi się ich dusza — wasza dusza, ta sama co w dawnem rycerstwie naszem.

CZĘŚĆ DRUGA.

W czasie bitwy nad Marną.

(napisano w 1914 r.)

ROZDZIAŁ I.

POCHÓD NA NIEPRZYJACIELA.

Sierpień, 1914 r.

Nad ranem około godz. 3-ej, tej nocy gdy kompanja wyruszyła, obszedłem cały garnizon, by się upewnić, że nie zapomniano żadnej warty, a potem puściłem się kłusem na drogę, aby dopędzić mój oddział. Niebawem zabłysnęła zorza poranna: nagła światłość oblała mnie jak złoty deszcz rzęsisty; topole wynurzyły się z mroków, tryumfalnie strzelając ku niebu, a noc pierzchała tchórzliwie, pełzając głębią doliny. Z powiewem wiatru doleciała mnie zwrotka:

„Czy słyszysz kukułkę, Lizetto, czy słyszysz kukułkę?“ i na zakręcie drogi ujrzałem kompanję, której czoło jeszcze tonęło w mgle porannej.

Otóż i są ci moi dzielni żołnierze, tacy, jakimi się stali w boju, zarośnięci, wychudzeni. ogorzali, wyszarzani i kurzem okryci... z miną niby bandytów, ale bandytów dzielnych i walczących o świętą sprawę. Rad jestem, że ich widzę; mój koń także, gdyż dopadłszy pierwszych szeregów i nozdrzem tknąwszy plecaków, przybiera naraz postawę spokojną i radosną, widać, że i on przystał do zbiorowości, z której jest zadowolony.

Maszerujemy w znacznej odległości od nieprzyjaciela. To jest wielki ruch strategiczny—jak mówił generał, to też pułkownik nie wzbrania śpiewów i te potężnym, raźnym tonem unoszą się nad maszerującą kolumną.

Czyż może się znaleźć wróg zdolny nas zniszczyć? Niepodobna w to uwierzyć. Czyż nie słyszycie, jak ciężko walą nasze stopy w ziemię i jak potężny pęd rwie nas tą drogą, by uderzyć na nieprzyjaciela?

I świadomość, że jesteśmy wielką zbiorową całością, przenika nas wszystkich i w każdym wznieca ukrytą energję. Popatrzcie

na Macharda, na tego drobnego, chudego, wyżółkłego żołnierza, o ruchliwych oczach. Bardzo nieśmiały; gdyby był sam, położyłby się przy drodze; dziś w tłumie, jak gdyby uniesiony kłębami kurzu, które nas spowinęły, podparty przez sąsiadów z lewej i prawej strony, Machard sądzi, że mógłby iść na podbój świata i stawia się: „Nie bójcie się, matko — mówi do starowiny, która nam się przygląda—Niemcy, tu nie przyjdą; a od czegóż my tu jesteśmy?“ Powiedział „my“, a gest jego świadczył, że nie oddziela już swej osoby od swej kompanji.

I ja również idąc dziś na czele mej kompanji doznaję nowych wrażeń głębokiej a naiwnej dumy. Jestem mózgiem tego organizmu, który idzie wślad za mną; wola tych energicznych żołnierzy ulega mojej woli. Przed chwilą byłem jeszcze jeźdźcem samotnym, mknącym drogą wysadzaną drzewami, spoglądającymi lękliwie na podejrzane domostwa, na czarne nory, pogrążone w cieniu... Teraz jadę spokojny i pewny siebie. Jeden mój gest może wprawić w ruch potężne narzędzie walki. Gdy zechcę, śmierć rozpocznie żniwo swoje w całej okolicy. Jakimże wyzywającym ruchem wciskam moje kepi na uszy! Wyprostowany, z podniesioną głową, wkraczam do wsi, rzucając harde spojrzenia, niby Cezar rzymski, wchodzący do zdobytego miasta.

Nic sobie nie robię z drwin tego szydercy, który wciąż czai się w mej duszy. Niech mnie nazywa nerwowym, zapaleńcem, marzycielem.... jego szyderstwa nie dotyczą mnie wcale; wydaje mi się on śmiesznym, bezsilnym jegomościem, o skwaszonej minie. Teraz jest wojna, wszystko olbrzymieje, odwracają się wszelkie wartości; umiarkowanie, powściągliwość, takt, są to zalety salonowe, dobre w czasach pokoju; wyszliśmy na szerokie drogi Francji. Śmierć krąży wkoło nas i zagląda nam w oczy, pożądamy wielkich czynów; przystoi nam gorszy ton: znam go z Homera!

A otóż i generał, konno stojąc pod jabłonią patrzy na nasz pochód. Salutuję go szablą. Ileż razy wykonywałem ten gest urzędowy w błahych okolicznościach mego garnizonowego żywota! Był to dla mnie ruch automatyczny, w którym dusza nie brała udziału innemi myślami zajęta. Dziś ten generał stojący przy drodze, ogromny, chudy, zgarbiony, całkiem siwy w zniszczonym mundurze — jest nam tak dobrze znany. Widzieliśmy go wszyscy w bitwach, zawsze heroicznie stojącego w pierwszej linji ognia.... Doznałem nagłego wzruszenia, czułem, że wszyscy moi ludzie chcą, by kapitan w ich imieniu wyraził staremu wodzowi uczucia przywiązania i ufności. Dziś nie czas na konwencjonalne gesty; salutuję imieniem dwustu żołnierzy... to też podniosłem szablę wysoko, prosto ku błękitnemu niebu, a potem uroczyście opuściłem ją ostrzem ku ziemi.....

Maszerujemy — ale dokąd? Mało to nas obchodzi, gdyż każdy idzie za tym, który go poprzedza, wpatrując się z niejakiem zainteresowaniem w rzemień od plecaka swego sąsiada. O to tylko idzie, by być uległą komórką całości i do niej się

dostosować. Czasem jednak taka poszczególna komórka doznaje zmęczenia, głodu, dolega jej rana; wtedy świadomość się budzi: „Czy prędko staniemy na miejscu?“ pyta raz po raz jakiś żołnierz, bledszy lub bardziej zgrzany niż drudzy. Tak dzieje się, jak wyjaśnia nauka; w organiźmie pierwotnym ból budzi chęć zmiany, a stąd rodzi zastanowienie.....

Ten mały, chudy blondynek, co się tak niepokoić zaczyna, jest mi dobrze znany: odznacza się bohaterską wytrzymałością. Od ośmiu dni utyka na nogę, oczy mu świecą gorączką w zapadłych i podsiniałych oczodołach; jest blady, bezkrwisty, twarz jego codzień głębiej chowa się pod zbyt wielką czapką, jakby się w niej zapadała. Czasem zatrzymuje się oniemiały z otwartemi ustami. „Goni swój oddech“ mówią jego sąsiedzi, pot oblewa mu policzki — a jednak nie chce dać za wygraną.

Takich jest ze dwudziestu w kompanji. Ach! ja wiem dobrze, że energja, która ich unosi, jest dalszym ciągiem tego wielkiego porywu woli, który ich gnał na wojnę w pierwszym dniu, gdy poprzysięgali sobie, że święcie spełnią swą powinność... Na szczęście gwarancją dopełnienia przysięgi jest jeszcze inna niewidzialna siła, która bezwiednie ich podtrzymuje. Inni również przejęli się tem dziwnem przywiązaniem do kompanji, które mi kazało przed chwilą przyspieszać bieg mego wierzchowca. Nietyle działa wstyd, że się „zmordowało“, ile głęboki instykt trzymania się za wszelką cenę swej gromady, ten sam instykt, który ongi skupiał naszych przedhistorycznych przodków w hordy koczujące po lasach, gdy świat był jeszcze nowy. Widocznie ta dośrodkowa siła promieniuje silnie na zewnątrz nas, gdyż gdzie tylko przechodzimy, zbiegają się ludziska; powiedziałby kto, że jakiś potężny magnat przeciąga przez okolice i mężczyźni, kobiety, dziewczęta, dzieci, wszyscy skoro nas postrzegą, dosłyszą, poczują, rzucają swe zajęcia i czepiają się, przylegają do nas. Ulicami wiosek przeciskamy się między podwójnym szpalerem zwartego tłumu, a saperzy idący na czele kolumny muszą rozpędzać malców, by nam torować przejście.

Czasem tylko postawa starców wyróżnia się z pośród ogółu: oni nie podlegają tej atrakcji powszechnej, nie ruszają się z pola, trzymają się zdala od drogi, lub przez odemknięte drzwi domów rzucają ku nam spojrzenia wylęknione.

Są smutni; mają synów na wojnie. Jakaś staruszka patrzy na nas z pola, kiwa głową i płacze; słyszymy zdala jak mamrocze żałośliwym głosem niezrozumiałe wyrazy... Odwracam wzrok od tych siwych ludzi; zbyt długo nieoświecony umysł borykał się z ciemnemi siłami życia, brzydka podejrzliwość zabiła w nich boski instykt ślepego entuzjazmu. Wolę patrzeć na tych młodych wyrostków, którzy jak zahypnotyzowani ciągną za nami w zachwycie i maszerują w takt naszych kroków.

Ach! w tych świeżych duszach zrywa się instykt z niepohamowaną siłą... W blaskach wschodzącego słońca wkracza pułk do wioski... jakie to piękne! Oto kolumna czwórkami zjawia się

u wejścia do wsi... Na czele oficerowie konno, żołnierze, z czapkami zsuniętemi na tył głowy, śpiewają; wszyscy kroczą hardo i dumnie... Niosą błyszczącą broń... są silni... złote obłoki kurzu otaczają ich aureolą... i tak pędzą przed siebie w nieznaną dal, wśród wielkich niebezpieczeństw do sławy... Jak się tu oprzeć? Ojcowie i matki w swej czułej troskliwości dawniej mogli im zalecać ostrożność samolubną... Teraz zapomina się o tem wszystkiem... Przedzierzgnęli się w wojaków; dziedziczny instykt wskazał tym młodym mężczyznom, że ich miejsce tam, gdzie się walczy o rodzinne miasto, o ojczyznę...

To też nie mogą nas porzucić. Zabraliśmy ich, wchłonęliśmy; wyprosili sobie łaskę dźwigania karabinu, baraszkują z żołnierzami, znajdują sobie miejsce w szeregu... W osłupieniu patrzy za nimi ten i ów starzec i staje zrezygnowany, posępny, naginając się pod żelaznym prawem obowiązującem przez wieki... a do jego uszu dolatują urywki piosenek, czasem skocznych i wesołych:

„Nieśmy śmiało asa karo"

a czasem tragicznych i poważnych:

„Dla niej Francuz żyć powinien,
Dla niej umrzeć, jeśli trzeba".

ROZDZIAŁ II.

W POCHODZIE PRZEZ PIKARDJĘ.

Wrzesień 1914 r.

Na południe od Amiens, gdzie nas wyładowano pewnego sierpniowego poranku, niebyło dotychczas przed nami żadnego wojska. Wracamy z równiny pod Woevres, gdzie przez trzy tygodnie, niby osy wkoło nory zwierza, czatowaliśmy na nieprzyjaciela, ukrytego tchórzliwie w Metz. Widocznie tutaj jesteśmy potrzebni. Otóż i jesteśmy. Dalej, w drogę!

Nie zwracamy uwagi na widoki. Dla żołnierza każda okolica podobna jest do innych; wiecznie ta sama wstęga szerokiego gościńca, któremu nie widać końca, daremnie depcesz po niej, zły niekiedy do wściekłości, ona nie przestaje pogodnie rozwijać swej białej smugi wzdłuż zielonych łąk, gór, lasów. — W nieskończoność... W końcu zapada człowiek w taką rezygnację. „Wydeptuje drogę", mówią tyraljerzy swym obrazowym stylem, co oznacza, że ma się wrażenie jakby się nogami odrzucało za siebie trakt miarowym, monotonnym ruchem nóg i stóp... Jeden za drugim przemykają wiorstowe słupy. Po ścierniskach idą

z kolei pola owsiane, drzewa mkną, przebywamy wzgórza, wioski zostają za nami... „Wydeptujemy drogę"...

Dzisiaj wydeptujemy trakty wiodące przez Pikardję. Okolica jest falista, ale tak pozbawiona wysokich drzew, że wydaje się okaleczoną, pochwyconą na żelazne wędzidło... Kazano jej rodzić buraki; posłuchała; ale te zielone obszary pozbawione są wdzięku. Jesteśmy zasępieni, znużeni czterdziestogodzinną jazdą w zamkniętych wagonach bydlęcych. Nie słychać wcale śpiewu w kolumnie.

GOŚCINNOŚĆ CHŁOPÓW. — WINO i JABŁECZNIK.

Zbliżamy się do wioski M. Cóż tam nowego? czegóż chcą ci chłopi ustawieni pod sznur wzdłuż drogi? Ach! tak. Chcą nam dać napić się wody. Tradycyjna uprzejmość. Żołnierze podchodzą z menażkami. Cóż za niespodzianka! W ich wiadrach jest jabłecznik i wino, a ludzie z grzecznym wyrazem twarzy zapraszają: „Napijcie się, proszę".

— „Trudno się omylić", oświadcza jeden z żołnierzy; tu u was jesteśmy jak we Francji. Kolumna zaraz zachwiała się. Dotąd przesuwała się naprzód ruchem jednostajnym, szła jak smutna karawana przez piaski pustyni i instyktownie zbijała się w zwarty blok, by lepiej opierać się wrogim siłom. Teraz, gdy się odwrócę, widzę z wysokości mego wierzchowca, jak się ona rozstrzępia i pułk na prawo i lewo rozlewa się wszerz, aż do progów domostw, skąd podają chleb, owoce, wiadra z napojem.

Karawana doszła do ziemi obiecanej i używa, że jednak my, dowódcy, nie możemy dopuścić opóźnienia marszu, każdy z żołnierzy śpieszy zająć swe miejsce w szeregu; niektórzy pędząc niosą ostrożnie w rękach napełnione kubki... Gdy wino przelewa się w biegu, podtrzymują ręką i spijają z garści. Mały żołnierzyk Villa, chce już pić idąc; zachłysnął się, krztusi się, kicha, mało się nie udławi.

„Hejże, woła do niego wesoły kolega, to niewygodnie wino pić oczami".

Poza wioską M. zaczyna się już milszy krajobraz. Z upodobaniem przyglądam się błyszczącym jeszcze na żywopłotach kropelkom rosy... Dawno już lekka mgła osłaniająca brzegi strumienia nie wydawała mi się równie subtelną i piękną niby welon koronkowy rozesłany na zieleni łąk.

Teraz kompanja gawędzi. Kapral Lidris ma własne poglądy na wino, zupełnie odrębne od zapatrywań żołnierza Vatard. Spór toczy się głośno.

Potem idzie kolejno wioska za wioską. Posuwamy się w głąb kraju. Wszędzie równie serdeczne przyjęcie. Młodzi chłopcy na bicyklach zapowiadają zawczasu nasze przybycie; chłopi przepychają się, by spieszyć do nas z poczęstunkiem. Słyszę, jak jeden łaje drugiego za to, że nam dolewa wody do

wina. Dla żołnierza nic nie jest za dobre. To też proszę patrzeć na moich ludzi! Znam ich, pić lubią, ale teraz grymaszą; próbują podawanego im wina, a jeśli im nie dość dogadza, lekceważąco odwracają się.

Tak naprzykład jakaś biedna starowina, która prawdopodobnie nieszczególny trunek podała, nie znajduje amatorów: stoi zmieszana i rozżalona. Zauważył to Lidris, który ma dobre serce. Heroicznie czerpie z jej wiadra i pije kwaśny napój, manifestując ogromne zadowolnie. Potem odchodząc dziękuje jej głośno, a stara uśmiecha się całkiem pocieszona.

Przypominam sobie młodą dziewczynę, która nagle zjawiła się u wrót zagrody. Nasze przyjście zaskoczyło ją wśród zajęć gospodarczych, wyległa tedy z rondlem w ręku, bo nie zdążyła go postawić, drugą ręką ciągnąc za sobą małą dziewczynkę, zapewne siostrzyczkę swoją. Zatrzymała się nad drogą i stanęła cała drżąca ze wzruszenia. Gdy zbliżaliśmy się zaczęła tańczyć, potem w naiwnem uniesieniu radości porwała swą siostrzyczkę w ramiona i uściskała ją namiętnie. Widzieliśmy wszyscy, że ten pocałunek bynajmniej nie był pieszczotą siostrzaną; nie oznaczał on również, by przechodząca młodzież robiła na niej takie wrażenie... Nie; ten gest instyktowny wyrażał poprostu ogromną radość młodej wieśniaczki na widok bojowników Francji, tych którzy idą spełnić wielkie i święte posłannictwo.

Podczas gdy kolumna nasza zwolna wije się i sunie po przez równinę, gdy każdy gawędzi z sąsiadem lub snuje wątek własnych marzeń, ja staram się przejąć dreszczem, który wstrząsa okoliczne wioski...

NAGŁY ALARM.

Przez długie lata panowała tu cisza i spokój. Niegdyś może przodkowie nasi walczyli tutaj najprzód z buntowniczą i okrutną przyrodą, by ją ujarzmić, potem z ludźmi, którzy usiłowali się usadowić na tej samej żyznej ziemi, w tej samej okolicy... Zdarzały się niewątpliwie krwawe starcia; czasem w czasie orki wydobywano szczątki rzymskich naczyń, krzemienną broń, zardzewiały puginał... Dziwiono się wtedy:

— „Jakież straszne rzeczy musiały się tu dziać przed laty"!

Wtedy w umyśle powstawały z zamierzchłej przeszłości chaotyczne sceny: Rzymianie, Piłat Poncki, Gallowie, rycerze w żelaznych zbrojach, głody, zarazy, królowie w perukach, rewolucja, bitwy... Wszystko to czasy bardzo odległe i zapomniane!

Teraz zamek starożytny sterczy na wzgórzu, jak rycerz niezłomny; wśród pól przysiadły krępe i mocne chłopskie zagrody. Widzimy tor kolejowy, stację, pługi parowe, liczne dowody zwycięstwa człowieka nad przyrodą. Mijały wieki, a z wież kościelnych wciąż ponad wioskami wznosiły się godła pokoju... Jak dobrze jest człowiekowi w ojczystym zakątku! Ma tutaj swoje

władzę, prawa, straż polną, żandarmów, sądy. U notarjusza w powiatowem mieście złożone są wszystkie tytuły własności... Wszystkiem rządzi prawo. Można obmyślać przyszłość, układać plany. Oddycha się atmosferą spokoju i bezpieczeństwa... Człowiek czuje, że się obraca wśród ustalonego od wieków porządku... Któż ośmieli się przypuścić, że to wszystko naraz runąć może.

Znienacka padło jedno straszne słowo: Wojna! Najpierw przyjęto je ze zdumieniem nie pojmując znaczenia. Wojna! Wojna! Stopniowo ten wyraz tragiczny zaczął budzić w duszach straszliwe wizje, które niegdyś w dawno minionych wiekach mroziły krew w żyłach naszych pradziadów. Coś trzeszczy w mózgu... Nagłe objawienie: wojna! Ależ to klęska niesłychana, zagłada wszystkiego, co żyje, zburzenie wszystkiego co stoi... Rozum walczy przeciw tej potwornej wizji, wzbierającej krwawą łuną w duszy...

Czyż możliwem jest, by w tej cichej okolicy zamęt i groza mogły się zjawić jak złowrogie widma? Oto z kominów unoszą się słupy błękitnego dymu. To jest owa godzina spokojna, gdy kobiety gotują zupę. Czyżby w miejsce tego godła zacisznych ognisk domowych miały strzelać czarne dymy pożarów? Czyż te wieże kościelne, zamek, siedziby ludzkie, miałyby runąć, zdruzgotane pociskami działowemi? Niepodobna! Wieś cała zrosła się z doliną, i równie nie naruszalna jedna i druga. A ja, gospodarz mamże tego doczekać, że obcy żołnierz zdepce moje pola, wtargnie do mego domu, przetrząśnie moje szafy, a na to wszystko nie pomogą żandarmi ani sądy! Będę zmuszony ulegać, bez apelacji, bez buntu i protestu przed rozpętaną siłą brutalną! Jakże odpędzić te natarczywe, nieznośne myśli?

Ach! otóż i wojsko nasze... Trudno uwierzyć, że traktowaliśmy je niedawno jako rzecz zbyteczną, przekornie nam narzuconą przez paryskie władze. Tak mówiono czasem... Wierzyliśmy w pokój powszechny... Zbudziliśmy się nagle... Ależ armja nasza — to my sami! To syn mego sąsiada, mój zięć, to wszystka młodzież wiejska... Idą już bronić nas przed barbarzyńcami. Jakże oni piękni, ci nasi dzielni żołnierze, jacy dumni i silni! Dajmy im jeść i pić... Niechże widzą, jak ich kochamy!...

Z wrażeń mych wyrwał mnie donośny głos kaprala Pantois, który zapewniał starą wieśniaczkę.

— „Tak, matko, idziemy, by Niemcom śrubę przykręcić".

— „A jakże, a przykręćcie tam mocno"! odparła ostro baba.

I poszła jeszcze po chleb i wino, poszła wynieść wszystko, co miała w szafach i piwnicy. Zerwano z wszystkimi nałogami oszczędności i skąpstwa. Wzruszenie wygnało je precz.

Przyszła wojna...

Dusze chłopskie owiał wicher szlachetnego szału.

Dalej inny już nastrój kraju. Nieprzyjaciel jest niedaleko. Gdy przybywamy do wioski C. spostrzegam na placu około pięćdziesięciu starych mężczyzn i kobiet spędzonych w gromadę

przez głód i uczucie trwogi. Mówią, że zwierzęta przeczuwają trzęsienie ziemi. Podobnie tajemniczy instykt ostrzegł tych chłopów, że zbliża się groza wojny. Nie widzieli jeszcze żadnego niemieckiego kawalerzysty, nie doszła do nich żadna wyraźna wiadomość, a jednak wszyscy nerwowo opuścili swe domostwa, w których więził ich strach i zbili się w ciasną grupę, do której mniej łatwy ma dostęp.

Jeden rzut oka wystarcza by poznać, jak okropne przypuszczenia zwierzają sobie wzajemnie, gdy głowy i plecy chylą się ku ziemi, jakgdyby gięte zawieruchą kłęski.

Zbliżam się do nich, by zasięgnąć wiadomości. Tutaj mamy odbyć długi postój, a ja wyprzedzam moją kolumnę. Przyglądają mi się z wielkiem zaciekawieniem... Jestem jednym z tych, co mają odeprzeć najazd. Jakąż rękojmię bezpieczeństwa im przynoszę? Badają mnie, szacują... Nawet moja obecność niepokoi ich. Czyż ona nie jest zapowiedzią bliskiej bitwy? Wszystkie te twarze starych rolników, ogorzałe, pomarszczone, smutne świadczą, że umysł ich mozoli się z ciężkiemi zagadnieniami.

Ponad wszystkiem góruje pragnienie jakiejś otuchy. Chcieliby usłyszeć z ust moich formalne zobowiązanie, że Prusacy nie przyjdą.

Jak się zdarza często u chytrych chłopów, jeden chcąc na mnie wymusić optymistyczne oświadczenie, któreby mu ulgę przyniosło, używa podstępu, który mu się wydaje bardzo sprytny i wyraża ubliżające wątpliwości. „Ach! nie warto tam chodzić; nie zagrodzicie im drogi. Mówiono, że nieprzyjdą, a już są"! W swojem codziennem życiu prostak ten uciekał się do podobnych wybiegów ze swemi wołami: kłuł je i wyzyskiwał ich ból i złość, by przyśpieszyć orkę, ale we mnie spowodował wybuchy gniewu tłumionego dotąd... Od kilku dni mało jadam i źle sypiam. Mam nerwy przedrażnione. Szorstkim ruchem pochwyciłem futerał z rewolwerem, wyjąłem broń, potem z błyszczącym wzrokiem skoczyłem do tego człowieka... Musiałem strasznie wyglądać, z moją brodą od dwóch tygodni niegoloną, z zakurzonem kepi, w wielkim rozwianym płaszczu gumowym, zabłoconych butach, gdyż szyderca natychmiast pobladł i cofnął się... Gniew cisnął mi na usta słowa:

— Źli Francuzi, stoicie gnuśni, z rękami w kieszeniach i mrugacie. My byliśmy w linji ognia i idziemy tam znowu. A toż idźcie znami, zamiast straszyć ludzi i szerzyć popłoch... Parszywa owco! szpiegu... W łeb ci wypalę...

Chłopisko nie czeka końca mego przemówienia i zmyka. Wtedy zwracając się do reszty chłopów patrzących na mnie z rozdziawioną gębą, mówię:

— Tak, wy cierpicie; wiemy o tem.. Być może, że najazd sięgnie aż tutaj... Ale dziś każdy musi się wznieść ponad osobiste troski... Nie tylko o wasze domy chodzi, lecz o Francję

całą. Czy nie czujecie, że cały kraj współczuwa z wami i nad wami boleje? Cała wasza wielkość i wasza cnota zasadza się w tem, byście umieli znieść nieszczęście bez skargi i czekali cierpliwie bliskiego tryumfu naszego oręża... Wiem, wy jesteście dzielni ludzie. Macie synów na wojnie. Jestem pewien, że mnie zrozumiecie"...

W miarę moich słów, twarze zmieniały się; czuję, że dałem wyraz uczuciom, które w duszach tych chłopów zmagały się z mnóstwem innych tworząc wewnętrzny zamęt.

Otoczono mnie.

— „Ależ tak, panie kapitanie... Niech pan nie zważa na to, co mówił Jakób. To tylko takie gadanie... On zawsze czarno patrzy... Toć wiedzieliśmy, że robicie co się tylko da. Bardzo was kochamy. Bądź pan spokojny: będzie się czekało. Oni nas nie wezmą".

Ponieważ oddział mój już wkraczał do wsi, pobiegli wszyscy po wino, chleb i owoce...

Gdy mieliśmy ruszać dalej, widzę, że mój zrzęda krąży zdaleka koło mnie... Kłania mi się na odległość kapeluszem i postacią... Widząc moją twarz uśmiechniętą, a ośmiela się, zbliża i bełkocąc tłomaczy się, że przed chwilą tak sobie gadał, ale przecież jest dobrym Francuzem i dowiódł tego wypróżniając swą piwnicę tak samo jak inni.

Nie, stanowczo, w tym kraju są sami zacni ludzie.

PUSTKOWIA. — UCHODŹCY. — „SZTUKA ZŁOTA" OFIAROWANA PRZEZ WOŁARZA.

Trochę dalej, nad wieczorem wkroczyliśmy znów w inną strefę; tu już przeszedł orkan grozy szerząc spustoszenie. Wsie są puste. Gdy przechodzimy, żadne drzwi się nie odmykają. Jedynie kilka starych bab, o których zapomniano, patrzy na nas z głębi podwórka, niespokojnie mrugając oczami. A jednak i tu jeszcze ujawnia się szlachetny duch ludności w naiwnej a wzruszającej formie; Na zamkniętych drzwiach domów czytamy wypisane kredą słowa: „Żołnierze francuscy, weźcie stąd wszystko, aby nic nie zostało dla Prusaków".

Co krok spotykamy uchodźców przybyłych z miejscowości, które już opanował wróg. Na prędce spakowali swe najcenniejsze skarby na wozy, kobiety, dzieci, starcy wdrapali się na tłomoki i jadą niewiadomo dokąd — ku południowi, pędząc przed sobą bydło, wlokąc materace, narzędzia, szafy, kuchenne sprzęty. Ponurym korowodem przepełniają drogi i zatrzymują się na polach, niemi i nieruchomi, gdy im każemy usuwać się, by nie tamowali nam przejścia. Dziwnie razi to, że uciekając ubrali się, w swe najprzedniejsze stroje, w niedzielne suknie, i niesłychanie smutny

widok stanowią te kapelusze z kwiatami na głowach kobiet zanoszących się od płaczu.

Myślałem, że wyczytam na twarzach tych biedaków bolesne wyrzuty... Nie umieliśmy odróżnić od nich tej klęski. Jakże zdumieni jesteśmy, gdy mijając ich, słyszymy wyrazy brzmiące szczerością:

— „Odwagi... Niech wam szczęście sprzyja! Witajcie bracia!"

Te krótkie słowa, rzucane przyciszonym głosem, wzruszają nas więcej, niż gdyby to były okrzyki entuzjastycznego tłumu wydawane na cześć naszą.

Przypominam sobie piętnastoletniego chłopca, który powoził bryką zaprzężoną w parę wołów. W bryce na materacu jęczała jakaś stara babka. Gdy ich mijałem nie mówiąc słowa, chłopak podszedł do mnie i gestem takim, jakgdyby mi chciał ukradkiem wcisnąć sztukę złota, wręczył mi jajko. Zaskoczony nie chciałem przyjąć podarunku, boć może to były jego ostatnie zapasy.

— „Proszę przyjąć, panie komendancie; zrobi mi pan wielką przyjemność."

Nigdy nie zapomnę jego twarzy bladej i tak przyjaznej. Zrozumiałem naraz znaczenie jego podarku. Składał go w moje ręce jako przedstawicielowi większej zbiorowości: byłem dowódcą wojska.

Tajemniczy instykt popchnął go do złożenia hołdu temu, kto kieruje bitwą. Tak każe konieczność, tkwiąca w naturze rzeczy: słuchać wodza, być mu całkowicie oddanym, miłować go, to prawo pierwotne, które ongi w dawnych czasach sprawiło, że marne hordy utrzymały się i zwyciężały. Dziś z głębiny dusz ludzkich występują na powierzchnię wszystkie wrodzone instykty i zakorzenione nałogi, które w nich utrwaliły długie wieki przeszłości.

Przyjąłem tedy ofiarę młodego wieśniaka... ale oddalając się miałem łzy w oczach...

Ach tak; ci uchodźcy zasługują na podziw przez swą szlachetną i smętną rezygnację, zdobywają się na wesołość, by nam dodawać otuchy. Mijam młodą dziewczynę, również wystrojoną w swą najpiękniejszą suknię, całkiem białą. Biedaczka jest śmiertelnie znużona, Zalotności nie zostało w niej ani cienia. Jej suknia wlecze się niedbale po kurzu, kapelusz ma przekrzywiony; wlecze się za wozem, którego się uczepiła. Gdy przechodzi nasza kompanja, energja jej budzi się nagle... Trzeba coś zrobić dla tych żołnierzy... Nie może nam ofiarować nic, prócz wdzięcznego uśmiechu. Niechże on przynajmniej da im wrażenie pogodne i czyste! I przez chwilę blask jej białych zębów rozjaśnia biedną smutną twarzyczkę... Zaręczam, że żaden z mych żołnierzy niemiał pokusy rzucić jej nieprzystojnego powitania.

Czasami w czasie godzinnego postoju naszego popasają i ci nieszczęśni tułacze. Wtedy żołnierze otaczają ich, chciwi opowiadań, których słuchają zgrzytając zębami. Pamiętam jedną taką grupę uchodźców: starzec, trzy kobiety, gromadka dzieci. Opowiadali swym treściwym stylem.

— „Tak tedy „Oni" (Niemcy) przyszli do Péjard'owej. Tłukli wszystko, ale ona nie chciała, żeby zniszczyli fotografię męża, który jest na wojnie. Wtedy „Oni" wzięli jej córeczkę i powiedzieli: „Zabijemy ci ją." Pejardowa w tej chwili oszalała; rzuciła się na nich, drapała, gryzła. Wtedy „Oni" zabili ją bagnetami i małą dziewczynkę też."

— „Ach! zbóje!" mruczy jeden z żołnierzy. „Czyż oni nie mają dzieci?"

Bezmierna sympatja łączy mych ludzi z uchodźcami. Ci nie potrzebują częstować winem, by zdobyć serdeczne uściski dłoni. Gdy wyruszają dalej na swą bolesną włóczęgę, z jakimże przejęciem mówią im żołnierze:

— „Bądźcie spokojni; wrócicie; przegnamy ich."

I mnie także jątrzą te tragiczne wizje, które się wznawiają w ciągu naszego pochodu. Jąkże się myliłem dziś rano, gdy podejrzywałem w grzeczności tych chłopów ukryte wyrachowanie! Zdawało mi się, że w ich oczach jesteśmy przedewszystkiem, jakgdyby zabezpieczeniem od klęski. Przychodziło mi na myśl twierdzenie socjologji, którą niegdyś studjowałem.

„W danem społeczeństwie przywiązanie, jakiem otoczona jest jednostka lub instytucja społeczna, zmienia się zależnie od przypisywanej jej użyteczności."

Na widok wojny runął świat abstrakcji, który zbudowałem w mym umyśle; wstąpiła we mnie świadomość wielkiej rzeczywistości i odkryła mi nowe prawdy. Dziś prawdą stało się dla mnie „że choćby nas — co niemożliwe — tysiąc razy pobito, choćby ci chłopi byli jeszcze nieszczęśliwsi, my bylibyśmy zawsze dla nich pożądanymi gośćmi, kochaliby nas tak samo. Ta sama krew płynie w naszych żyłach... twarze nasze zdradzają tą samą rasę, ten sam ideał nas łączy.

Nadszedł wieczór. Maszerowaliśmy przez cały dzień. Zdala słyszymy huk dział. Jutro bić się będziemy. Zachodzące słońce rzuca na pola ciężkie blaski niby złociste kobierce; już czynią się przygotowania na wielkie święto zwycięstwa, oraz ku uczczeniu tych wszystkich, co cierpią za ojczyznę.

Już teraz widok nie wydaje mi się pospolity; nieskończoność falistych pól tworzy serję planów, z których najdalsze toną we mgle. Podobają mi się nawet geometryczne kontury pól; to francuska ziemia, dobra ziemia rodzicielka, ona wydaje ten rodzaj ludzi, o jakich myślałem dziś przez cały dzień i których kocham jak braci.

Wszyscy moi żołnierze, tak samo jak ja, rozumieją lekcję dnia ubiegłego, wiedzą teraz, że jedność narodu francuskiego jest czemś silnem, żywem i wiecznem.

To nie żelazna obręcz — jak u nich, u wrogów naszych lecz gorąca instynktowna miłość.

I dlatego zwyciężamy.

— „Nieprawdaż, mój stary Lasson," mówię do jednego z mych żołnierzy, „że wyłupimy skórę tym Niemcom jutro?"

— „To pewne, że się weźmiemy ostro do roboty;"

I zrobił taki ruch, jakby chciał zakasać rękawy i porwać za cepy.

ROZDZIAŁ III.

NA FORPOCZTACH. — WIDMA NOCNE.

Choisy aux Boelefs 3 września
szósta godzina wieczorem.

W czasie tej przerwy, kompanja nie jest tak spokojną jak zwykle; zazwyczaj, gdy broń ustawią w kozły, żołnierze kładą się wzdłuż rowu, obcierają czoła, rozetrą obolałe ramiona, przegryzą kawałek chleba, popatrzą na niebo i nie zajmują się niczem więcej, chyba spytają: „ile jeszcze kilometrów drogi." Tego wieczoru jednak jakieś gorączkowe zaciekawienie mąci ich spokój: tam na drodze generał rozmawiał z pułkownikiem... ciągle mu coś tłomaczył... coś się gotuje... Żołnierze rzucają na swych dowódców spojrzenia z podełba, niektórzy z miną dobrodusznych obojętnych szeregowców, krążą około grupy oficerów, nadstawiając uszy.

— „Dobrze, dobrze, generale," mówi pułkownik, wytrzymany do końca. A w chwili, gdy jego automobil ma ruszyć, generał nalega:

— „A przedewszystkiem niech wasza straż główna dobrze pilnuje; nieprzyjaciel nie ma pozycji artyleryjskiej, będzie się starał zdobyć ją przed lasem przez atak nocny."

Te słowa pełne dramatycznego znaczenia, dolatują do kompanji i budzą w niej dreszcz taki, jaki wśród publiczności popularnego teatru, gdy impresarjo wystąpiwszy przed kurtynę głosem ponurym zapowiada melodramatyczne widowisko.

Tutaj jednak nie jest to niewinny dreszczyk ludzi oczekujących sensacyjnej zabawy. Jesteśmy na drodze w okolicy Meaux, na prawdziwej wojnie: w oddali płoną wioski, wczoraj widzieliśmy trupy... to też niech nas nie dziwią osobliwe ruchy, na które patrzymy. Ludzie, którzy siedzieli, wstają niewiadomo czemu, innym nagle nogi słabną, więc siadają; ludzi zasępionych chwyta jakaś wesołość nadmierna i wybuchają żartami i śmiechem; gaduły milkną i zapadają w zadumę.

Zbliża się kapitan i mówi: „Przyjaciele, polecono nam iść jako straż główna na róg lasu Saint Laurent i zagrodzić nieprzyjacielowi wyjście z lasu. Naprzód!

Kompanja wyrusza w kierunku Moussy, którą ma przebyć idąc na swoje miejsce. Nadszedł wieczór i jego melancholja rozlewa się wielką falą; karki się zginają, pochylają się głowy. Zdala słychać dźwięk dzwonu. Ludzie są znużeni. Od trzech dni maszerują bez przerwy. Obecnie zamieszanie minęło, gdyż słowa kapitana podały wspólny temat, z którego wyobrażenie snuje obfite obrazy. Staniemy niebawem jako straż główna przed lasem... krytyczne położenie... las to groźna zagadka... kto może wiedzieć, co on ukrywa w swej głębi?

Jak to smutno iść tak, małym oddziałem przez szerokie pole! Nie mogący nadążyć czują się naraz dziwnie nieswojo, gdy zostają w tyle za drugimi, więc przyśpieszają kroku; instynkt nakazuje im trzymać się gromady.

Patrzcie! jakieś ogrodzenie; żołnierze zerkają przez mur... To cmentarz Mousny, cmentarz zupełnie nowy; groby bieleją w cieniach nocy — zajmują tylko mały kącik... zostaje dużo wolnego miejsca.

Niech was nie niepokoi depresja, w której zatonęła kompanja, najlepsze wojsko zna takie chwile; i one nie są bez znaczenia, gdyż później upojenie przy starciu z niebezpieczeństwem ma szlachetniejszą cechę. Tajemniczy urok wojny tkwi może właśnie w tem szerokiem rozkołysaniu duszy ludzkiej, które daje poznać całą gamę uczuć.

W kompanji jest jeden człowiek, w którym skupia się świadomość wszystkich: to kapitan. Jego mózg jest niby stacją odbiorczą, w której zbiegają wszystkie czucia oddziału; on wie, kiedy ludziom trzeba dodać podniety; to też podczas swego postoju, dowódca gawędzi poufale z ludźmi: „A więc tak," mówi wesoło, „będziemy mieli dobrą noc. Cóż za pyszna okazja do odznaczenia się: czy widzicie? Umieszczeni w rowie czekać będziemy, aż nieprzyjaciel w zwartych szeregach wyruszy się z lasu; przyczajeni, pozwolimy mu zbliżyć się na sto metrów, a potem: trach! przyjmiemy go gęstym ogniem, dwa tysiące kul na minutę! A to degringolada! Później naprzód! na bagnety! To ci święto!"

Skupieni wokoło kapitana przysłuchują się żołnierze. Słowa jego uderzają im do głowy jak opary trunku; rozgrzewają się mózgi; ludzie śmieją się, dowcipkują. Dobrze idzie!

Zatrzymujemy się w Moussy; kapitan przez chwilę rozmawia z oficerem sztabu brygady; usłyszane zdania rozbrzmiewają w ciemności: „Tak — nieprzyjaciel w Beaumarchais... o tysiąc pięćset metrów przed wami." Widać przy świetle latarni, jak dwaj oficerowie ściskają sobie ręce; ich pożegnanie jest szczególnie uroczyste.

Idąc po zachodniej stronie, mijamy ostatnie domy wioski. Dalej już zaczyna się niewiadoma, tragiczna strefa, na której jutro

rozwinie się bój... teren podobny temu, jaki oddziela dwa dziki, gdy przed natarciem robią krok w tył, by gwałtowniej uderzyć. Kompanja ma w tej chwili duszę zwierza, gotującego się do skoku. Rozdzieliła się: przodem o trzysta metrów straż przednia; patrole, to wyciągnięta łapa bestji, macającej pazurami teren.

Jakże groźna wydaje się ta strefa zagadkowa! Tak jest ciemno, że zdajemy się zanurzeni w jakiejś gęstej cieczy, niby nurek w morskiej głębinie. Noc jest cicha... jak gdyby wstrzymała oddech i ruchy, aby tem pewniej zaskoczyć, jedynie kroki żołnierzy i dalekie szczekanie psa, mącą absolutną ciszę. Wszystko wokoło przejęte grozą.

Ledwie kompanja wyszła ze wsi, zostaje zatrzymaną od czoła. To patrole złudzone szelestem liści, stanęły.

— „Dalejże — ruszajcie!“ rozkazuje kapitan i chcąc dodać otuchy, idzie przodem z rewolwerem w ręku.

Oddział jest zdenerwowany. To nie ci sami żołnierze, których widujemy w marszu ponurych, z oczyma nieruchomo wlepionemi w nogi kolegów, idących przed nimi... W tej chwili wszystkie głowy podniesione w górę, a oczy żywo zerkają na prawo i lewo, przeszywają noc szybkiemi spojrzeniami, jak podejrzany gąszcz krzaków ostrzami bagnetów.

Idąc ciasnym wąwozem, mają ludzie wrażenie, że przebijają się przez podwójny rząd nieprzyjaciół zaczajonych w trawie; niepokoją ich świecące robaczki. Kto wie, co się chowa w takim krzaku, jak ten, który widać o dziesięć kroków? A ta czarna plama na drodze, czy to człowiek leży gotów do skoku, czy trup może? czy tylko kępa zielska?

Posuwają się zwolna, każdy krok bowiem opóźnia przy lekkiem wahaniu; bierze ich chętka wyciągnąć ręce przed siebie i macać ciemności. Idziemy tak długo, że chyba już minęliśmy wyznaczone miejsce.

Kapitan kryjąc się za jakimś murem ogląda mapę przy świetle latarki. Mówi: „Przeszliśmy tylko kilometr; jeszcze tysiąc pięćset metrów przebyć nam trzeba.“ Kompanja rusza dalej.

W końcu wywiadowcy zatrzymują się przed ciemną gęstwiną; to las; ukryci w trawie obserwują i odsyłają raporty na tyły.

Oddział zatrzymał się w lekkiem zagłębieniu terenu. Kapitan wyszedł na grzbiet.

— „Tutaj mamy się trzymać aż do ostatniego — jeżeli będzie trzeba. Na nas liczą towarzysze, którzy tam za nami zostali“.

— „Rozumiemy!“ — szepczą głosy stanowcze i ostre.

W stanie psychicznym żołnierzy nastaje inny zwrot; spełniają posłusznie powinność swego zawodu. Wykonywa się poruszenia, przesunięcia, rozczłonkowanie: małe posterunki i warty rozchodzą się, by utworzyć przed frontem pierwszą linję straży. Z uczuciem zadowolenia patrzę na tych ludzi, pogrążających się w mroki nocne — te maleńkie placówki stanowią upezpieczenie... ale

także z uczuciem smutku... -kompanja ubożeje w swej masie, a i przedtem jakże drobną garstką czuła się na tych obszarach!

Jednakże straż główna, choć postrzępiona pozostaje jeszcze duchowo nierozerwalną całością: wydłużona przez czatujące przed nią placówki, z palcem na cynglu karabina, zaczajona w polu czeka jak kot w bróździe z wysuniętemi pazurami, czyhając na pojawienie się zdobyczy.

ROZDZIAŁ IV.

RONT NOCNY.

Przed lasem Ermenville
3 września o 10-ej wieczór.

Sądząc, że sieć mych wedet i placówek jest już rozstawiona, postanawiam obejść odcinek. Dzisiejszej nocy dowodzę strażą główną, mającą poważne zadanie. Nieprzyjaciel ma atakować... mam się upewnić, czy nie popełniono jakiego błędu w wyborze stanowiska. Wychodzę sam; łatwiej mi będzie cicho przemknąć się przez pola, nie budząc czujności nieprzyjaciela.

O sto kroków spotykam pierwszy posterunek z sześciu ludzi; żołnierze zbili się w kupkę nieruchomą i nadsłuchują...

— „Jakto?“ pytam, „tak blizko! Czy nie mówiłem, że macie się oddalić mniej więcej na czterysta metrów?“

Bełkocą: „Czekaliśmy żeby się lepiej rozpatrzyć... szukamy miejsca.“ Istotnie jednak subtelna więź trzyma ich w pobliżu straży głównej: boją się oderwać od tamtych.

— „Dalejże! ruszajcie naprzód.“

Zwracam się do małego posterunku Nr. 2. Widzę linję drzew, która jest dla mnie dogodną drogą; sięga ona krańca lasu, gdzie prawdopodobnie czuwają placówki nieprzyjacielskie.

Jakże dziwnem jest działanie ciemności na system nerwowy! W koło mnie wszystko jest zagadką, groźbą. Skąd to osobliwe wzruszenie? Czy po prostu dlatego, że gdy wzrok nasz jest bezsilny, czujemy się zubożeni o jedno potężne narzędzie ataku i obrony?

Chyba to jednak cóś innego.

Tej nocy, gdy gładkie pnie drzew wiśniowych błyszczały w cieniu, gdy lekkie opary unosiły się nad ziemią... kołysały się wysokie trawy, doznawałem ciekawego wrażenia, takiego samego, jak niekiedy przy czytaniu niezrozumiałych mistycznych poematów. Umysł, chcąc przeniknąć ten sens, błądzi po omacku zdziwiony, nie zdolny do pojęcia czegokolwiek, ale niemniej z mglistych i ciemnych kart poematu udziela się nastrój uczuciowy, błyśnie jakieś światło, wynurzają się jakieś kształty i rozpływają, zjawiają się myśli jasne niby świecące rakiety i znów zapadają w ciemność,

w której drga świat tajemny. Człowiek obraca się w sferze zaludnionej przez duchy nieziemskie, które może znał niegdyś. Moje nocne nastroje są również wynikiem tysiąca podświadomych uczuć, których umysł wyjaśnić nie umie; nieznane mi dotąd dreszcze przenikają mą istotę.

Widocznie przodkowie nasi musieli bardzo silnie odczuwać trwogę przed ciemnością, dla nich tak pełną niebezpieczeństw, jeśli ich strach w naszych współczesnych duszach jeszcze budzi takie dreszcze. Lęk nasz jest tylko słabem echem tej trwogi, która trzęsła człowiekiem pierwotnym, gdy skurczony w kamiennej jaskini, słuchał ryku drapieżnych zwierząt wśród czarnej nocy.

— „Stój! kto idzie?"

Temi słowy zatrzymuje mnie jedna z moich wedet.

— „To ja, wasz kapitan."

— „Ach, to dobrze," — słyszę westchnienie ulgi.

— „Cóż tam nowego?"

— „Widziałem człowieka — tam..."

Pokazuje mi ciemną, zagadkową ścianę lasu. Rzeczywiście, w tej że samej minucie jakaś setka ludzi gromadzi się po cichu na skraju lasu, zakłada bagnety na lufy i czeka rozkazu rzucenia się naprzód.

„Dobrze; nie bój się, czuwaj dalej; nie strzelaj, póki cię nagle nie zaskoczy większa ilość nieprzyjaciół".

Odbywam dalej swój ront: nowa wedeta. Żołnierz ten widocznie w czasie życia garnizonowego stał często na warcie u bramy, gdyż zachowuje się tak, jak gdyby pełnił straż przed samą podprefekturą prowincjonalnej mieściny; karabin wziął na ramię, bagnet ma na lufie, i wyprostowany, z hełmem zapiętym pod brodą, miarowym krokiem spaceruje, trzydzieści kroków wprawo, potem trzydzieści wlewo, jak go nauczono... Braknie mu tylko budki szyldwacha.

A dalej jeszcze inna wedeta. Ach! tego znam dobrze: To Mikołaj, kłusownik, który nieraz czyhał na królika w „strzeżonych kniejach." Przykucnął za krzakiem i ukrył się w terenie. On nic podejrzanego nie słyszał i nie widział. Mogę być spokojny; tędy nieprzyjaciel nie przejdzie niepostrzeżony.

Wchodzę do ciasnego wąwozu, idąc długo nie spotykam nikogo. Czyż podobna? Tu powinna być mała placówka... czyżbym zabłądził? Próbuję się zorjentować... ale to trudno. Idę dalej... nikogo! A gdybym tak wpadł w zasadzkę? Chłodno jest, a jednak czoło mi się poci... Dalejże — zobaczymy... pójdę na prawo... ciemna ścieżka prowadzi do płotu... nie, należy iść na lewo: zawracam z drogi. Oto dziwne jakieś drzewo tam daleko: jest wysokie a zarazem cienkie jak nitka... jeszcze kilka kroków i rozpoznaję że to zwykła tyczka, której mogę dotknąć ręką. Słucham... Ach! teraz rozumiem to, co poeci nazywają „żyjącą ciszą;" wszystko jest tak spokojne, a jednak noc pulsuje, drży, kracze, jęczy, dzwoni... I nocne ptaki się niepokoją... może

przeczuwają blizkość śmierci. Jakiż ja głupi! Wbrew mej woli myśl moja wywołuje bajki o strachach i czuje. że moja fantazja byłaby skłonna tworzyć korowody widm, biało i czarno odzianych, unoszących się w tej atmosferze... Rząd starych pokręconych topoli, których wierzchołki poruszane wiatrem, chwieją się, gestykuluje dziwacznie na tle nieba.

Teraz nie mylę się; coś się ruszyło — słyszę cichą rozmowę w grupie ludzi... tuż blizko mnie... zabłysła broń... Ręka ściska kurczowo rewolwer: drogo sprzedam moją skórę... Dławi mnie kołnierz, rozpinam go i myślę bez sensu: „Muszę powiedzieć krawcowi, by go rozszerzył."

Posuwam się... ludzie kamienieją:

— „Kto tam?"

To warty zaniepokojone zeszły się razem.

— „Tak, tak, kapitanie, jest tam kompanja rozwinięta; pełzają ludzie."

— „Kpicie chyba! Czy nie widzicie, że to kapuściane pole."

Mam minę spokojną człowieka, który spaceruje wieczorem, chcąc się ochłodzić po obiedzie.

Jakimże skarbem dla mnie jest ta automatyczność, wypływająca z mego zawodu. Kilka minut przedtem byłem lunatykiem, z którym noc igrała; znalazłem się oko w oko z mymi żołnierzami, pod ich wzrokiem wstąpiła we mnie osobliwa siła, stałem się spokojnym dowódcą, zrównoważonym, opanowanym, pewnym tego co mówi, ufnym w swą wiedzę i gotowym krzepić słabnących.

ROZDZIAŁ V.

WALKA ZE SNEM.

W lesie Ermenville 3 września
jedenasta wieczorem.

Rozciągnięci na ziemi, na stanowiskach straży głównej, ludzie chrapią. Przynajmniej czwarta część oddziału winnaby czuwać, by ruszyć na pierwszy sygnał: „pogotowie"; ale wszystkich zwyciężyło zmęczenie; ledwie kilku żołnierzy stoi, drżąc i nie ruszając się z miejsca.

Gniewam się: „Dalejże pogotowie, wstawać! Zakazuję wam kłaść się a nawet siedzieć; zasypiacie jak niemowlęta w ramionach matki. Dalej, raźno, na nogi!"

Wstają z rękoma w kieszeniach, trochę osowiali, rozglądają się wokoło zupełnie bezmyślnie.

Idę dokładnie zbadać teren w promieniu stu kroków, by wiedzieć jak postąpić, gdy nieprzyjaciel zaatakuje. Oto o trzydzieści kroków na prawo jest wzgórek; jeśli z tej strony nastąpi

atak, będę mógł rozwinąć dwa plutony; ostatni pluton umieszczę w polu na lewo. Jeśli nieprzyjaciel ukaże się z przodu... rozwinę pluton wierzchem na drodze, drugi w polu, trzeci będzie w odwodzie.

Teraz wszyscy żołnierze nie należący do pogotowia śpią. Przed chwilą wszyscy przejęci byli poczuciem, że czuwać należy; myśl o niebezpieczeństwie trzymała w naprężeniu oczy, uszy, nozdrza, by pełniły swą powinność. Starczyło, by jedna myśl zawitała do głowy: „to nie na mnie kolej czatować," by wszystko się uspokoiło, a człowiek pogrąża się w sen jak w miękki puch... Niektórzy śnią głośno, lecz w większości organizm tak jest wyczerpany trudem, że nie jest zdolny zdobyć się na senne marzenia.

Choć znam zwyczaj niemiecki nie wszczynania ataku przed drugą w nocy, postanowiłem nie spać wcale; czyż nie polegają na mnie moi ludzie? A tam za nami cały pułk! Zresztą od kilku dni zmęczenie powoduje u mnie dziwne zjawisko: gdy się budzę znienacka, jestem zupełnie oszołomiony przez kilka sekund, nie zdaję sobie sprawy, pytam: „Co to jest? Co ja tu robię?" W tej chwili muszę posiadać pełną świadomość... nie, lepiej wcale spać nie będę.

Stoję. Przez dłuższą chwilę obserwuję nocny krajobraz. Miło mi myśleć, że nasz rozum przezwyciężył noc... Jakieć żyjątka morskie podobno mają organy wzroku, umieszczone na końcu macków, które wysuwają w ciemności. Kompanja jako ciało zbiorowe, ukryte u stóp tych drzew, wypuściła również swoje macki, które przenikają i badają otaczającą ciemność: to nasza placówka i nasze straże.

Bądź co bądź usiąść mogę; przecież wszystko jest spokojne. Jestem bardzo zmęczony, już trzecią noc nie śpię. Jutro może dzień będzie bardzo ciężki... Jeszcze nie północ, niema czego się lękać — siadam; skoro tylko zacznie mnie sen morzyć, wstanę.

Daję wolny bieg myślom... Najprzód podziwiam moją fizyczną odporność; istotnie, ja, tak chory w dniach mobilizacji, nigdybym nie przypuszczał, że zdolny jestem do takich wysiłków. Potem myślę o wojnie. Jest gdzieś w Europie ogromna jaskinia barbarzyńców... Rzucili się oni, jak rój ptaków drapieżnych na ludy z których każdy na swój sposób pragnął urzeczywistnić jakiś ideał. Teraz ci barbarzyńcy są osaczeni, olbrzymie armje czyhają na nich. Iluż kapitanów francuskich, angielskich, rosyjskich, belgijskich, serbskich pełni o tej godzinie straż główną w koło owej bestji.

Zapewne wśród tych kolegów nie jeden tak samo jak ja, patrzy w gwiazdy, doznaje tych samych uczuć, ma te same myśli. Porywa mnie świadomość, że łączy mnie wspólność myśli i wysiłku pod tem sennem sklepieniem niebieskiem z tylu towarzyszami broni. Ach! tak; cywilizacja francuska, słowiańska, angielska — mogą być spokojne; nieprzejrzane armje czuwają nad ich losem, który w przyszłości będzie wspaniały... Ja dzisiejszej nocy pełnię moją powinnność... wszystkie moje rozporzą-

dzenia obmyśliłem dobrze, by przeciwstawić się nieprzyjacielowi; jeśli przyjdzie z prawa: dwa plutony na wzgórku, jeśli od przodu jeden pluton na drodze, drugi na lewo... Jak spokojną duszę ma „straż przed bronią!" Ziewa patrząc na księżyc, który właśnie wynurza się z chmur. Już nie tak ciemno; trudniejo zasadzkę.

Co tam! wreszcie mogę się położyć; choć nie zasnę, wypocznę trochę. Tak mi będzię dobrze, oprę głowę... oczy mam na 15 centymetrów nad ziemią... jeszcze dobrze widzę horyzont; zresztą nie zamknę oczu.

By się dobrze przekonać, że umiem odegnać sen dwa lub trzy razy podnoszę się do połowy. Ludzie z „pogotowia" stoją oparci o płot... zimno im... warta stoi na właściwem miejscu... zaczynam snuć dalej wątek myśli, lecz jedna z nich uporczywie czepia się mnie w urywanych zdaniach. „Tak, tak, na wzgórku dwa plutony, jeśli nieprzyjaciel z prawej strony... jeśli z przodu... jeden na drodze... jeden w polu... dla kontrataku..." Wciąż przeżuwam te wyrazy. Na końcu ich sens mi się wymyka, ale nie mniej powtarzam je w duszy, tak jak w dzieciństwie powtarzałem mechanicznie bajkę: „Dąb i trzcina." Mam wrażenie, że z tych technicznych określeń spływa otucha jak płatki miękkiego śniegu: „Tak — dwa plutony w tyraljerce dobrze rozwinięte — na drodze, wszystko przewidziane... niema czego się bać." Oczy zamykają mi się, jak pod słodką pieszczotą — nogi wyciągają się, wszystkie mięśnie się rozprężają.

Nagle wstrząśnienie:.. nerwowe drgnięcie przebiegło moje ciało niby iskra elektryczna. Podniosłem głowę.

— He — he — cóż to takiego?

Nic niema. Słodkie odrętwienie powraca a z niem kołowanie mych myśli. „Pluton... na prawo... tyraljerka." Czyżbym usypiał? Czy czuwam, czy śnię? W dzieciństwie, w Bligny, mej rodzinnej wiosce, byli myśliwi, którzy wieczorem całą bandą szli polować na drozdy... rozpraszali się na skraju lasu Monthy, czekając na powrót ptaków.

— Paf! Padł strzał i wstrząsnął uroczystą ciszę nocy...

Staję na nogi, otacza mnie zgiełk. Gdzież jestem? Strzały... drozdy... Bligny... żołnierze... Kto strzelił?... nieprzyjaciel...

Mówię machinalnie:

„Spokojnie... zbiórka przy dowódcach plutonów — w linji — dwójkami."

Wszyscy ludzie z kompanji zerwali się. Instynktownie każdy stanął przy dowócy plutonu, twarzą do nieprzyjaciela — zdecydowany. Jesteśmy gotowi.

Spokój wokoło, tylko echo powtarza odgłos strzału i rozlega się daleko po lesie, jakby tysiącznemi okrzykami protestu rozmodlonych w świątyni wiernych, którym przerwano religijną ekstazę... puszczyk huka gdzieś daleko. Czekam na raport. Naraz

zdaleka słyszę donośny głos dowódcy placówki nr. 3. Złości się: „Idjoto! strzeliłeś do drzewa."

W końcu ranek zaświtał. Zupełnie jak w kinematografie; póki ciemno, na ekranie przejmujące sceny; skoro światło zajaśnieje, oświeca banalne zbiegowisko ludzkie. Ujrzeliśmy najpospolitszy w świecie widok: kraniec lasu niewinnie rysował swój profil na różowawem niebie. Ptaki świergotem winszowały sobie spokoju w przyrodzie i uciechy życia. Wszystko stało się jasne, przejrzyste, tajemnica rozwiała się. Doznałem niepojętego rozczarowania.

Potem dowiedzieliśmy się, że tejże nocy, trzy korpusy armji von Klucka dokonały sławnego ruchu, napierającego na lewe skrzydło, co dwa dni później doprowadziło do bitwy nad Marną.

ROZDZIAŁ VI.

NIESPODZIANKA.

Plessis aux Bois 5 września, południe.

Bataljon na nowej kwaterze czuł się tak szczęśliwym, jak uradowany właściciel, który objął w posiadanie ładną willę; żołnierze wałęsali się po podwórkach i stodołach wydając okrzyki radości, zwłaszcza gdy spotkali drób lub króliki pozostawione przez chłopów.

Zupełnie pusta była ta wioseczka Plessis aux Bois — na północ od Meaux — tak samo jak wszystkie, przez które przechodziliśmy od tygodnia. Mieszkańcy uciekli, pozostawiwszy na drzwiach domów otwartych kredą zrobione napisy: „Żołnierze francuscy, zabierajcie tu wszystko, aby nic nie zostało dla Niemców."

Ta wzruszająca prośba, świadcząca o uczuciach mieszkańców, mogła nie jednego melacholijnie nastrajać; my widzieliśmy w niej tylko gościnne zaproszenie wesołe i przekorne.

Ach! jakże nam było dobrze w tej wiosce w południe 5-go września! Ciężkim był marsz dziś rano, ale von Kluck bardzo daleko zaszedł na wschód, jak mówiono. W szeregach była mowa o kilkodniowym wypoczynku. Żołnierze zdjęli kurtki i krzątali się u wesoło płonących ognisk, gotując zupę lub piekąc kury. Inni przetrząsali piwnice.

I my także — oficerowie bataljonu — zakwaterowani w ostatnim domu na krańcu wioski, zabieraliśmy się do śniadania; na stole postawiono butelki o obiecującym wyglądzie. Proste życie żołnierza w polu nauczyło nas roskoszować się tem, że żyjemy, jemy i pijemy... Wokoło rozciągał się daleko krajobraz falisty, miejscami wzbierający w wynioślejsze wzgórza; był tak ogołocony z drzew, że przywodził na myśl postać nagiej kobiety, grzejącej

się na słońcu i wzrok się nim pieścił. Jakaż rozkoszna taka chwila wywczasu.

W dali huknęły armaty.

— „Ach! cóż tam!“ rzekł major tonem przekornym; „nie dam sobie przerwać śniadania!“ I nalał sobie szklankę wina.

W tejże chwili pękł granat w podwórzu. Widzę jeszcze jak naprędce niedbale przypinamy pasy. Ach! ta obrzydła sprzączka; tak nie chce trafić w dziurkę! już! rewolwer na złą stronę - mniejsza oto! Zapominam manierki! I pędzimy po kwaterach, by zgromadzić kompanje. Grad granatów obsypuje wioskę.

Na odgłos pierwszego wybuchu, bataljon przez sekundę był jak przykuty do miejsca. Niebezpieczeństwo zaskoczyło nas tak niespodzianie, że niemając czasu go zmierzyć, powiększano je. Rzucono się tłumnie do kozłów; żołnierze wybladli wychodzili z piwnic okryci pajęczyną.

Potem wpadali w szał. Wszyscy wiedzieli z doświadczenia, czem grozi przebywanie w miejscu zamieszkałem, które nieprzyjaciel razi systematycznie ogniem działowym; dla uchronienia się od pocisków niema jak szarzyzna ścierniska, w której oko obserwatora nic nie może rozróżnić. To rozumowanie zdawna utrwalone, znalazło natychmiastowe zastosowanie w postępowaniu bataljonu. Pędząc drogą, przeskakując płoty, mknąc przez ogrody, żołnierze śpiesznie rozsypali się po polach od zachodniej strony; powiedziałby kto, że to zaspy zwiędłych liści pędzone wiatrem, który się zerwał nagle.

Ach! jakimże obrazem zbiorowego obłędu jest panika! Jest ona rospętaniem jakiejś złej a tajemniczej potęgi. Możnaby myśleć, że tu są sami tchórze, ludzie nieprzytomni, z których każdy myśli tylko o własnym ratunku. Czyż to zresztą ludzie? wydają sie raczej pociskami, rzucanemi w przestrzeń, na wiatr. A jednak nigdy więź duszy zbiorowej nie jest równie silną, jak w takich chwilach. Wstrząśnienie zabiło ich wolę i zdolności rozumowania, a zbudziło stare instynkty stadowe.

Każdy mózg stał się zupełnie prostym mechanizmem: odruch ucieczki powstaje automatycznie; póki jeden człowiek pędzi, będą pędzić i inni aż do ostatecznego wyczerpania.

W tych żołnierzach jest potroszę wszystkiego. Ci, którzy jeszcze zdolni są zastanowić się, mówią sobie: „Uciekam, to źle; ale trudna rada! muszę robić to, co i drudzy.“ Inni naiwnie winszują sobie tej powszechniej ucieczki, w której ich wina zaciera się w winie zbiorowej.

Co najciekawsze, to, że w godzinę później ci sami ludzie mogą się zachować po bohatersku.

Jak inni oficerowie, pędziłem wśród swoich ludzi, krzycząc: „zwolna! stój! zbiórka!“ Ale któż powstrzyma wyścigowego konia, spłoszonego przypadkowym strzałem pistoletu... Niektórzy uciekali bez rynsztunku; obrzucałem ich obelgami, a równocześnie

gniotło mnie poczucie straszliwej klęski: „Moja kompanja w rozsypce," myślałem — „nic jej nie zatrzyma; jestem shańbiony!" Kto nigdy nie dowodził na wojnie, nie wie, jaka wściekłość rozsadza serce dowódcy w takiem położeniu.

Skoro żołnierze poczuli się bezpieczniejsi, zniknąwszy w bezkresnej szarzyźnie równin, zwolnili biegu; odległość zmniejszyła niebezpieczeństwo. Ci, którzy porzucili rynsztunek, zatrzymali się, zastanowili i wrócili do wsi. Jeden z ludzi nagle stanął w żałosnej postawie i oświadczył:

— Tam zostawiłem dobrą butelkę; wrócę po nią.

Bataljon uczuł skruchę. Wracała świadomość, a wraz z nią rodzaj osłupienia. Do czego to podobne tak czmyhać dla głupiego gradu granatów. Wszyscy odczuli bezwiednie, że padli ofiarą dziwnej zarazy; jeden zrzucał na drugiego odpowiedzialność za panikę; każdy przysięgał, że aniby myślał „wiać", gdyby nie ci tchórze i wskazywał kolegów, którzy go pociągnęli.

Widzę dziś jeszcze tę kompanję bezładnie zgromadzoną we wklęsłości terenu z rozpalonemi twarzami i obłędnym wzrokiem.

Niebawem w świadomości kompanji wspomnienie popłochu wystąpiło jak brudna plama, którą czemprędzej zmyć należało. Zakipiała zniecierpliwieniem — tam trzaskały salwy... pędźmy zatrzeć plamę tej haniebnej chwili.

Wydałem rozkaz: „Zbiórka... plutony czwórkami. Kierunek: nieprzyjaciel". Zanim zdążyłem powiedzieć: „Naprzód, marsz!" żołnierze puścili nogi w ruch, nerwowo podnieceni ruszyli na wschód, skąd grzmiały armaty.

ROZDZIAŁ VII.

OFENSYWA.

6 września 1914 r.

9 godzina rano. Wspaniały dzień wrześniowy. W dali faliste pola błyszczą w słońcu. W pułku zgromadzonym przy folwarku Trace krąży wieść, że jesteśmy „rezerwą rezerwy głównej". Ponieważ wchodzimy w skład dywizji rezerwy, słychać mnóstwo uwag na temat tego kilkustopniowego określenia. Są tacy, których to drażni.

— „Zawsze to samo," mruczy kapitan Cotenein — „naszą rolą jest wystawiać się na pociski i nie ruszać się. Jeżeli kampanja skończy się i nie da mi sposobności do ataku na bagnety, biorę dymisję, zrzucam mundur oficerski po wojnie!"

Tegoż dnia było dane temu dzielnemu żołnierzowi atakować na bagnety i zginąć.

Inni łatwiej się godzą z myślą, że spędzą dzień spokojny; i ja do nich należę i bawię się, patrząc na mych żołnierzy, którzy

ćwiartują barana, pochwyconego w polu, gdzie się błąkał. Kto przez trzydzieści sześć godzin żył o kromce suchego chleba, pojmie z łatwością, jak interesującym był ten wstęp do pieczystego.

Jakże to będzie miło dziś odpoczywać po trudach ostatnich dni! Żołnierze pokładli się na łące i drzemią, oficerowie zbierają się po kilku i zabawiają rozmową. Pułkownik z miną dobrodusznie figlarną pokazuje swą pelerynę podziurawioną wczoraj odłamkami granatu i dowcipkuje:

— „Patrzcie! Nowość sezonowa i ażurowe ubranie, bardzo praktyczne na upał... Robota krawiecka za bezcen!"

Naraz przychodzi rozkaz i ruszamy na zachód. Poprostu przesunięcie rezerw — myślimy.

Godzina 12. Przybywamy do Marcilly. Już trzy godziny maszerujemy przy żarze słonecznym. Ranna wesołość opuściła nas zupełnie. Od strasznego upału zaschło nam w ustach; to też ledwie wejdziemy do wsi, powstaje tłok przy studniach, u których żołnierze piją chciwie. Potem ugasiwszy pragnienie kładą się na ziemię w cieniu pod murem. Zatrzymać się, położyć, odpocząć, zasnąć!

Major daje mi rozkaz:

— „Jeszcze jedna translokacja" — mówi mi z uśmiechem; „pójdzie pan ze swą kompanją na punkt 124, na wschód od Marcilly."

Po stromej wspinającej się ścieżce, prowadzę moje cztery plutony o sto metrów jeden za grugim. Czy nie zbyteczna ostrożność? toć jesteśmy w rezerwie. Na wszelki wypadek lepiej jednak, aby zbłąkany granat nie pogruchotał wszystkich naraz.

Patrzcie! przed nami na lewo mniej więcej o sto metrów, unoszą się i błyszczą na niebie białe kłęby dymu! powiedziałby kto, że to gniazdka z białego puchu łagodnie kołyszące sie w powietrzu; to wybuchające pociski. Miałem rację, że byłem ostrożny. Punkt 124 jest przed nami na prawo; to szczęście, bo tu gdzie jesteśmy, nie byłoby bezpieczne miejsce dla rezerwy.

Idziemy na przełaj przez pole kolumną kompanijną. I znowu wybuchy granatów... na paręset metrów przed nami... Toż one biją w punkt 124!

Zbieram moją kompanję za małą wypukłością terenu. Przykładam do oczu lornetę i badam horyzont: przedemną ścierniska, buraczane pola, wznoszące się zbocze góry, tak gołe, że możnaby na niem chyba dostrzec spacerującą mrówkę. Nie dostrzegam żadnej żyjącej istoty. Na prawo bez przerwy padają pociski na wieś Barcy; ależ tam jeszcze dwa kilometry... Ba! ruszajmy bądź co bądź...

13 godzina: Z wysokości wzgórza odkrywa mi się widok na całą równinę na wschód od Barcy. Po prawej stronie widzę podsuwające się nasze oddziały. Widok przejmujący. Sekcje posuwają się skokami lub przebiegają pojedyńczo; widzi się, jak małe czarne punkciki wyrastają z gruntu, podskakują, spłaszczają

się na nowo, znów trykają w górę... Nad posuwającymi się naprzód pękają pociski; czasem ruch ustaje zupełnie, ludzie przyczajają się za małemi kupkami snopów... pytanie czy nie wyginęli wszyscy?

Gdy tuż nad tymi towarzyszami boju zerwie się burza pocisków, kurczę ramiona, jak gdyby ona nad moją głową szalała i wołam: „Och!“ To wojsko postępuje naprzód i cofa się naprzemian; ma ciężkie zadanie i wartoby mu iść z pomocą. Czasem grupka rozbitków spotkana przez nas, wydaje nam się niby odbitą falą, którą wicher ciska wstecz o brzegi rzeki, ale nie na długo; zawracają znowu i pędzą na nieprzyjaciela.

Niewymowny niepokój szarpie duszę dowódcy. Czyż znam dobrze sytuacją? Wcale nie. Okoliczności nie pozwoliły na normalne przesyłanie rozkazów. Bitwa dla mnie jest zagadką. Gdzie nieprzyjaciel? Jakie jego siły? Jakie zadanie ma spełnić dywizja? Gdzie wojska nasze? Za mną niema nikogo... na lewo, szeroka przestrzeń, samotna i cicha. Mam wrażenie jakoby moja kompanja sama jedna znajdowała się na polu walki oprócz tych wojsk, które widzę jak się posuwają o dwa kilometry przed nami. Może jestem narażony na odcięcie, na oskrzydlenie, zagarnięcie... Ludzie moi patrzą na mnie, czuję, że niektórzy z nich odgadują moje zmieszanie, choć zmuszam się do pozornego spokoju i obojętności... Czas nagli, a od mych rozkazów zawisło życie moich żołnierzy.

W tem tkwi cała trudność zadania dowódcy. Proszę zauważyć, że pytanie, które mnie w tej chwili dręczy, jest literalnie to samo — z zastrzeżeniem odpowiedniej proporcji... które niepokoiło generała Gorudny: „Stać w miejscu, czy iść na strzały?“ Ja zaś mówiłem sobie: „Czy iść dalej na punkt 124, czy też pójść wzmocnić wojsko, które tam potrzebuje pomocy?“ Położenie straszne! — bez względu na to, czy gra idzie o cesarstwo, czy o życie 250 ludzi.

„Zapewne, towarzysze potrzebują pomocy, ale czyż ruch, jaki wykonywują, jest taki ważny, by dla poparcia go zlekceważyć otrzymany rozkaz? Kazano mi iść na punkt 124, a nie gdzieindziej... A przecież, jakaż pokusa iść tam! mogę stać się tym, który uratuje sytuację.“

Powstaje w mej głowie plan, który mi się wydaje wspaniały: Dopiero co przechodząc przez Marcilly słyszałem, jak jeden oficer mówił:

„Już od dwóch dni grad kul z baterji szwabskiej bije w Bevey, a nie możemy jej wytropić.“

Obserwuję tedy kierunek, z którego dochodzi odgłos strzałów armatnich — echo? Ależ nie mylę się chyba. Owa sławna baterja jest tu, wprost mnie — właśnie na moim odcinku, może na dwa lub trzy kilometry od nas. Gdybym się tak postarał wziąć ją na bagnety? Znam moich ludzi; za mną pójdą wszędzie.

Cóż by to był za pyszny kawał! Dzielę się tą myślą z plutonowymi; ludzie to słyszą.

„Mój stary, mówi jeden z nich do sąsiada, stało się i trzeba ci dobrze posmarować kosteczki, byś je mógł znaleźć i pozbierać."

13 godzina 30 minut. Nasze drobne kolumny wiją się wzdłuż pól. O dziwo! ani kul, ani granatów! Ale to nie trwa długo... Słyszymy świst, jakby szybki ruch trzciną w powietrzu; to kule. Rozkazuję: „W tyraljery! — naprzód skokami!"

Nikt się nie boi; głupstwo! to tylko kule. Odczuwam osobliwe zdenerwowanie, które mi przypomina to, jakiego doznawałem w Szkole Wojskowej, gdy miałem „przejście przez wzgórze"; ale prócz tego jest i wesołość; ja, co nigdy nie żartuję, mam ochotę ospakajać moich ludzi, rzucając im — dość głupie zresztą — dowcipki; żołnierze śmieją się z nich i wzamian częstują mnie konceptami swego prostego wyrobu.

I naprawdę dla żartu tylko w każdej przerwie stoję prosto jak słup.

„Połóż się kapitanie; oni siekają twoje kotlety!" — krzyczy mi jakiś kpiarz z drugiego plutonu.

Istotnie, świst coraz się zgęszcza koło mnie; gdy przechodzę pod jabłonią, widzę jak u nóg mych padają odcięte gałązki z owocem: „Jacy oni grzeczni," mówię, „częstują mnie jabłkami."

I nucę:

„Oto owoce, kwiaty, listki i gałązki..."

Każdy za moim przykładem, chce się bawić w hazard — lub może każdy ma w tem punkt honoru, by pokazać, że się nie boi, gdyż naraz wszyscy podoficerowie, kaprale, żołnierze, wszyscy wogóle przestają się kłaść.

Gniewam się i ryczę: „Padnij, bo łeb rozbiję!"

Przez dziwny kontrast tuż obok mnie jeden z żołnierzy wprost przykleja się do ziemi. Choć policzki jego dotykają ziemi, za każdym świstem kuli jeszcze się bardziej przypłaszcza. Możnaby myśleć, że gryzie ściernisko.

„A otóż macie! dostałem kulę!" — mówi ktoś obok mnie i trzęsie skrwawioną ręką.

Co chwila, któryś z żołnierzy zatrzymuje się za kopą snopów i rozwija coś białego: swój opatrunek. Nie wiem, ilu jest rannych; kompanja zajmuje front pięciuset metrów.

14 godzina. Nie daliśmy jeszcze ani strzału. Za każdem zatrzymaniem się, rozglądam się po okolicy; nic nie widzę prócz pól i pagórków nieruchomych; tylko rozpalone powietrze skacze mi przed oczyma. Gdzież są „oni...?" Cóżbym dał za to, by „ich" odszukać! Teraz wkoło nąs padają kule; w każdym punkcie na którym się zatrzymujemy, wzbija się mały obłok kurzu. Zagradza nam drogę mały stos snopów owsa.

Patrzcie! tam ruszyło się coś za płotem o tysiąc metrów przed nami.

Doskonale! To „oni." Krzyczę:

„Ogień pojedyńczy! Na tysiąc metrów! Kierunek płot, na lewo od żółtego pola! Strzelać!“ Celownik podałem dobry; widzę punkt padania kul, ale nadaremnie patrzę, nie mam przyjemności oglądania ucieczki wrogów; muszą być dobrze okopani.

Nagle rozdziera atmosferę niby gwizd jednej z tych potężnych syren, które można słyszeć w Creusot: leci granat. Wszyscy się kładą. Huk! Wybuch nastąpił o sto metrów przed nami. Myślę: „to strzał krótki.“ W istocie w trzy minuty potem „strzał długi“ ryczy nad naszemi głowami...

Wyśledzono nas... trzeba wyruszyć ze sfery ostrzeliwanej, nim nastąpi „strzał skuteczny.“

— „Naprzód! biegiem! marsz!“

Ludzie skaczą jak spłoszone konie. W samą porę: za nami rozpętał się huragan i dziurawi ziemię.

Idziemy wciąż naprzód, lecz cóż za upał! Dobywam z gardła tylko jakieś chrapliwe dźwięki. Ludzie już nie żartują. Tu i owdzie padają szrapnele. Ach! żeby tak można dotrzeć aż do płotu! Tam jest wsparcie artylerji, możnaby je przepędzić.

Tuż obok mnie potężny wybuch. Padł ciężki granat, ziemia wstrząsnęła się do niesłychanej głębokości. Prąd powietrza porwał mi czapkę i zatrzymał nagle oddech — jakdybym spadał z wysokości w próżnię. Słup dymu i kurzu, czerwony i czarny wzniósł się wysoko jak olbrzymi posąg.

Dalej padają również pociski; zdaje mi się, że jeden z nich eksplodował nad grupą żołnierzy, leżących za kopą snopów. Jak gdyby kto cisnął kamień w kałużę, wytrysnęły w powietrze obrzydliwości. Otaczający mnie ludzie mają twarze trupio blade lub krwią nabrzękłe.

15 godzina. Ciągle w tem samem miejscu. Napróżno oglądam się za siebie, żaden oddział wojska nie wspiera naszego ruchu. Nie mogę przecież rościć pretensji, by moja jedna kompanja przełamała nieprzyjacielską linję.

Naraz nowy grad kul i granaty. Niepodobna wychylić się z naszego ukrycia za snopami.

Czas wydaje mi się nieskończenie długi...

Czy doznawałem strachu w tej chwili? Zdaje mi się, że tak. Odczuwam jeszcze skurcz mych brwi, wysoko podniesionych, słyszę gwałtowne bicie serca. Wielkie krople potu spływają mi z czoła. Równocześnie jednak głos wewnętrzny napomina mnie: „Dalejże! Trzymaj się.“

Moi ludzie doznawali tego, co i ja, ale jak gdyby nigdy nic — nie przestawali strzelać.

Wśród bitwy uczucia szybko się zmieniają. Niebawem nastąpiło jakby pogodzenie się z losem: „Co mi tam! niech się dzieje co chce! może za kilka sekund mnie zabiją. Umrzeć tak czy inaczej, wszystko jedno!“ Słyszę jak jeden żołnierz mówi do drugiego: „Pluję na to! tak czy tak, utłukę ich tyle ile się da.“

Jakże odmalować wszystkie strony duszy człowieka wobec

grozy śmierci, począwszy od przyzywania potęgi Boskiej aż do grubego przekleństwa? Przypominam sobie, że były chwile, że nie myśleliśmy o niczem.

Strach przed śmiercią i pogarda śmierci w tych chwilach zlewają się w jedno uczucie.

Kwadrans po 15-ej. Słyszymy szybki trzask, całe powietrze napełnia się kulami; zdaje się że rój moskitów pędzi nad naszemi głowami; karabiny maszynowe przemówiły! Niema co trzymać się tu dłużej w otwartem polu. Zobaczymy czy po lewej stronie, gdzie widzę drzewa, nie znajdzie się jakiego krytego przejścia. Nakazuję ruch boczny:

— „W lewo! biegiem marsz!"

Kule i granaty w zdwojonej obfitości. Wszystko pędzi tysiąc pięćset metrów w stronę drzew; gdy słyszymy jakby ryk trąby żelaznej, przypadamy do ziemi; nawałnica przechodzi, zrywamy się i nowy skok; powiedziałby kto, że uwiązane na długim sznurku marjonetki podskakują i kładą się za pociągnięciem niewidzialnej ręki. O cudo! Wybuchy następują coraz dalej za nami; oddaliliśmy się conajmniej o 50 metrów od centrum nawałnicy; nieprzyjacielska artylerja za każdym razem popełnia pomyłkę o jakąś tysiączną część kąta i chybia.

W końcu znajdujemy schronienie w parowie. Powoli zchodzą się tu lekko ranni. Znacznie później zupełnie spokojny, z kwiatkiem w zębach, krokiem spacerowym przychodzi jeden z mych sierżantów, który w każdej przeprawie zadziwia nas odwagą: to Marchand — ten sam, co w cztery miesiące później, w Soissons, umierając wołał na swój pluton, który prowadził do ataku: „Ze mną już koniec! Przejdźcie po mnie!"

Z początku nikt nie mówił ani słowa. Każdy musi najprzód pochwycić oddech, ręką przytrzymując serce tłukące w piersi jak młotem, Potem odruch radości; wszyscy się śmieją i krzyczą: „To ci odwilż! Ach! mój stary! uf!."

A potem jeszcze: „A! świnie! zawczasu nas wyśledzili... nie pokażą się: niema strachu! Tchórze!... Umieją tylko zdaleka przysyłać kuferki. Trzeba iść po nich na bagnety!" Formuję sekcje, plutony, zastępuje nieobecnych podoficerów. Wydaję rozkaz:

— „Linje plutonów czwórkami, odstęp dwadzieścia pięć kroków, naprzód! marsz!"

I idziemy znowu przeżyć ponownie taki sam dramat.

Tak minął cały dzień. Kompanje naszego pułku, niby fale uderzające ustawicznie o wybrzeże, podsuwały się pod linje nieprzyjacielskie póty, póki zbyt natężony ogień nie zmuszał ich cofnąć się. Wtedy zwijały się, by w chwilę później znów zerwać się i skok naprzód. Nieprzyjaciel stropiony temi nieprzerwanemi uderzeniami, za każdym razem zmieniał miejsce. Może stawiał sobie pytanie, jak długo jeszcze porać się będzię z tymi zawziętymi ludźmi.

Na nieszczęście nie mogłem w żaden sposób dosięgnąć tej baterji nieprzyjacielskiej, która miała być przedmiotem ataku. Była zbyt dobrze osłaniana przez okopaną piechotę. Ostatecznie nie wiedziałem nigdy dokładnie, gdzie ona się mieściła.

Zdala słyszało się armaty. „To siódmy korpus“ —mówiono— „Idzie naprzód! nie; cofa się! nie, idzie naprzód!“

Około 10-ej wieczór, wciąż w okolicy Marcilly, leżeliśmy na polu owsa przy stogu słomy. Noc była piękna, rozkoszny chłód nas orzeźwiał. O dwa kilometry od nas płonęły domy w Barcy; odblask pożaru grał na twarzach ludzi leżących wkoło mnie...

Drzemiąc myślałem sobie: „Czy zwyciężymy? Czy nas pobito?“ Zwyciężaliśmy!

ROZDZIAŁ VIII.

W POŚCIGU ZA NIEPRZYJACIELEM.

Barcy, 6 września.

Południe. — Straszny huk armat, który przepełniał wszystkie doliny, ucichł nagle. Przeniknęło nas nadzwyczajne uczucie ulgi. Zdawało nam się, że jesteśmy już otrzaskani i zobojętniali; nieprawda! W nerwach naszych drgał nieustanny niepokój, jakgdyby instynkt życia czuwał w nich trwożny i utajony w głębokościach duszy. Ten niewymowny lęk odkrywa nam teraz nagłą radość, która nam rozpiera piersi po ustaniu kanonady. Niebo wydaje się wyżej, powietrze czystsze, słońce jaśniej świeci...

I jeszcze inne dziwne uczucie nas ogarnia. W tych dolinach, w tych stokach, na które naraz zapadła cisza, niema już „nic“... powstała pustka, nieprzyjaciel uciekł! Nie dochodzą do nas żadne wiadomości, nie otrzymujemy żadnego rozkazu; nie potrzeba nam tego, by dowiedzieć się prawdy, instykt myśliwski daje nam znać: zwierzyna pierzchła! Ale gdzie się schowała?

1 g o d z i n a. Nadeszły rozkazy. Pójdziemy na wschód. Ludzie wyłażą ze swoich nor. Zniknęły nagle poważne i skupione wyrazy twarzy. Wszyscy się śmieją, rozpytują. Cała kompanja zbiera się wkoło mnie; żołnierze zagadują poufale:

— „A więc, kapitanie, złapaliśmy ich tym razem? Czy prawda, że zwiali? Czy dziś wieczór pić się będzie „bocki“ w Berlinie?“

I ja odpowiadam żartami. Jak można żołnierzy swoich traktować z góry? Moich zaliczam do najlepszych przyjaciół. To nie przeszkadza mi łajać ich za to, że się guzdrzą.

— „Dalejże, spieszyć się, gaduły! jeśli się spóźnimy, nie starczy dla nas szwabów.“

Zbierają się, w końcu wyruszamy. Przebywamy pola między Marcilly i Barcy, te same, które od pięciu dni stanowiły nasz przedmiot ataku. W duszach powstają tysiące uczuć.

Najprzód pewien rodzaj zdziwienia. Oto doły od granatów, gęste, głębokie; cała ziemia jest niemi pokaleczona i wygląda jak dziobata twarz po czarnej ospie. Wczoraj w tem miejscu był „ogień zaporowy“ nieprzyjacielskiej artylerji ciężkiej; gdybyśmy chcieli przejść tędy, bylibyśmy zmiażdżeni na proch... Z zainteresowaniem oglądamy skutki pocisków na polu buraków: są one powyrywane, opalone, zwapnione... dziś my bezpiecznie kroczymy środkiem tych pól, jutro przyjdą tu chłopi i obsiewać je będą spokojnie. Czy będą wiedzieli, jaką ceną okupiono ten spokój? Tak jest, gdyż w spalonych wioskach już dziś zjawiają się dawni mieszkańcy i zajmują się chowaniem trupów.

Obok jednego okopu leżą ciała trzech pospolitaków z oddziałów saperskich; wszystkie bez głowy.

— „Jeden pocisk wszystkim im urwał głowę na raz“ — mówi mi chłop kopiąc grób.

Zdziwienie nasze jest pomieszane z niepokojem. Czy podobna aby nieprzyjaciel uciekł? Umysł cofa się przed tem przypuszczeniem. To zasadzka... Lada chwila zwali się na nasze głowy burza granatów...

Niebawem dochodzimy na wysokość linji, którą „oni“ zajmowali. Widok wzruszający; oto pozycja jednej z ich baterji. Stos łusek od pocisków rozbity jaszczyk, strzępy ubrania, zdechłe konie, sztywne, z nogami sterczącemi w górę... Zbliżamy się i widzimy trzy trupy rozciągnięte na ziemi. Widzę głowę, z której czaszka zdarta odsłania mózg a ten leje się po ziemi.

Odwracam oczy. Mnóstwo porzuconych karabinów, tornistrów, wozów, narzędzi, sprzętów wypełnia okop po brzegi. Ludzie moi idą milcząc, ale szeroko otwierają oczy. Zdawałoby się, że wszystkie te martwe przedmioty wołają, by na nie patrzeć.

2-ga godzina — Przybywamy do wioski Etrepilly; tutaj piechota szła na bagnety, Niemcy ponieśli duże straty, widać to, ale i nasi także... Ach! jakież wrażenie robią trupy Francuzów! Koło innych, niemieckich, przechodzi się już z pewnem zobojętnieniem; można się z tem oswoić; ale nic nie jest w stanie opancerzyć serca wobec zwłok naszego małego żołnierzyka, rozciągniętego na drodze! To mój brat, czuję to, bo serce ściska się z litości i żalu. Podczas bitwy nie miałem czasu oglądać zabitych, lecz w tym powolnym pochodzie przez wieś, przez jej ulice, zawalone wszelkiego rodzaju rumowiskiem, jakże uniknąć widoku tych żołnierzy zalegających „pole chwały“? Jakiś niebieski notesik wypadł z kieszeni granatowego munduru; podnoszę go i odczytuję nazwisko czysto francuskie: Franciszek Vaivrand... nazwisko z „naszych stron“, stają mi nagle w myśli wrażenia z lat dziecięcych, wioska rodzinna, chłopi burgundzcy.

Nie! nie chcę już myśleć o wszystkich tych trupach porzuconych na naszej drodze! Pocóż przechowywać w pamięci te ohydne twarze, żołte, brudne... te biedne ciała okaleczałe, potłuczone, niby słomą wypchane manekiny w najrozmaitszych posta-

wach, jedne z rękoma szlachetnie na krzyż złożonemi, inne śmieszne, odrażające...

Porzućmy te straszne obrazy. Wolę zatrzymać myśl na wspomnieniu odruchu, który objawił mi nagle duszę mej kompanji, duszę francuską... z trudnością przeprawialiśmy się przez stosy gałęzi ściętych z drzew w które uderzył pocisk, przez gruzy rozwalonych ścian jeszcze dymiących... Nagle nad strumykiem, na dnie którego świeciła porzucona broń, na kopcu nadbrzeżnym, dostrzegliśmy trupa bardziej odrażającego niż inne, wprost ohydnego.

Jeden z żołnierzy, jeszcze nie ochłonąwszy z wojennego rozwścieklenia, zawołał: „Ach! cóż za paskudną mordę ma ta świnia!" Nie zdążyłem jeszcze się odezwać, gdy pięćdziesiąt głosów naraz zabrzmiało szlachetnem oburzeniem: „Uszanuj poległego wroga!" Nie dodałem ani słowa a w kompanji zapanowało głębokie milczenie i trwało tak długo, jak mijaliśmy nieprzyjacielskie trupy. Och! moi dzielni żołnierze, jakże mnie wzruszyliście w owej chwili! Jako prawdziwych Francuzów pouczył ich głęboko zakorzeniony w naturze instynkt, jak się zachować należy i jakiemi słowy odezwać, gdy się dostąpiło zaszczytu przedstawicielstwa tej elity ludzkości, którą historja nazwie: „rycerstwem francuskiem."

3 godzina. — Zatrzymaliśmy się na przełęczy na północ od wioski Tracy. Postój trwa długo; nie wiem czemu. Potem ruszamy dalej.

6 godzina. — W wieczornych oparach snujących się po ziemi kolumny nasze wydłużają się... Drogami i traktami, wzdłuż rzek i lasów ciągną olbrzymie, potężne rzesze. Rysują się czarnemi, wijącemi się taśmami, które zwolna a bez powstrzymania ogarniają całą okolicę. To pochód naszych pułków. Z wysokości mego wierzchowca, gdym wjechał na grzbiet wzgórza, ujrzałem je sięgające wszystkich krańców widnokręgu. Cała armja rzuciła się pędem po śladach uciekającej bestji; już niema jednostek, jest tylko olbrzymia masa wprawiona w ruch, przejęta jedną myślą: wypędzić precz nieprzyjaciela!

Słońce wrześniowe zachodzi nad kałużą krwi; jakież wspaniałe ogniste pręgi rysują się na niebie! Chwilami wydają się one niby potokami krwi żywej tryskającej z otwartych ran. Złote błyski padają na lasy i dymy pożarów, a po dalekiej równinie rozsiane wioski zaznaczają się rudemi plamami ognia. Te czarne i ponure kłęby zakrywające niebo, te świadectwa niemieckiego barbarzyństwa — wydają nam się dziś dowodami bezsilnej złości rozgrymaszonego dzieciaka, które tłucze zabawkę, gdy mu ją chcą odebrać.

Idziemy naprzód, przebywamy pola i okolice, gdzie „oni" tryumfowali. Och! jakże droga i cenna wydaje się nam ta ziemia francuska, odzyskana na nowo! nie mogę się jej napatrzeć. Chciałbym jej dotknąć, mierzyć ją metr za metrem z tem uczu-

ciem, z jakiem skąpiec liczy swe sztuki złota Chciałbym macać pył dróg, pieścić go, kruszyć w rękach.

Przedewszystkiem jednak oddaję się rojeniu, któremu sprzyja pora wieczorna i głębokie, wewnętrzne rozrzewnienie; rozkoszuję się. Ten kraj, który przebywam, to Francja zelżona, zbezczeszczona... Idziemy tędy jak anioły mściciele, narzędzia najwyższej sprawiedliwości. Nasze karabiny, nasze działa są jako kadzielnice, które dymem swym oczyszczają zaduch i balsamują zwłoki poległych bohaterów.

7 godzina. — W Vincy Manoeuvre. Nim Niemcy pierzchli, zajmowali tę wioskę; wyszli stąd niedawniej, jak cztery do pięciu godzin temu. Kościół pełen rannych. Niemal wszystkie domy spalone, nie wyłączając tego, na którym czytam napis wielkiemi czarnemi literami: skład sikawek ogniowych.

Ulica zawalona jest mnóstwem przedmiotów, które przetrząsają moi żołnierze wybierając, co komu potrzeba. Niektórzy biorą sobie niemieckie tornistry z dobrej skóry koziej, bo stracili swoje; inni zabierają bagnety z piłami; łuski szrapneli chowają na pamiątkę.

Przez otwarte okna domów, które uniknęły pożogi, widzę stosy mebli, bielizny, pościeli, wszystko poprzewracane, splądrowane przez łupieżców niemieckich. W jednym z pokoi, zapchanym masą walających się sprzętów, rozróżniam na kominku nietknięte fotografje rodzinne... Patrząc na te szczątki rodzinnego ogniska, wyobrażam sobie brutalną uciechę świętokradzców i złość wzbiera w sercu.

8 godzina... Rosoy-en-Multien. Otrzymałem rozkaz: „Nieprzyjaciel uciekł daleko; nie dopędzimy go tego wieczoru, pułk zakwateruje się w Etarigny... proszę przygotować kwatery!“

Kłusem przebywam okolicę; noc już zapadła, zatrzymuję się często, by odczytać mapę przy świetle zapałki... W końcu dopadam domów.

Ale jakiż to osobliwy styl ma ta dzwonnica! W tej budowli nie odróżniam żadnych klasycznych kształtów... osobliwe kąty, gzemsy niedorzecznie sterczące... dziury przekształcające ścianę w istną koronkę... w zmroku nocy wygląda to nad wyraz osobliwie... Zbliżam się i zaczynam rozumieć: wieś była bombardowana, kościół się zawalił, a wieża cudownym sposobem utrzymała się.

Szukam miejsca, gdzie pułk mógłby się schronić.; wszystkie domy spalone, zburzone i puste;... w ulicach nie widać żywej duszy. Połamane meble tamują mi przejście, co krok potykam się o niewidzialne przedmioty, koń mój prycha, węsząc padłych towarzyszy, nie chce iść naprzód: w pewnej chwili dostrzegam w mroku błyszczącą parę oczu; zbliżam się: to kot siedząc spokojnie na maszynie do szycia, liże się i kończy swą tualetę. Jakiś starzec, jedyny mieszkaniec, który pozostał, mówi obłąka-

nym głosem: „zatruli studnie", i zapewnia mnie, że pod zwaliskami kościoła pozostali ranni Niemcy.

Uprzedzają mnie, że na drodze znajdują się nie wystrzelone pociski, kto je potrąci, może spowodować wybuch i wylecieć w powietrze.

Umieszczam mą kompanję w obszernej zagrodzie w południowej stronie wioski; tu jedynie budynki pozostały nietknięte— jednakże na środku podwórka zdechły koń zatruwa powietrze...

10-a godzina. — Etarigny. — Pod wpływem podniecenia zapominam o zmęczeniu. Czuję, że przeżywam teraz chwile, z których każda więcej znaczy w życiu człowieka niż tysiące godzin szarej powszedniej egzystencji. „Idziemy naprzód — nieprzyjaciel ucieka."

Powtarzam sobie niezmordowanie te dwa zdania i to mnie tak podnieca, że wtedy, gdy żołnierze moi posnęli zanurzeni w słomie, ja idę błądzić po wsi, tonącej w mrokach nocy. Chciałbym spotkać mego przyjaciela Jerzego Gruppe. Wiem, że jest tutaj. Jakże miło byłoby dziś wieczorem pofilozofować razem z tym marzycielem, który zna i umie na pamięć wszystkie poematy, jakie ludzkość wyśpiewała! Jakże jednak odszukać się w tym chaosie? Dumam siedząc na krawędzi jakiejś rozwalonej ściany wprost kościoła; nie przeszkadza mi zapach spalenizny i trupów; wschodzi księżyc pogodny, biały jak kwiat pnącego powoju na ruinach, a jego kojące blade światło oblewa krajobraz.

Wszyscy śpią, jest głęboka cisza. Już dziś przypomina to głuche milczenie, które panuje w zaginionych miastach. Cóżbym dał, by móc wyrazić podniosłą poezję tej godziny! Jakiegoż jednak natchnienia i talentu potrzeba, by przelać w rymy to rozpętanie duchowych sił, jakiego się doznaje w podobnej chwili!.

Poprzestaję tedy na wysnuciu z niej nauki czyniącej sercu zadość!. Tak! tędy przeszła rozpacz, ale wyżej niż te zwaliska murów, dalej niż doleci płacz kobiet i jęki rannych — unosi się duch rasy najszlachetniejszej ze wszystkich. Czemże jest jednodniowy ból znikomej istoty ludzkiej? Odwróćmy wzrok od niego, a patrzmy na to, co ma pozostać nieśmiertelnem: Ojczyzna!

Ta wieża kościelna, która przed godziną wydała mi się żałośliwie zachwianą, obecnie dumnie wznosi się na tle ciemnego nieba... Staje się ona dla mnie godłem dobrowolnej ofiary. Szlachetna ruino, pozostaniesz pamiątkowym zabytkiem naszych tytanicznych walk... Przez wieki wzywałaś wiernych na korne modlitwy... dźwięk twych dzwonów będzie stokroć wymowniejszym po otrzymaniu tych głębokich ran, które nosisz. Myśliciele i poeci dumać będą w cieniu twoim, chłopi szukać tu będą duchowego pokarmu... Im wszystkim chciałbym pozostawić jakąś cząstkę bratniej mej duszy. Jakże słodko byłoby mi, gdyby kiedyś, w przyszłości, u stóp tej dzwonnicy przechodzień dosłyszał odległe echo tego uniesienia, które mi nieustannie ciśnie na usta wyrazy: „Nieprzyjaciel pobity... idziemy naprzód".

ROZDZIAŁ IX.

WYRZUTY SUMIENIA NA POLU BITWY.

Plessis les Bois 5 września.

Po małej panice, która poprzedziła nasze walki w d. 5 września, jeden z mych kolegów — nazwijmy go kapitanem Pawłem — przebył prawdziwy paroksyzm skruchy. Może znacie to dziwne cierpienie moralne, jakie dotyka przeczulone dusze, gdy prześladuje je wyrzut sumienia za grzech popełniony — zwykle fikcyjny.

Kompanja Pawła uciekała tak jak i inne, i — tak samo jak inne — w godzinę później na nowo sformowała się w polu, w miejscu zabezpieczonem od pocisków. W tej chwili w umyśle kapitana stanęło zagadnienie: jak połączyć się z pułkiem? Dopiero co biegnąc, widział inne kompanje uciekające przez pola. Gdzia one się sformowały?

Słychać było armaty od wschodniej strony ku Monthyon.

— „Idźmy w kierunku armat," rzekł kapitan.

I skierował swoją kompanję do parowu. Nagle z za kępy drzew wystąpił jakiś pułkownik artylerji.

— „Co pan robisz tutaj, kapitanie?" Zapytał.

— „Szukam swego pułku."

— „Nie masz pan specjalnej misji?"

— „Nie, pułkowniku."

— „A więc ja pana rekwiruję, obyś słaniał artylerję dywyzji."

Najpospolitsze wydarzenie w czasie bitwy. Dla Pawła było ono bardzo pożądane.

„Osłona artylerji," to znaczy, że trzeba się trzymać w pobliżu armat, by ich bronić przed atakiem nieprzyjacielskiej kawalerji lub piechoty, zająć pozycję o trzysta lub czterysta metrów na skrzydłach baterji, że zaś artylerja w zasadzie znajduje się o dwa lub trzy kilometry od piechoty nieprzyjacielskiej, wystarczy stać nieruchomo i przyglądać się dla rozrywki wspaniałej robocie artylerzystów.

A to jest naprawdę niezrównane widowisko! Warto patrzeć, jak zawzięcie baterje przeciwnych stron usiłują się zniszczyć wzajemnie. Osłona umieszczona wprawdzie trochę na uboczu od terenu walki również otrzymuje razy, lecz tylko przez pomyłkę; osobiście nie stanowi celu. Zapewne! czasem trafić się może, że w całości pada ofiarą osłona baterji, lecz to rzadki wypadek.

— „Dobrze się zdarza" mruknął sam do siebie mój przyjaciel, „ludzie moi są właśnie bardzo pomęczeni i ja również. Zaoszczędzimy sobie nóg." Miał ochotę zacierać ręce z zadowolenia.

Rozmieścił swój oddział po obu stronach baterji. Grupa artylerji była w pogotowiu, to jest milczała, czekając na sposobną chwilę do działania.

Minęło kilka godzin. Ludzie z kompanji leżeli na polu buraków. Zdala słychać było działa... Czy znacie to uczucie? Jest ono niezmiernie przykre dla ludzi nerwowych. Nie daje o niem pojęcia żaden huk, żadne trzeszczenie ani grzmot, dający się słyszeć w przyrodzie. To wrażenie, które w każdym budzi specjalne wstrząśnienie; co do mnie, to huk armat przypomina mi jeden straszny moment z mego dzieciństwa: dzień w którym widziałem jedną znajomą dziewczynkę zmiażdżoną pod kołami pociągu. Grzmot lokomotywy dudniącej po szynach i rozszarpane ciało, utworzyły w mej pamięci nierozłączną całość obrazu. Tę wizję zmiażdżonego mięsa ludzkiego wzbudził przed oczyma mej duszy huk armat, gdy go słyszałem po raz pierwszy.

W tym momencie przyjaciel mój popadł w dziwny stan duchowy. Myślał: „ależ tam, na linji ognia jest nasz pułk, ta kanonada tłucze moich towarzyszy, kule ich sieką — a mnie tam nie ma..."

A jednak nie miał sobie nic do wyrzucenia. Niewątpliwie w kompanji jego zapanował popłoch, oderwała się od pułku, czyż jednak nie uczynił wszystkiego co mógł, by do niego trafić z powrotem? Wezwany przez artylerzystów, cóż mógł poradzić? Regulamin wypowiada się wyraźnie: „w tym wypadku każdy oddział piechoty musi się poddać nakazowi okoliczności."

Głos sumienia przecież wciąż głucho się odzywał: „zastanów się, czy przed chwilą nie doznałeś pewnego rodzaju uciechy na myśl, że przez cały dzień będziesz poniekąd wypoczywał? Czy to było uczucie godne żołnierza?"

Ten wewnętrzy djalog tak go drażnił, że poszedł na poufałą pogawędkę z żołnierzami.

—„Co będziemy robić dzisiaj, kapitanie," zapytał jeden z nich.

—„Będziemy osłoną artylerji, mamy się trzymać wciąż tych baterji".

—„Tak? A mnie się zdawało, że na nas teraz kolej stanąć w pierwszej linji."

—„Cóż robić?" Odparł rumieniąc się kapitan, „otrzymaliśmy rozkaz, trzeba go spełnić."

Później, gdy oczekiwanie trwało długo, słyszał, jak jeden z jego gorszych szeregowców wołał:

—„Mnie to się podoba być osłoną artylerji," i przeciągał się leniwie, okazując niską uciechę samoluba, któremu miło jest zażywać bezpieczeństwa, gdy inni się narażają.

Kapitana ugodziło to w samo serce: czyżby i jego podejrzewano o takie same uczucia?

Jeden z żołnierzy zaprotestował przeciw słowom kolegi.

— „Co do mnie, to nie lubię wylegiwać się brzuchem do góry, gdy inni pracują."

Przechodziły oddziały wojska. To były posiłki, które czwórkami w linji plutonowej szły w kierunku strzałów; żołnierze wybladli, zdawali się jak zahypnotyzowani tą straszną niewiadomą,

ku której marsz ich prowadził. Wśród tego rzucali krótkie i zdziwione spojrzenia na oddział stojący bezczynnie w pobliżu artylerzystów.

— „A to co? Co tutaj robicie?“ Zapytał mego przyjaciela jeden z oficerów.

— „Osłona artylerji.“

— „Ach! dobrze wam.“

Czy mu się zdawało? czy w tych słowach banalnych drżała istotnie nuta ironji?

To też, gdy nieustannie jeden za drugim szły oddziały, uprzedzając pytania kolegów mówił z góry:

— „Jestem osłoną artylerji, zarekwirowano nas przemocą — przez cały dzień ruszyć się nie mogę — to mi obrzydło.“

Równocześnie jednak sam sobie zarzucał obłudę.

Czyliż naprawdę nie doznał pewnego odruchu zadowolenia, gdy otrzymał rozkaz?

Ogarniało go stopniowo coraz większe rozdrażnienie... Czyżby istotnie miały tkwić w głębi jego duszy instynkty tchórzowskie?

Otrząsał się. „Cóż znowu! cóż znowu! Jestem głupi, że sobie głowę nabiłem byle czem. Prawda, że nie odznaczam się odwagą pierwszorzędną, ależ nieraz już wykazałem, że nie gorzej od innych trzymam się w ogniu, przywidziało mi się, że w słowach kolegów słyszę drwiący akcent.“

Żadne rozumowanie nie zdołało jednak wyrwać mu z duszy niepokoju, jakgdyby poczucia własnej winy... A głos oskarżenia przemawiał nieustannie: „w tej samej chwili, porucznik X. może już ranny, kapitan z którym dziś jadłeś śniadanie, zginął... iluż z tych żołnierzy, noszących na czapkach ten sam numer co ja, kona na polu!?“

To trwało bez końca; artylerzyści byli ciągle w pogotowiu, w tem wgłębieniu terenu, które znajduje się na zachód od Plessis — les —Bois.

W danym momencie wszczął się ruch; konie, jaszcze, zaprzęgi wynurzyły się z ukrycia. Otrzymano rozkaz.

— „Mamy się przenieść o trzy kilometry naprzód, na wschód; wy będziecie nadal naszem wsparciem! Ach! może nareszcie będzie można uczestniczyć w niebezpieczeństwie!“

Istotnie nowe stanowisko było pozycją ogniową. Działa pluły wściekle;.. zdala, na grzbiecie, na prawo od Monthyon widać było dym eksplodujących pocisków.

„Byle tylko strzelali celnie!“ wzdychał mój przyjaciel, i przez pewien czas pochłaniało go całkowicie gorące pragnienie, by artylerja dobrze się spisywała. Czyż jej robota nie była poniekąd i jego wspólną?

Teraz kompanja była rozwinięta za murem o 400 metrów na skrzydłach baterji. Linja ognia znajdowała się tylko o dwa kilometry przed nimi. Kapitan z niepokojem śledził przebieg strzelaniny...

Posuwamy się... nieprzyjaciel się cofa... nie, to my się cofamy... ach! żeby ich tak można przepędzić!

Nagle jakiś zdyszany porucznik zjawia się, oblany potem, czerwony, wzburzony; należał do pułku sąsiedniej brygady, a dostrzegłszy numer na kołnierzach żołnierzy, woła:

„Ach! to wy, pułk... X, spieszcie się! jesteśmy zgnieceni... Już cztery godziny trzymamy się przeciw przeważającym siłom; jeżeli nam nie pomogą — nie podołamy... Pułkownik posłał mnie po posiłki za wszelką cenę."

—"Doskonale! pędzę," odparł mój przyjaciel, i wysłał do komendanta artylerji, papier: „Pułk... w sytuacji krytycznej domaga się natychmiast posiłków; proszę mnie uwolnić, bym mógł iść na odsiecz."

Odpowiedź przyszła natychmiast:

— „Jesteś pan zarekwirowany dla wsparcia artylerji; podtrzymuję moje postanowienie i rozkazuję panu pozostać. Podpisano: Komendant X."

Ten kategoryczny nakaz powinien był uspokoić mego przyjaciela, a jednak rozpętał on nowy atak skrupułów. Teraz żołnierze już nie spali, usłyszeli prośbę porucznika i zerwali się na nogi drżąc ze wzruszenia.

— „Pomaszerujemy" — mówili.

Strzelanina rozlegała się coraz bliżej... nieustannie rozdzierała powietrze... wstrząsała serca, podniecała wyobraźnię.

W duszach wezbrała tajemnicza potęga, tworząc nagle gwałtowny pęd do narażena się. Dla bezczynnych nieznośną stawała się myśl: „bracia się biją! idźmy na strzały!" Ach! kto tego uczucia nie zaznał, nie wie czem jest solidarność ludzka; silniejsza niż pociąg do łączenia się w pracy, w zabawie, w biesiadzie, jest na polu bitwy gwałtowna, nieprzeparta dążność do stawania razem z drugimi w boju! Psycholog objaśni zapewne, że instynkt ten zrodził się w warunkach pierwotnego życia. Niegdyś, gdy walczyły hordy, z nich najlepiej zorganizowane, najsilniej zjednoczone, odnosiły tryumf nad rozproszonemi jednostkami, nie obdarzonemi instynktem skupiania się do walki; to też te ostatnie ginęły tępione brutalnie, a przetrwały tylko osobniki zdolne odczuwać w obliczu nieprzyjaciela swą jedność zbiorową. My jesteśmy ich potomkami... Tak możnaby uzasadnić rozumowo niepokój, który nam rozsadza serca, gdy towarzysze broni walczą bez nas... Któż wie jednak? może po za tem wszystkiem jeszcze i coś innego tkwi w tem zjawisku... a przychodzą mi na myśl mistyczne zdania Józefa de Maistre o wojnie...

Poprzedni niepokój przybrał naraz w duszy mego przyjaciela niesłychane natężenie; i ludzie i rzeczy zaczęły mówić do niego słowami oskarżenia; zdawało mu się, że na twarzach żołnierzy czyta oburzenie przeciw dowódcy, który ich skazuje na bezczynność. Oto ciągną ranni z linji ognia, krokiem osłabłym, o żółtych i bladych twarzach, żądają sanitarjuszy i wśród tego ze

zdziwieniem patrzą na tę kompanję nieruchomą; ich proste, nieme spojrzenie przygnębia i zawstydza więcej, niż grad wyrzutów.

Nawet przyroda mówi i winowajca widzi wezwanie do skruchy w każdym martwym przedmiocie... Jakiż tragiczny jest ten krajobraz! Tam przed nami stogi zboża, za któremi kryją się ranni... obszary pól, sieczonych pociskami; widać na nich dziury, niby chwalebne rany ziemi francuskiej; zdala płoną wioski... a złowieszczy trzask strzałów zdaje się niekiedy jakgdyby trzeszczenie walącego się gmachu, który przygniata ciężbę zgromadzoną. Cała natura cierpi... tylko jedna kompanja zażywa spokoju, ta mianowicie, która stanowi osłonę artylerji... Ta myśl świdruje mózg jak uporczywa zmora. Serce kapitana zalewa gorzka zgryzota.

Ach! nie zarzucajcie mu przesady i egzaltacji; wiecie dobrze, jakie sofizmaty rodzą się zawsze w umyśle wkoło takiej myśli prześladowczej. I tak przyjaciel mój rozumuje: „Powinienem był uprzedzić pułkownika artylerji, że na mój pułk przyszła kolej zająć pierwszą linję ognia; może byłaby się udała zamiana z jakąś inną posiłkową kompanją... moja wina; gdy przyjaciele opowiadać mi będą przejścia dnia dzisiejszego, cóż ja im opowiem? Już widzę ich szydercze spojrzenia!“ Wyobraźmy sobie, że taki monolog ciągnie się całemi godzinami w atmosferze duszącej wściekłą żądzą zabijania, a pojmiemy, czemu w końcu kapitan woła:

— „Ach! żebyż tak przynajmiej granaty walić zaczęły!“

A granaty nie padały; trzy baterje zręcznie zamaskowane, nie zostały wyśledzone przez nieprzyjaciela.

Przyszła noc. Komendant artylerji powiedział:

„Zostaniemy na pozycji; będziecie nas pilnować jeszcze do jutra rana, a wtedy myślę, że dostanę inną osłonę i was zwolnię,“

Ach! jakże gorące było to nocne czuwanie; nikt nie zmrużył oka.

Piechurzy przywykli wykonywać nogami swą wojenną robotę, uważali, że nic nie robili, gdyż nie ruszali się z miejsca, nie zdawali wcale sobie sprawy ze spełnionych przez siebie usług... byli poniekąd zawstydzeni, jakgdyby wyzyskali jakiś niesprawiedliwy przywilej. Chcąc zyskać przebaczenie, pilnowali dział z bezprzykładną gorliwością. Artylerzyści spali. Piechota byłaby może i rada, gdyby nieprzyjaciel przypuścił atak nocny.

Ale godziny mknęły spokojnie, a o świcie w dali znowu wszczęła się bitwa.

Nie zjawił się żaden oddział dla osłony artylerji, więc komendant oświadczył: „Zostaniecie.“

— „Dobrze, zostanę,“ odpowiedział mój przyjaciel wściekłym głosem.

W godzinę później nastąpiła zmiana pozycji; artylerja nieprzyjacielska wyśledziła stanowisko naszych baterji, miejscami teren był zasypywany pociskami. Gdy kompanja za swoją baterją

ciągnęła przez pola, unikając miejsc zagrożonych, ujrzano naraz, że wierzchowiec mego przyjaciela zerwał się galopem, pędząc tam, gdzie padały najgęstsze pociski. Była chwila strasznego niepokoju... widocznie koń poniósł i w szale gnał ze swym jeźdźcem prosto na śmieć... Granaty ryczały ponuro. Kolumny czarnego dymu wzbijały się z ziemi, a koń i jeździec znikali niekiedy całkowicie za temi czarnemi słupami i lada moment oczekiwano, że ta szalona jazda zakończy się wyleceniem w powietrze. Szczęściem w pewnym momencie koń obłąkany wyrwał się ze strefy ostrzeliwanej. Kapitan był nietknięty. Wracając do kompanji powiedział tylko te osobliwe słowa:

„Och, to mi dobrze zrobiło!"

Żołnierze nie zrozumieli go, a jeden z nich mruknął półgłosem do sąsiada:

„Widać, że wzruszenie pomieszało mu zmysły."

ROZDZIAŁ X.

ŚMIERĆ MEGO PORUCZNIKA.

Godzina zmierzchu. Kilka chwil temu wybuchy pocisków pokrywały niebo tylu czarnemi i małemi plamami, że wyglądały one jak brudne krosty na gładkim błękicie. Ogień ustał. Rzucam spojrzenie przez okop. Atmosfera oczyściła się i z uczuciem ogromnej ulgi myśl wzbija się i unosi ponad okolicą, na którą zapada tajemniczy mrok nocy.

Staje mi naraz przed oczyma duszy ta inna dziedzina tajemnic, w którą pogrążyli się zmarli, a w orszaku obrazów sennych przesuwają się postacie przyjaciół, którzy padli pod kulami.

Zwłaszcza narzuca się mej pamięci wspomnienie kolegi X. Mniejsza o chaos wizji, które imię jego budzi w mej świadomości. Ten bezład ponury jest logiką życia; uszanujmy go.

* * *

Zgiełk mobilizacji... mrowie ludzi, mundurów... wszystko w ruchu; trąby grzmią... słychać śpiewy... z magazynu pełnego mundurów żołnierskich unosi się woń naftaliny... Pędząc przez ulicę, spostrzegam porucznika o szpakowatych włosach, krępej postawie, małych oczkach czarnych, głęboko osadzonych w bladej twarzy, przywodzącej na myśl kraj febry.

— „To porucznik X" — mówią mi — w pułku nikt go nieznał... Oficer rezerwy, zamieszkały w koloniach, znalazł się w Paryżu w chwili mobilizacji; na własną prośbę przydzielono go do najbliższego pułku. Widząc lichy krój jego kurtki, zgadniesz zaraz, jak mu było pilno stanąć do służby.

Potem przypadkiem znalazł się w kompanji, nad którą miałem komendę. Było to w czasie, gdy pod Voeuvre, dywizja okrążała Metz, jak kot czyhający na czerwoną rybkę, którą widzi w szklanym basenie. Nie biliśmy się, lecz co pewien czas marszem przysuwaliśmy bliżej miasta, wyciągaliśmy pazur w stronę ofiary, ale straszna barjera fortów stała na przeszkodzie i znów chowaliśmy łapę.

„Cierpliwości" — myśleliśmy, kiedyś będziemy ich mieli. X nie podzielał naszego spokoju; pilno mu było bić się, oburzał się, groził: „Jeśli w ciągu tygodnia nie będzie ataku, pójdę sam!"

Nie był to człowiek bohaterskiego gestu i nadętych słów; nigdy z ust jego nie słyszałem wyrazów „Cywilizacja—Francja—Ojczyzna—Wolność", a jednak codzień do jakiegoś oddalonego przyjaciela wysyłał telegram, w którym donosił: „Czekam pierwszej okazji, by ruszyć na zaszczytny posterunek", a przyjaciel odpowiadał: „Brawo! Wal, jak należy". Przypadkiem wpadły nam w ręce te telegramy: żartowaliśmy z nich. Ile razy szedł na awangardę, mówiliśmy do niego: „A no, tym razem jest zaszczytny posterunek". Zamiast odpowiadać, uśmiechał się.

Nie wiadomo czemu, czuliśmy, że nie lękał się śmierci. Pewnego dnia rzekłem mu: „Wiecie, X, uprzedziłem pułkownika, że gdyby kiedykolwiek potrzebował oficera dla misji, którą trzeba gardłem przypłacić, nadajesz się doskonale".

— „Czyż tak? Ach! dziękuję, dziękuję serdecznie."

I uścisnął mi rękę z takim zapałem, jak gdybym mu oddał najcenniejszą usługę.

— „Cóż za typ!"—mówił porucznik G.—„Cóż za morowy typ!"

Jeden z nas, który wszędzie upatrywał coś tajemniczego, rzekł pewnego razu:

— „X jest dziwny, on szuka śmierci; w tem jest jakaś zagadka."

— „Tak! tak!" przywtórzył inny; „czy wiecie, że X jest kilku miljonowym bogaczem? Gdzieś tam w Azji posiada kopalnie, a mimo takiej fortuny ma wstręt do życia. To niezwykłe zjawisko."

Istotnie; nikt z nas zapewne śmierci się nie lękał, niemniej jednak, jakże rozkoszowaliśmy się ocalonem życiem, ile razy cichły armaty!

Może rzeczywiście w jego życiu kryła się jakaś zagadka.

Na kwaterze X szukał zawsze dla siebie domu, w którym byłoby dużo dzieci i całemi godzinami umiał się bawić z malcami chłopów lotaryńskich, prowadził ich na spacery, zapełniał im kieszenie drobną monetą.

— „Jakim doskonałym ojcem rodziny musisz pan być — poruczniku" — rzekłem do niego. Zmarszczył czoło i odparł z widocznym wysiłkiem:

— „Jestem sam na świecie; niemam rodziny."

Widocznie stanowiło to piekący ból jego życia, gdyż ile razy mówiono o dzieciach, słuchał z najżywszem zainteresowaniem. Pewnego wieczora chłopi, uciekający w szalonym popłochu ze wsi łupionej przez nieprzyjaciela, opowiadali, że Bawarzy zamordowali okrutnie dziecko kobiety, która nie chciała im dać pić. X zawrzał oburzeniem.

— „To najstraszniejsza zbrodnia zadawać dziecku cierpienia."

Kiedyś wieczorem przy stole wygłaszaliśmy różne aforyzmy o kobietach — i na wojnie trafiają się bądź co bądź, momenty wypoczynku.

— „Co do mnie" — odezwał się X — „uważam je za istoty o dziecięcych mózgach; często zadają cierpienia nieumyślnie. To też należy im wybaczać nawet, gdy się z tego umiera."

A miał w tej chwili dziwny uśmiech na twarzy...

Minęło kilka dni... zmieniłem kompanję.

Później nastąpiły tragiczne dni pierwszej bitwy, gdy przez trzy dni i trzy noce każdy bił się przy świadomości zredukowanej jak u robotnika w fabryce, gdy funkcjonuje jako drobniutka cząstka olbrzymiej, niezrozumiałej a skomplikowanej maszyny. Linja ognia falowała; posuwano się lub cofano stosownie do ruchu tej fali; odczuwaliśmy tedy, że obok nas pracowali inni, ale nie interesowaliśmy się nimi. Jedynie tylko horyzont naszego pola miał dla nas wagę. Pod koniec trzeciego dnia, po przesileniu, spotkałem sierżanta z mej dawnej kompanji:

— "Cóż tam?" — zapytałem zaniepokojony — „czy 18-ta bardzo ucierpiała?"

— „Pięćdziesięciu ludzi ubyło z szeregów. Kapitan ranny, dostał dwie kule w nogi. Porucznik G. raniony odłamkiem granatu."

— „A porucznik X?"

— „Zabity."

Wedle jego opowiadania, oto jak przedstawił mi się i wyrył w umyśle, obraz tej prostej śmierci:

Było to w pierwszych chwilach walki, kompanja posuwała się skokami po polu kwitnącej lucerny; ludzie rozsypani biegli nie myśląc o niczem, bo jak myśleć wśród kul i pocisków.

Oficerowie biegli na czele wołając: „Naprzód"; żołnierze powtarzali: „Naprzód", niektórzy ryczeli: „Zabiję ich! bijmy ich!" i pienili się ze złości.

Nagle zatrzymują się wszyscy i padają na ziemię; kule przelatują o 30 centymetrów nad ziemią tak gęsto, że sieką lucernę jak kosą, zasypując jej źdźbłami ciała, powiedziałby kto, że jakaś niewidzialna ręka rzuca zawczasu kwiaty na mogiłę, w której legną trupy.

Żołnierze strzelali, nie podnosząc głów, wprost przed siebie na linję krzewów, za którą ruszali się ludzie... Podniósł się krzyk: „Wstrzymać ogień... strzelamy do Francuzów..." Zapanowała trwoga, palce zawahały się na cynglach, ludzie wyciągali szyje, by widzieć coś przez lucernę, ale zdawało się, że o 10 cen-

tymetrów nad głowami horyzontalnie przesuwa się ostrze gilotyny szybkim i nieprzerwanym ruchem, to też natychmiast kurczyły się karki, a głowy przyciskały się do ziemi.

— „Zaprzestać ognia!“ — krzyknął głos porucznika X i dodał: — „Zobaczę zbliska, co się tam dzieje“. Powstał spokojnie, zrobił kilka kroków i padł; widziano, jak się przewracał wtył, kolana ugięły się pod nim, rękami trzepał w powietrzu.

Potem przekonano się, że miał w ciele jedenaście kul. I to wszystko. Trwało to ogółem pięć minut.

Nazajutrz wieczorem po równie ciężkim dniu, gdy odpoczywaliśmy w ubogiem chłopskiem domostwie, major powiedział do mnie.

— Oddano mi pugilares porucznika X..., jeśli pan zechcesz, zrobimy jego inwentarz.

Na kawałku papieru odczytaliśmy te słowa: „Usilnie proszę tego, kto znajdzie mego trupa, by wysłał dwa telegramy: Do pana X: „Moja piękna zemsta; umieram na zaszczytnym posterunku“. Do Piotra i Jakóba: „Ojciec posyła wam swój ostatni uścisk“.

Marna izba wieśniacza naraz napełniła się tchnieniem rozdzierającego dramatu. W cieniu błyszczały meble, a świeca rzucała migotliwe światło na nasze twarze pochylone nad papierami... Zapanowało milczenie ogarnęło nas owe odwiecznie powtarzające się zdumienie żywych wobec śmierci, a wyobraźnie podniecone pracowały...

Major rzekł wkońcu:

— Czyż to nie jest osobliwy typ bohaterstwa, gdy człowiek zdecydowany rozstać się z życiem czeka lata całe, by skorzystać z nastręczającej się sposobności i umrzeć śmiercią piękną?

ROZDZIAŁ XI.

DUMANIA W AMBULANSIE... NAD PSALMAMI DAWIDA.

Pannom Cauton Bacara, Joannie i Genowefie de Maistre, pielęgniarkom w ambulansie Vaux-buin, pod Soissons.

Oglądam się w koło siebie, jak człowiek, który po upadku zwolna odzyskuje zmysły na szpitalnem łóżku. Ledwie sobie przypominam, czemu znalazłem się w tym ambulansie... Ach! tak... wiem już... zmęczenie potęgujące się z tygodnia na tydzień w końcu niby ołowianą osłonę zwaliło mi na ramiona... Przedwczoraj rano, w wielkiej izbie jakiegoś folwarku po bezsennej nocy dzienne światło wydało mi się żółte i dziwnie ponure... w powietrzu coś tętniło... bolała mnie noga... podniosłem się... straciłem przytomność i zemdlałem... później było mi wszystko

jedno. Żaląc się jak małe dziecko opowiadałem lekarzowi, jaki mnie lęk dławi, jak żelazna obręcz ściska mi głowę, jak szalony zamęt panuje w mych myślach. W kącie jakaś stara kobiecina lamentowała nad okropnościami wojny. Chwilami próbowałem się opanować myśląc, że oficer nie ma prawa być chorym, ale nadaremnie.

Następnie ordynans mój pomieścił mnie na koniu, jak pakunek i z ciałem obwisłem, z chwiejącą się głową dałem się wlec.

Oto jak się dostałem tutaj... Przypominam sobie, że zbliżając się tutaj widziałem rodzaj zamku; zaprowadzono mnie na pierwsze piętro; w pokoju leżał materac obok innych... położył łem się na nim, nie rozbierając się i potem leżałem bez ruchu długie godziny, niby zwinięty w kłąb chory pies.

Miałem dziwną gorączkę; przywodziła mi ona na myśl fantastycznym korowodem wszystkie sceny, które przeżyłem w czasie wojny... Pękały pociski... świstały kule, maszerowaliśmy, pędziliśmy na przełaj przez pola, czasem okopywano się... Byli ranni, byli zabici, ludzie padali ze zmęczenia.

Jednakże powoli w tym zamęcie zaczął się formować jakiś ład; świat rzeczywisty zaczął się narzucać mej uwadze. Pierwsze rozbudzenie mej świadomości skojarzyło się z widokiem pielęgniarek... Kobiety w bieli... Jak słodko! niby świetlana wizja, chłodząca moje rozpalone czoło... Ten tylko mnie zrozumie, kto spędził długie dnie w błocie, w bezustannym huku, wśród wybuchów pocisków, i przekleństw ludzi zdziczałych.

Teraz oglądam się w około. Znajduję się w sypialni zamkowej zastawionej eleganckiemi meblami; na ścianach wiszą portrety rodzinne; na półce u głowy mego łóżka leżą książki. Jest nas tu w pokoju czterech, cichych i milczących.

Przez ściany słyszę jęki. Leży tam — jak mówiono — porucznik kawalerji; ranny przed kilku dniami, podobno jest z nim źle.

Z daleka dochodzi grzmot dział, niby szczekanie złe i zawzięte. Mijają godziny... Wzrok mój błądzi po ozdobnych cackach, po koronkowych firankach, starożytnych meblach.

Naraz w tym pokoju, gdzie wszystko przywodzi na myśl słodycz życia, ogładę, cywilizację, spostrzegam, jak dalece moja dzisiejsza dusza różni się od dawniejszej; można to określić tylko jednem wyrażeniem: mam duszę zdziczałą. Od wielu tygodni już wojna wprowadziła mnie w warunki życia pierwotnego: sypiam w polu, jadam palcami, krzyczę, klnę, myślę o zabijaniu ludzi... Nieznacznie zatraciłem poczucie delikatności i nagle odkrywam w sobie dziwne brutalne instynkty. Rozumiem teraz ten kłótliwy humor, ten gwałtowny zapalczywy charakter zwykle przypisywany starym wojakom.

Gdyby się śmiano przy mnie, gniewałbym się. W duszy mej jest jakaś stłumiona złość, która nie wybucha lecz nurtuje i trawi.

Wybieram książkę z półki. Powieść jednego z mych ulubionych autorów. Czytam — zdumienie mnie ogarnia! Między moją myślą a myślą autora jest przepaść... Zwykle jednak wzruszał mnie jego styl; dziś zdania te nie mogą na mnie zrobić najmniejszego wrażenia... W krótce napełnia mnie niesmak: mowa tu o jakiejś historji miłosnej. Jakże można poświęcać aż trzysta kart dla odmalowania miłosnych zawodów kobiety!

Cóż za bezczelność w tych literackich sztuczkach, które usiłują mnie rozrzewniać zmartwieniami jednego stworzenia! W tejże godzinie miljony ludzkich istot cierpią katusze niewypowiedziane. Czemże są wobec tego ogromu krwawych męczarni małostkowe żale zranionego serca kobiety! Godne opisy są tylko boleści i uniesienia tłumu, rzucającego się w wir bitew. Z pogardą odrzucam książkę. Cóż to za literatura!

Pisano przed 1914-ym rokiem!

Do pokoju wchodzi sanitarjuszka. Widziałem ją nieraz, jak szukała rannych pod gradem pocisków. Cała dywizja ją zna i podziwia. I tu czujemy, że ona jest duszą ambulansu. Jakąż gorącą pieczołowitością otacza ona „swoich" rannych! W jej poświęceniu jest coś dziwnie nerwowego. Odgadujemy, że jest w niej coś więcej niż surowe pojęcie obowiązku, jakiś niepowstrzymany pęd duszy do ofiary. Takich jak ona jest trzy w tym zamku.

Ponieważ w sąsiednim pokoju wciąż słychać jęki, pytam:

— „Ciągle ten porucznik kawalerji? jakże mu jest?"

— „Jaknajgorzej... Trafiony granatem w brzuch... telegrafowaliśmy do matki... byleby tylko zdążyła na czas?"

— „Jakże się nazywa?"

— „Porucznik Clavand."

— „Jakto? to on, Clavand? Przed tygodniem jedliśmy razem obiad."

Jakże szybko płynie życie na wojnie! Ośm dni temu istotnie przypadek połączył na wspólnych kwaterach szwadron dywizji z moją kompanją. Dragoni, jako dobrzy koledzy, zaprosili nas do swego stołu.

Przy jedzeniu siedziałem obok Clavanda i gawędziłem długo z tym inteligentnym zapalonym oficerem... Naturalnie tworzyliśmy plany na przyszłość; mieliśmy się później spotkać. Przed czterema dniami, gdy szedłem drogą blisko Soissons widziałem świeże plamy krwi; wypytywałem... Granat padł — na oddział dragonów — mówiono... zabił trzech czy czterech... ranił pięciu czy sześciu, w tem jednego oficera... Poszedłem dalej niemal obojętnie...Krew, którą widziałem wtedy, to była krew Clavand, który teraz kona tam za ścianą...

I znowu czas sączy się kroplami. Myślę o poległych towarzyszach, o ofiarach, jakie jeszcze poniesiemy, nim nasz ideał sprawiedliwości i cywilizacji odniesie tryumf nad niemieckiem barbarzyństwem. Ale myśl moja potrzebuje oparcia. Szukam na

półce innej książki. Przeważają książki nabożne. Biorę jedną z nich na chybi trafi. To Psalmy Dawida.

Zrazu czytam jak człowiek bezczynny, który myśli: „Trafia się okazja czytania ksiąg świętych.“ Zwolna między moim stanem umysłu a temi ognistemi hymnami wytwarza się dziwna łączność.

„Słuchajcie tego wszyscy narodowie; bierzcie to w uszy wszyscy mieszkający na okręgu ziemi.“

„Tak z ludu pospolitego jako z ludzi zacnych, tak bogaty, jako i ubogi.“

„Usta moje będą opowiadały mądrość, a myśl serca mego roztropność.“

„Nakłonię do przypowieści ucha mego, a wyłożę przy harfie gadkę moją.“

To tajemnicze wezwanie dźwięczy w mej duszy jak pobudka trąby nadziemskiej. Czuję, że ten, który z głębiny wieków odzywa się do mnie, mówi głosem, wiecznie żywym. Być może, że w innej chwili ta poezja orjentalna wydałaby mi się zbyt jaskrawą, ale dziś słowa wielkie i uroczyste, wyrażające skargi, przekleństwa, modły starego króla Izraela, trafiaja do mnie bezpośrednio... rozpoznaję w nich me własne uczucia. Może nigdy żaden poemat nie wzbudził we mnie takiej obfitości wzruszeń, gorączkowo przerzucam kartki i powtarżam wersety.

Naraz odkrywam tajemnicę tego czaru działającego na mój umysł; oto prorok, choć zdaje się wypowiadać tylko osobiste uczucia, w istocie jest wyrazem duszy swego narodu; jego wściekły gniew przeciw wrogom, jego wezwanie sprawiedliwości boskiej, jego przekleństwa... są okrzykami ludu. Przypominam sobie, że pewnego wieczoru na początku wojny, zaszedłem do wiejskiego kościoła w Lotaryngji, gdy kobiety i dzieci klęczały w cieniu jego nawy. Ponad głowami wiernych na ambonie, na wpół zanurzony w ciemności, stary ksiądz modlił się za „dzieci kraju“ i za Francję. Tylko jego głos unosił się pod sklepieniem; myślałby kto, że to błaganie jednostki, ale co chwila w chórze westchnień, który zrywał się z piersi wszystkich zgromadzonych biegł jednobrzmiący głos: „Amen“. Dziś czytając Dawida słyszę znowu ten głos poważny i uroczysty unoszący się nad rozmodlonym tłumem w katedrze, gdy król prorok mówi:

„Podnieś się o sędzio wszystkiej ziemi, a daj zapłatę pysznym.“

„Niechajże pan wytraci wszystkie wargi pochlebne i języki mówiące rzeczy wyniosłe.“

„Ściągnij rękę swą z wysokości, wybaw mię, a wyrwij z wód wielkich, z rąk cudzoziemców.“

„Których usta kłamstwo mówią, a prawica ich jest prawica omylna.“

Tuż blisko nas nad wioską pękają niemieckie pociski... jeden z nich dopiero co uderzył w wieżyczkę zamku... ranni

czekają w milczeniu, zrezygnowani, może lada chwila uderzy ich ostatnia godzina.

Czytam dalej. Umysł mój coraz lepiej harmonizuje z owym odwiecznym tekstem. Dawid stopniowo przestaje być dla mnie niejasnem przypomnieniem Historji Świętej, staje się indywidualnością, w którą wyobraźnia moja wlewa tchnienie życia... Jakiż to wspaniały widz z tego króla! Nie wiele o nim wiem, ale dość mi czytać jego psalmy, by go zaliczyć do wielkich wodzów narodu... Oto człowiek twardej woli, śmiałego umysłu, z sercem niewzruszonem, w imię swego ideału organizuje, urabia plemiona pierwotne, kieruje ludami i przetwarza je w naród. Kogóż nie porwie głos jego wezwań, napomnień, rozkazów? Toć to są te słowa święte które my, ludzie szarego tłumu, rozpamiętywamy bez końca i które kierują nami.

Czyżby jednak w czasie tych niesłychanie tragicznych lat wojny zatracać się w nas miało poczucie wiary? Otóż ja podziwiając majestatyczną postać „urodzonego wodza" Dawida, ośmielam się szukać w nim nauki, którą bym mógł zastosować do siebie ja skromny oficer, który ginie wśród mnóstwa dowódców niezliczonych współczesnych armij. Nieuleczalne złudzenie ludzkiej pychy!

Dziecko patrząc na katedrę myśli o zamkach z piasku, które budowało wczoraj; ja czytając psalmy — z przed trzydziestu stuleci sprawdzam, w jakiej mierze moja dusza zbliżona jest lub oddalona od duszy tego wielkiego wodza ludów...

Może nigdy już nie trafi mi się sposobność do zrobienia tego rodzaju „rachunku sumienia". Wracam z bitwy: jeszcze głowa moja opanowana jest myślą o tem, jak prowadzić mych żołnierzy do boju, jak spełnić mą powinność dowódcy.

O kilka kilometrów stąd szybkie strzały armatnie hukiem wstrząsają powietrze, wokoło mnie leżą nieruchomo ranni, a tuż kolega dogorywa... Piękna sposobność do rozpamiętywania duchowych rysów dowódcy pod pozorem rozmyślania nad psalmami Dawida!...

Czyż król prorok sam nie nastręcza wspaniałego przykładu duchowego życia? Jakież bogactwo duszy w jego rozmowie z Bogiem! Dawid wciąż stawia sobie przed obliczem swą powinność, zadaje sobie pytania, oskarża się, błaga, formuje postanowienia; jego uroczyste przysięgi są to wzloty ducha ku upragnionej, wymarzonej doskonałości.

„Błogosławionyś ty, Panie, naucz że mnie ustaw Twoich O przykazaniach Twoich rozmyślam i przypatruję się drogom Twoim.

„Twójcim ja, zachowajże mnie, bo przykazań Twoich szukam.

„Słowo Twoje jest pochodnią nogom moim, a światłością ścieżce mojej."

„Nad nieprzyjacioły moje mędrszym mnie czynisz przykazaniem twojem, bo je mam ustawicznie przed sobą."

„Z przykazań Twoich nabrałem rozumu, przeto mam w nienawiści wszelką ścieżkę obłudliwą."

„Przylgnęła do prochu dusza moja; ożywże mnie wedle słowa Twego."

A we mnie czyż jest owa żądza doskonalenia się? Czyż zawsze stawiałem sobie przed oczy idealny obraz dowódcy, któremu usiłowałbym stać się podobnym?

Proste stwierdzenie bogactwa wewnętrznego życia u króla Dawida staje się dla mnie pobudką do skruchy. Dowódca winien być mózgiem tych, którymi dowodzi, tak jak prorok był wcieleniem duszy swego ludu, winien przedewszystkiem myślą nieustannie czujną przyświecać wszystkim, którzy w momentach niepokoju ku niemu się zwracają.

Otóż od czasu naszej kampanji nieraz doznawałem w sobie tylko działania automatyzmu zawodowego; zdawało się, że czysto fizyczne życie bierze górę.

A tymczasem należało wciąż utrzymywać się w podniesieniu ducha, by móc podwładnych zagrzewać i oświecać...

W psalmach tych uderza mnie niewzruszona potęga nadziei, którą one tchną. Dawid nie tai przed nami swego lęku, swych zwątpień i upokorzeń; Jego oczy wylewają potoki łez, śmierć przenika go aż do szpiku kości, jest jak rozbite naczynie, biodra jego pełne są błędów i niema nic zdrowego w swem ciele. Lecz po każdem takiem wstrząśnieniu zrywa się Dawid pełen otuchy; nadaremnie wrogowie jego obrzucają go sromotą, dusza jego omdlewa, nigdy się na tem nie kończy: Bóg nie porzuca swego sługi... nawet gdy tekst rozbrzmiewa skargą jęczącą jak huragan w górach, czuje się, że nie gaśnie światło nadziei, jaśniejące w duszy starego króla.

„Rzekł Pan: Postanowiłem przymierze z wybranym moim, przysiągłem Dawidowi słudze swemu."

„Ale jeśliby synowie jego opuścili zakon mój, a w sądziech moich nie chodzili."

„Tedy nawiedzę rózgą przestępstwa ich. Ale miłosierdzia mego nie odejmę od niego, ani skłamam prawdzie mojej".

„Bo potrę przed twarzą jego, przeciwników jego, a te, którzy go mają w nienawiści, porażę."

„I uczynię, że na wieki będzie trwało nasienie jego, a stolica jego jako dni niebios."

„Pierzem swem okryje cię, a pod skrzydłami jego bezpiecznym będziesz; prawda jego tarczą i puklerzem "

„Nie ulękniesz się strachu nocnego, ani strzały padającej wednie."

Jakże wzniosłą jest ta ufność niezachwiana! Jakże pięknym duch, który wierzy niewzruszenie, że żadne nie złamie go nieszczęście... Taką to ufność winien posiadać ten, kto stoi na czele i prowadzi drugich.

Jakżeż mi daleko do tego wzoru! czemże ja jestem w obec niego wędrowiec o przeczulonej duszy miotanej w miarę okoliczności niepokojem i lękiem!

To prawda, że zaznałem w ciągu tej wojny poranków niesłychanej radości. Przypominam sobie jeden z nich... Było to w drugim dniu mobilizacji. Wypowiedzenie wojny zaskoczyło mnie w drodze; czemprędzej pospieszyłem do pułku, wstrząsały mną tysiączne wzruszenia ale ponad wszystkiemi górowało radosne uczucie, że jadę na wojnę. Same te słowa błyskały mi przed oczyma widokami przygód nadzwyczajnych. Mieliśmy dokonać wielkich rzeczy, przeżywać historyczne chwile.

Idąc do koszar spotkałem jednego z mych kolegów oficerów, uściskaliśmy się i nagle opanowała nas nieuzasadniona wesołość. Powtarzaliśmy tylko zdania bez sensu: „Patrzcie! więc to przyszło!.. Nigdybym nie uwierzył!“ Ileż jednak uczucia brzmiało w tych słowach...

Byliśmy w Paryżu na jednej z ulic dzielnicy ludowej... W koło nas zbierały się gromadki ludzi, wypytywali, ściskali za ręce.

„Jadę jutro,“ mówił jeden; „ja pojutrze“ mówił drugi. Czuliśmy, że cały ten tłum byłby chciał, abyśmy go uszykowali i pędzili natychmiast na nieprzyjaciela. Przyjaciel mój w uniesieniu chwili rzekł słowa, których przesada byłaby mnie raziła w każdej innej okoliczności:

„Tak, tak, Niemcy jeszcze nie dojrzały do cywilizacji... Jeszcze raz zdepczemy je naszemi butami, by im ją tym razem raz na zawsze zaszczepić!

Byłby mógł równie dobrze wygłosić, jakiś inny bombastyczny frazes. To wystarczyło; tłum krzyczał: „Do Berlina! Do Berlina!“

Ach! w takiem uniesieniu byłbym wołał razem z Dawidem: „Choćby wojsko przeciw mnie stanęło nie ulęknie się serce moje.“

Dusze nasze drżały jak harfy i były to naprawdę wykrzyki radości.

Ale u mnie te uniesienia są tylko jak ognie bengalskie oświetlające na chwilę najpospolitsze widoki. Biedny wychowaniec dwudziestego wieku nie umiem mej wrażliwej duszy opancerzyć ślepą i bezwzględną wiarą i ufnością.

Nie umiem powiedzieć sobie: „niechaj się przeciw mnie walka rozpęta i wtedy nadzieje mieć będę“.

Pamiętam godzinę, w ktorej doznałem może najstraszniejszej w życiu mem boleści. Był to wieczór naszej pierwszej bitwy pod Conflans. Jakaś fatalność ciążyła nad nami? Nie wiem. Cały dzień upłynął wśród zmiennej kolei trwogi i nadziei szalonej, trudu nadludzkiego, widoku ran i żołnierzy w panice... Około 8-mej wieczorem, zmarnowani i potłuczeni na duchu i ciele, zgnębieni gniewem i wstydem szliśmy ku zachodowi... cała dywizja cofała się... Jakiż tragiczny widok! Widzę jeszcze ostatnie błyski

zachodzącego słońca, jak krwią zalewają niebo. Od północy ciągną się wielkie bory czarną zagadkową smugą, z której lada chwila wynurzyć się może nieprzyjaciel... Pola kładły się ciemną rozległą przestrzenią, po której milczące ciągnęły kolumny, jedna okok drugiej maszerując pośpiesznie. Maroderzy walili się bezwładnie do rowów. Zdala głuchy huk armat i turkot wozów zlewały się w jeden ponury odgłos.

Umysł mój wskrzeszał obrazy wszystkich pogromów, jakiemi artyści i poeci moją wyobraźnię wzbogacili.

Ach! te bataljony pierzchające przez ciemne pola wyglądały jak roje spłoszonych ptaków zawieruchą śnieżną miotane.

Opuściła mnie cała moja energja. W tym momencie zaznałem uczucia zupełnie mi dotąd obcego: patrjotyzm w formie boleści. To było niemowne udręczenie... Nieraz miłość ojczyzny napełniała mnie dumą, chlubą, radością, że należę do szlachetnego narodu. Jakież to były małe uczucia w porównaniu z tem, które dziś druzgotało mi serce! O potęgo boleści! Toć to ona odkrywa nam najdalsze horyzonty miłości; w tej chwili zrozumiałem że patrjota, jak kochanek, póki nie zapłacze, niezna najskrytszych głębin swego serca.

Maszerowaliśmy długo poprzez spustoszone pola Woëvre. Już noc była ciemna, a myśmy szli jeszcze. Za nami płonęły wioski... wesołe ogniska, wkoło których wróg kroczył zapewne upojony zwycięstwem.

Wtedy zwątpiłem.

Ach! Dawid mógł patrzeć na swoje namioty spalone, a mimo to mógł swe okrzyki boleści zakończyć okrzykiem nadziei...

„Widziałem niezbożnika nader wyniosłego, a rozłożonego jako drzewo zielone, samorosłe"

„Ale przeminął i oto go nie było; szukałem go, alem go znaleźć nie mógł."

* * *

Idę przejść się po pokojach, gdzie leżą ranni. Pełno ich w całym zamku; widzę natłoczonych ciasno, jeden przy drugim. Cisza panuje w tych pokojach. Każdego pochłania walka z własnym losem; zapach jodoformu dławi w gardle. Zadaję rannym pytania:

— „Czy bardzo cierpisz?"

— Nie, odpowiadają.

A jednak ich zakrwawione bandaże, twarze woskowe, rozpalone ręce świadczą, że mają mocno poszarpane ciała.

Jeden z nich mówi do mnie:

— „Gdybym podobną ranę otrzymał skutkiem wypadku, bardzobym cierpiał, ale obecnie nie odczuwam bólu, bo to za Francję."

Kogóż nie oświeciłyby słowa podobne? Ci ludzie dlatego umieją pokonać ból, że giną za ideał. Tu zagadka ich siły. Taż sama zagadka co wielkości duszy Dawida. Najstraszniejsza niedola nie zachwieje jego serca, gdyż wierzy niewzruszenie w swoją sprawę; zrobił „przymierze z Bogiem", stał się narzędziem boskiej woli. Niepodobna wyobrazić sobie wyższej apoteozy „zasady czynu".

Nasz patrjotyzm powinien wznieść się do tych szczytów ufności i wiary w ostateczne zwycięstwo. Dobrze jest gdy pewne przekonania przyobleką w umyśle naszym postać mistyczną; to wzmaga ich siłę. Od tej chwili postanawiam postawić wiarę w tryumf naszego oręża ponad wszelką dyskusję i wszelkie wywody rozumowane — a wiara ta zrodzi energję.

Gdy powiew strachu obleci oddział wojska, żołnierze instynktownie skupiają się w okół dowódcy, którego umysł zachował spokój; a jednak i cóż on może wiedzieć o istotnej wielkości niebezpieczeństwa, które wywołało trwogę? Zwykle nie więcej niż inni. Ale on „wierzy", ufa zawzięcie, niewzruszenie. To wystarczy; jest on prawdziwym wodzem... Dawidem.

* * *

Wracam do czytania. Zachwyca mnie w psalmach to, że widzę w nich same tylko uczucia wyraźne, szczere; Dawid błaga, klnie, żałuje, a zawsze silnie; niema w jego uczuciach połowicznych odcieni, w których lubowaliśmy się przed wojną... Piękna pierwotna dusza! Czuje się, że zawsze jest do czynu gotowa. Ani razu nie spotykam się u niego z pragnieniem cichego szczęścia w spokoju, kontemplacji, swobodzie, do czego wzdychają nasze miękkie natury.

Gdy to stwierdzam, znów budzi się we mnie wyrzut sumienia... Oskarżam się, że nie zawsze w ciągu tej kampanji dusza moja trwała w naprężeniu energji. Ileż razy, gdy maszerowaliśmy lotaryńskiemi drogami bez końca a bitwa była w pobliżu, pogrążałem się w dziwnie słodkiem dumaniu. Bieg konia mego kołysał mnie łagodnie, marzyłem a otaczające mnie widoki oblekały się niewymownym czarem. Pamiętam, że pewnego wieczora pod Bonconoille w Woêvre mieliśmy rozstawić nasze forpoczty. W dali rozpościerał się cień jak aksamit puszysty, dzwony kościelne grały w mgle wieczornej jak gdyby smętną pieśń skargi. Słońce zachodziło tuż nad stawami. Czyż można opisać przepych plam złotych i krwawych na nieruchomem zwierciadle ciemniejącej wody, otoczonej sitowiem, którego wysokie łodygi, jak gdyby załamywały się u wierzchołka pod ciężarem smutku.

Dziwne sprzeczności tkwią w duszach naszych! Na tem melancholijnem tle więcej niż kiedykolwiek rozkoszowałem się życiem. Topole o rozwianych włosach, wierzby zadumane nad brzegiem wód, śliwy pokornie ukryte w ogrodach — wszystkie

drzewa, niby żywe istoty, miłośnie spoglądały ku mnie. Trawy, płoty, zboża, ptaki, zachodzące słońce, wszystko sprzysięgło się, by mnie do życia przywiązać, przyroda otaczała mnie zwartem kołem swych tworów. a wszystkie mówiły do mnie: „Żyj, chwytaj obecną chwilę, gdyż jutro może, wzrok twój już nie zdoła tchnąć w nas życia."

Teraz gdy w psalmach Dawida szukam wskazań obowiązku, te chwile zapomnienia wydają mi się grzeszne, widzę w nich niedopuszczalną słabostkę... Wojownik musi mieć duszę surową. Nie powinien znać takich nastrojów jak rozczulenie. Ani na chwilę nie powinien przestać myśleć o swych wrogach i nienawidzieć ich.

Czytam:

„O Boże! Nie milczże, nie bądź jako ten, co nie słyszy i nie chciej się uspokoić, o Boże! Bo się oto nieprzyjaciele Twoi burzą, a ci, którzy Cię w nienawiści mają, podnoszą głowę.

Przeciwko ludowi twemu wymyślili chytrą zdradę, a spiknęli się przeciwko tym, których ty ochraniasz.

Mówiąc: Pójdźcie, a wytracimy je, niech nie będą narodem, tak, żeby nie wspomniano więcej imienia izraelskiego.

Uczyń że im jako Madjańczykom, jako Sysarze, jako Gabinowi u potoku Cyson. Którzy są wygładzeni w Eudor, stali się jako gnój na ziemi."

„Obchódź się z nimi jako z ich hetmany, jako z Oretem i jako z Zebą.

Boże! uczyń ich jako koło i jako źdźbło przed wiatrem. Jako ogień, który las pali i jako płomień, który zapala góry. Tak ich ty widmem swojem ścigaj, a burzą swą zatrwóż je. Napełnij twarze ich pohańbieniem."

Ach! jakież wspaniałe uczucia! one podają ton, do którego duszę dostroić mi trzeba. Są dla mnie objawieniem. Zdawało mi się, że nienawidzę nieprzyjaciół...

Łudziłem się. Dziś czuję, że nienawiść moja była nienawiścią człowieka cywilizowanego, wątłą i słabą. Gdy teraz duszą tonę w świecie pierwotnym, poznaję nowe uczucie i świętą nienawiść. Istnieje bowiem święta nienawiść, w którą się wciela „wola życia" narodu. Rasa ludzka, do której należę, w ciągu długich wieków ukształtowała swoją duszę; w dziele tem uczestniczy cała elita jej myślicieli. Składały się na nie wysiłki niezmierne i niezliczone poprawki. Mordercy pławiący się we krwi chcą zniszczyć ten ideał. Wara im! nie tylko mam prawo nienawidzieć ich z całej duszy, ale to mój obowiązek gdyż oni zagrażają czemuś, co nieskończenie więcej warte niż moja osoba... Zbrodnią byłoby z mej strony, gdybym choć cząstkę mych sił trwonił na inne uczucia, zamiast skupić wszystkie w nienawiści dla wroga... Błędem byłoby nie pielęgnować tej nienawiści, gdyż zawziętość względem najeźdzcy jest rękojmią, że spełnię mój obowiązek żołnierski z całą niezbędną zapalczywością.

Niechaj moje uczucie nie buntuje się przeciw tej surowej powinności, gdyż od dopełnienia jej zawisło przyszłe panowanie miłości i sprawiedliwości.

Dawid nienawidzi swych nieprzyjaciół dlatego, że widzi w nich nieprzyjaciół Boga samego, tych, co się dopuszczają zamachu na najwyższy ideał. — I ja również nienawidzę Niemców, gdyż widzę, że zawzięli się zniszczyć ideał, który jest świętym dla mnie-ideał francuski. Gdy bezbożnik ukorzy się przed wolą boską, Dawid przestanie go przeklinać. W świetle tekstów psałterza Dawidowego odkrywam tę nienawiść, którą w duszy winienem pielęgnować, nienawiść rzetelną, wolną od wszelkiej nikczemności.

Te abstrakcyjne rozumowe argumenty, któremi się zagrzewam, nagle znajdują poparcie w konkretnym fakcie, który mi serce rozdziera.

Gdy leżę rozmyślając nad swoją książką, zbliża się do mnie sanitarjuszka.

— Kolega pana, Clavand, umarł w tej chwili—mówi. Matka jego nie przyjedzie aż wieczorem, nie zdąży mu oczu zamknąć.

Nigdy nie zapomne wzruszenia tej kobiety.

A przecież, któż mógł więcej niż ona oswoić się ze śmiercią? Od kilku tygodni w ambulansie ciągle ktoś umiera... Niektórych rannych przynoszą tu już nawpół martwych. Nad każdym nowym nieboszczykiem ta starsza sanitarjuszka rozczula się jak mała dziewczynka. Jakież podziwu godne bogactwo uczucia!... Opowiada mi ona:

— Tak jest, wzruszyło mnie to do głębi, gdy ten mężczyzna o energicznej twarzy szeptał w ostatnich chwilach: „Czy mama zdąży przyjechać nim umrę?“ Serce mi się krajało... Potem już tylko oczy jego żyły... a potem na ustach jego zadrżały słowa tak podobne do wszystkich, jakie słyszałam: „Rad jestem; umieram jak żołnierz.“ I umarł.

Zapłakała nad śmiercią tego nieznanego jej porucznika, tak jak niebawem płakać będzie nad małym żołnierzem, którego również nie lepiej znać będzie.

Zamyślam się nad głębokiem znaczeniem tej boleści i widzę w niej symbol cierpień wszystkich żon, matek, sióstr. Wyobrażam sobie tłumioną boleść kobiet rodaczek moich, słyszę ich modły i wewnętrzne skargi żalu, który zamykają w sobie, obliczam ten niezmierzony ogrom udręczeń, jakie przynosi wojna. Ileż okrucieństw popełnili barbarzyńcy! Ileż ruin znaczy ślady ich pochodu!... Przypominają mi się te chłopskie rodziny, które widziałem, jak pierzchały z oczyma pełnemi grozy i obłędu... Zjawia się przedemną tłum istot, nad któremi chmura żałoby zawisła... Czy długo ten ponury cień trwać będzie?

Wszystkie te zjawy potężnie podniecają mą nienawiść. Gdy oczyma duszy patrzę na ich sunący orszak, to wraz z Dawidem wołam, wskazując nieprzyjaciół:

„Panie! wytęp ich! Panie, pochłoń ich!“

ROZDZIAŁ XII.

MISTYKA WOJNY.

W ambulansie Vauxbuin.

Jakże myśleć o czem innem niż o wojnie? Każda myśl pozbawiona związku z wielką awanturą, którą dopiero co przeżyłem, ledwie wyłoni się z mej głowy, pada martwa, jak kwiat przeniesiony na obcy grunt. W duszy mej pozostało tylko bezmierne pole obsiane wspomnieniami wojennemi; wszystkie one walczą o to, by się rozrość w pełnem świetle pamięci, ale ileż z nich nie rozwinie się wcale! Niezliczone są te, które mnie poruszyły na mgnienie oka w okolicznościach powszednich lub dramatycznych, a dziś już tylko nikłym, migotliwym śladem przemykają w moich wspomnieniach... A jednak doskonale zdaję sobie sprawę, że te subtelne wrażenia, ledwie cieniowane, są najważniejsze; one są dla mnie świadectwem, że dusza moja próbowała się wznieść, by ogarnąć szerszy niż zwykle horyzont, że ją nęciła tajemnica. Rozszerzało się pole mojego widzenia; minuty, które dawniej przeżywałem obojętnie, poruszały mnie dziwnie, drżały we mnie jakoby błyski nowej zdolności pojmowania...

Ach! zapewne, zgodnie z prawami rządzącemi życiem umysłowem widziałem najprzód w wojnie to, co w niej rozum mój uczył się dostrzegać. Jak człowiek dziki, który obojętnie przechodzi obok arcydzieł sztuki a wpada w zachwyt przed fontanną, która mu przpomina źródło tryskające w rodzinnej puszczy, i ja również najprzód zwracałem uwagę na drobne wydarzenia, skojarzone z memi dawnemi pojęciami, a wszystkie tajemnicze strony, wojny, tak silnie odtwarzane przez Józefa de Maistre, patrzałem wzrokiem tępym i oszołomionym. Tylko niekiedy błyskawica światła zapalała się w umyśle i ukazywała mi nieznany świat, który żył wkoło mnie.

W początkach kampanji górowało we mnie osobliwe uczucie: dziwiłem się, że nie jestem więcej zdumiony. Zawsze sobie wyobrażałem, że wojna jest strasznym przewrotem, Usiłowałem wyobrazić sobie, co się stanie, gdy wojna wybuchnie, ale dawałem za wygraną, gdyż sądziłem, że każdy obraz, który sobie wytworzę, będzie tylko śmieszna karykaturą przyszłej rzeczywistości. Uśmiechałem się, gdy kto próbował mi opisać, jak ukształtują się dusze i czyny ludzkie w tragicznym momencie, gdy naród zerwie się do broni! Wypowiedzenie wojny w mojem pojęciu miało się stać uderzeniem czarodziejskiej laski, która przeobrazi świat.

W danym momencie nie dokonał się bynajmniej oczekiwany przezemnie przewrót...

Niewątpliwie i we mnie i w ludziach, którym się przyglądałem, wypowiedzenie wojny wzbudziło podniecenie, silne wzru-

szenia, lecz były one tego samego gatunku, tej samej natury, co doznawane poprzednio. W duszy mej nie zaszła wcale całkowita zmiana sceny.

Wypełniając z automatyczną dokładnością przygotowania do mobilizacji, przerywaliśmy je — jak pamiętam — słowami: „Nie mogę sobie wyobrazić, że to na prawdę wojna.. mam wrażenie, że wyruszam na ćwiczenia". Takie uwagi słyszałem po sto razy z ust mych kolegów. To pospieszne ekwipowanie rezerwistów, pakowanie i zapinanie worków, przypominało rzeczywiście zupełnie jakiś wyjazd na wielkie manewry. Zaledwie troszkę na większą skalę i bardziej skomplikowane. Wszyscy mieliśmy wrażenie czegoś już widzianego i to nas niemal irytowało; bylibyśmy woleli odczuwać silniej zupełną nowość i odrębność, jakąś nową odmianę entuzjazmu, patrjotyzmu, wojowniczego zapału. Nie umiem określić osobliwego uczucia, jakiego łaknęły dusze nasze.

Tem szczególniejszy niepokój był jednak początkiem nowych stanów duszy, których mieliśmy później zaznać.

Wyruszyliśmy... widzę jeszcze, jak wysiadamy na stacji Sampigny w pewien chłodny, mglisty poranek; wzdłuż drogi leżały stosy drzewa, ciągnęły się płoty, domy pod czerwoną dachówką... a na to wszystko wzrok nasz rzucał ponurą, tragiczną zasłonę. Przygniatało nas znużenie trzydziesto sześciogodzinnej podróży koleją, twarze były blade. rysy wydłużone; na peronie widać było tylko żołnierzy, dygoczących i zaaferowanych urzędników kolejowych. Jakiż to kontrast z chwilą wyjazdu z Paryża, tętniącego okrzykami pożegnalnemi na naszą cześć!... Przebyliśmy Mozę w marszu na wschód, Woeuvre, Metz... Samo brzmienie tych nazw pogranicznych miejscowości pamiętnych dawnemi bitwami budziło dreszcz wzruszenia. Spoglądałem na rzekę; choć była podobną do każdego innego prądu wody toczącego się wśród łąk i sitowia, miała dla mnie dziwny urok. Słońce wschodziło; słyszeliśmy zdala dzwony bijące na Anioł Pański.

— Lotaryngja nas wita, rzekł major.

Tak więc depczemy już w pobliżu nieprzyjaciela tę ziemię, której bronić mamy kosztem życia! Ileż prawdy w tych słowach: „Święta ziemia ojczysta!" Powtarzałem je sobie i zdawało mi się, że poraz pierwszy w życiu pojmuję ich pełne znaczenie... Przepełniała nas duma, ale jakże różna od tej, która wzbierała w naszej piersi, gdy defilowaliśmy przed trybunami w Longchamps! Ponad wszystkiem górowało poczucie strasznego, surowego obowiązku. Ta minuta niby błyskawicą przedarła zasłonę tajemnicy.

W ciągu następnych dni popadliśmy znowu w ten osobliwy stan umysłów, który nam przedstawiał wojnę jako fakt równie aktualny jak niewiarogodny. obecny, a daleki. „Może jutro bić się będziemy"; tu myśl ślizgała się wciąż po powierzchni naszej świadomości.

Przebywaliśmy w St. Agnaut, w Apresmont, w Panne; wszędzie zachowywaliśmy się tak jak na wielkich manewrach i nie ręczę czy nastrój był poważniejszy. Nasze kółko oficerów batalionowych, zainstalowane u proboszcza w St. Agnaut w towarzystwie tego samego księdza, wesoło spędzało chwile. Opowiadaliśmy sobie pocieszne dykteryjki zupełnie przystosowane do okoliczności wielkich manewrów.

Toż samo było z żołnierzami, pewnego dna ordynans mój zniknął na całe poobiedzia, by pomóc chłopom przy zwożeniu snopów z pola; inni żołnierze wymykali się, by łowić ryby na wędkę. Ta pierwiastkowa niemożność doraźnego przystosowania umysłów do nowej sytuacji, ma dla mnie jakąś analogję z osobliwem zjawiskiem obojętności, z jaką przyjmujemy na razie nagle udzieloną wiadomość o wielkich wypadkach. „Trudno uwierzyć" — mówimy: tak było i z nami.

W godzinach zastanowienia ubolewałem nad tą banalnością wewnętrznego życia, tak odmienną od tego, na co byłem przygotowany... Niegdyś dość mi było przeczytać takie proste zdanie, jak: „Wieczorem po bitwie..." a mogłem, położywszy książkę na kolanach wzrok utopić w przestrzeń, poddać się fali uczuć, która we mnie wzbierała. Widziałem oczyma duszy maszerujące pułki „niby senne widzenia, snujące się we mgle tajemniczej... procesję cieniów na tle czarnego nieba". Zdaję sobie sprawę dzisiaj, że moje rozczarowanie było wynikiem książkowego rozmarzenia; wytworzyłem sobie zbyt poetyczne wyobrażenie wojny. Mniej więcej bezwiednie pragnąłem widoku „wojowników pędzących wspaniale do boju"; chciałem słyszeć głos Ajaksa „uderzający w sklepienie niebieskie", a wokół mnie byli tylko żołnierze ćwiczący się w pełzaniu ukradkiem w rowach i kopaniu jam, w których się kryć mają.

Trzeba mi było dobiero huku pocisków padających na ludzi, by umysł mój zdołał otworzyć wielki obraz wojny, pełen poezji i prawdy.

Po postoju w Hants de Mense, poszliśmy na wschód. W miarę jak zbliżaliśmy się do granicy, dokonywały się u nas wewnętrzne przemiany. Nigdy nie widziałem Metzu, lecz od czasu gdy w Woêvre krążyłem w koło tego miasta — niestety! w znacznej odległości, rozumiem, co znaczy czuć obecność osoby bliskiej a niewidzialnej... Metz był dla nas przez kilka tygodni biegunem magnetycznym; powtarzaliśmy wciąż: „Będziemy osaczali Metz"; miasto to było dla nas obiecaną zdobyczą, zdobyczą podwójnie cenną, gdyż stanowiła zarazem rewindykacją i pokój.

Doznałem podobnież wstrząśnienia uczuciowego tego dnia, gdy mnie wysłano na wywiad w kierunku Pont á Mousson... Konno przejechałem trzydzieści kilometrów. Jakże osamotniona była okolica cała! Na pustych polach nikt nie pracował, wsie wyludnione, wszędzie cisza, martwota, życie w zupełnem zawie-

szeniu; powiedziałbyś, że cały kraj ogarnęło trwożne oczekiwanie, jak kobietę przyczajaną w kącie mieszkania w którem grasują mordercy. Na tentent kopyt mego wierzchowca zaledwie tu i owdzie wychylały się głowy starych wieśniaczek, które rzucały ku mnie spojrzenia podejrzliwe, trwożne i łaskawe w dziwnem położeniu. Po drodze do Pont á Mousson spotykałem niekiedy chłopów, idących ze wsi pogranicznych, uciekających jak gdyby z przeklętej krainy.

— „Czy dużo u was Niemców?“ spytałem jednego z nich.

— „Roi się tam od nich!“ rzekł, wskazując mi wyniosłości na prawym brzegu Mozeli, a twarz jego miała wyraz obrzydzenia; i pogardy, jakgdyby dom jego opanowało wstrętne robactwo. Przebiegając drogi i zbierając techniczne informacje, po które mnie wysłano, usiłowałem zarazem przeniknąć duszę okolicy... Wdali ciągnęły się faliste wzgórza i pola, znaczone kępami porzuconych snopów; liczne dzwonnice sterczały na widnokręgu, lecz zamiast strzelać radośnie w błękit jak w dzień uroczystego święta, czuwały nad smutnemi, opustoszałemi chatami, i przypominały wydłużonym kształtem swych smukłych wież ruch szyi koguta, który podnosi głowę, by lepiej dostrzec groźne niebezpieczeństwo ponad spłoszonem podwórkiem.

Wtedy, przejęty dreszczem okolicy odczułem tajemniczą grozę wojny, niby niewidzialną jeszcze ale potworną bestję, która się zbliża i niebawem odsłoni swe ogniste i krwawe oblicze.

Wedle metodycznego planu codzień przybliżaliśmy się cokolwiek do strefy bojowej; możnaby myśleć, że najwyższa kierownicza wola chciała nas poddać całej serji prób, by, stopniowo prowadząc, oszczędzić nerwom naszym doraźnego zetknięcia ze straszną rzeczywistością.

Pewnej nocy, w Reqnewille - en - Haye, zbudzono mnie nagle; otrzymałem rozkaz, bym razem z mą kompanją umieścił się jako straż główna w oberży St. Pierre, w pobliżu Pont à Mousson; mieliśmy być tuż blisko nieprzyjaciela. Nagle powstał ruch. Porucznik B. — który w dwa tygodnie później miał zginąć, — wyjechał ze swym plutonem jako straż przednia; podniecała go gorączkowa niecierpliwość. Słyszałem, jak wydawał instrukcje swym patrolom i dodawał: „Co za gratka! Mamy zająć zaszczytny posterunek. Spieszmy się.“

Umieściłem swą straż główną w tej zrujnowanej stodole, którą oznaczają na mapach jako oberżę St. Pierre. W starej budowli wiał ponury wiatr; przed nami ciągnęły się obszerne tereny ćwiczeń Pont á Mousson, na lewo skraj lasu Le Prêtre czarną smugą zamykał horyzont; co chwila jasne smugi niemieckich reflektorów rozdzierały ciemności; te nagłe błyski światła były złowróżbnemi znakami czujności wroga i złośliwej chęci szpiegowania nas. Zwiedziłem moje małe posterunki, rozstawione po kilka set metrów przed nami. Jakaż zmiana zaszła w moich ludziach! Dotychczas wyrzucałem im niedołęstwo i niezrozumie-

nie powagi położenia; tej nocy oczy im błyszczały, skupiali uwagę; słuchali mych instrukcyj jak wyroczni; przywtarzali po cichu: „tak," „tak". Gdy żegnając ich mówiłem „Dobranoc, przyjaciele", odpowiadali mi „Dobranoc, kapitanie", a w głosach ich drżał nowy ton: uczucie przywiązania. Czuję, że mnie lubią — mnie, swego dowódcę, przewodnika, a i moje serce również wzrusza myśl o nich, o tych moich żołnierzach, towarzyszach broni, których pozostawiam zaczajonych w zakątkach leśnych. Znów poczułem działanie jakiegoś nowego uczucia.

Gdy tak spędziliśmy noc i poranek w oczekiwaniu nieprzyjaciela, byliśmy niemal rozczarowani, gdy nam nazajutrz oznajmiono, że Niemcy jeszcze nie przekroczyli Pont á Mousson. Sześć kompanij francuskich z sąsiedniej dywizji zajmowały jeszcze to miasto. Po południu jednak dała się słyszeć kanonada i strzelanina; Niemcy atakowali; kilka pocisków padło w naszych stronach. Czekaliśmy zdenerwowani; czyż lada chwila nie mieliśmy być wezwani i wrzuceni w odmęt rzeki?

Nad wieczorem przyleciał galopem jakiś oficer kawalerji i rzekł do mnie: „Kompanje, które trzymają jeszcze Pont á Mousson, będą musiały ustąpić przed przeważającemi siłami; domagają się za wszelką cenę posiłków".

Specjalna misja, jaką mi zlecono, wzbraniała mi porzucać mój odcinek bez rozkazu; czyż jednak mogłem pozostać obojętnym na takie wezwanie? Natychmiast posłałem do mego dowódcy prośbę o pozwolenie na udział w boju, a czekając odpowiedzi posłałem mą kompanję na wzgórze panujące nad Pont á Mousson od zachodu, t. j. na najdalszy punkt, który mogłem zająć bez sprzeniewierzenia się mej roli staży głównej, a z którego można było z łatwością skoczyć naprzód. W tem miejscu droga zwężała się między lasami, a potem nagle spadała w dół przy zakręcie. Kazałem rozdać dodatkowe ładunki z kompanijnego taboru i stanęliśmy bez ruchu. Było ciemno, godzina, w której dusza mięknie i popada w niepokój pod grozą ciemności; nigdy może nie odczuwałem tak silnie działania zmierzchu na moje nerwy.

W tejże chwili zjawił się u nas podoficer, który szukał nas od rana niosąc pocztę. Od początku kompanji po raz pierwszy otrzymaliśmy listy... Jakże chciwie, nachylając głowę nad papierem, spieszyliśmy się odczytać pismo nim zmrok zapadnie zupełnie.

I ja również miałem listy, i do mnie moi ukochani przysłali serdeczne słowa otuchy i zachęty. Jakież one miały dziś tragiczne znaczenie. Możnaby myśleć, że los sam zesłał pozdrowienia od naszych bliskich nim wstąpimy tam gdzie się odbywa żniwo śmierci.

„Całem sercem modlę się za ciebie" — pisano w jednym liście.

„Nie rozczulaj się nademną — mam odwagę", zapewniano w drugim „Chciałbym być przy tobie — i opiekować się tobą, jak wtedy, gdy byłeś maleńki — ale teraz już jesteś duży; musisz iść o własnych siłach" mówił jeszcze inny.

„Dziś pora, byś przypomniał sobie cnoty twych przodków", napominano jeszcze.

Oklepane zdania, niewątpliwie, podobne do tysiąca innych, jakie kreśliła ręka matek, żon, braci, rodziców, ale czyż jest bezbożnik, któryby czytał je obojętnie? W pewnych godzinach życia tylko uroczyste słowa są naturalne i właściwe. Ach! dziś nieczas na wypisywanie rozkosznych głupstewek; listy czasu wojennego są wyrazem sakramentalnego w dziejach ludzkości gestu; „Pożegnanie żołnierza" jest uświęconym obrzędem rodzinnym, który powraca stale w ważnych historycznych momentach. Czytałem listy z głęboką czcią jakbym nad moją głową czuł błogosławiącą rękę.

Wtedy pojąłem co znaczy „być żołnierzem"; myślałem, że już w czasach pokoju zgłębiłem dostatecznie znaczenie tych słów. Myliłem się. Dziś po raz pierwszy odczuwałem, jako siłę realną, wolę mej rodziny, która mnie wydelegowała do stoczenia wielkiej walki rodzin francuskich, domagających się słusznego prawa, by żyć wiecznie. Było to dla mnie jak przelotny błysk objawienia.

Jednakże chwila, w której najsilniej zaznałem wrażenia styczności ze światem zjawisk tajemniczych, był dzień mej pierwszej bitwy. W pamięci mojej występuje ona w postaci wzruszającego obrazu; widzę niby w teatrze po podniesieniu kurtyny, jak nasz pułk maszeruje przed wsią Ruainville w Woërie. Jest godzina czwarta po południu; od północy maszerujemy bez przerwy; upał i zmęczenie sprawiają, że widoki skaczą nam przed oczyma.

Przy wymarszu huk armat był tak odległy, że trzeba było się zatrzymywać, by go nie mieszać z turkotem wozów; teraz pociski padają zbliska i ogłuszają nas. Czekamy na chwilę wmieszania się do walki; na lewo w dolinie skupiły się dwa pułki jazdy, gotowe debuszować ze wzgórza i przypuścić szarżę. Widać małe kolumny piechoty, uwijające się po polu. Na trakcie ruch ludzi i koni... Przypominam sobie, że obłok mknący po niebie osłonił na chwilę błękitnym cieniem całą okolicę, jakgdyby anioł wojny rozwinął skrzydła szeroko na niebie.

Właśnie w tej chwili ukazali się na drodze ranni wracający z linji bojowej; byli to pierwsi, jakich spotkaliśmy; nigdy nie zapomnę ich twarzy; bynajmniej nie dlatego, by jękami swemi budzili litość lub by mieli tragiczne postawy; nie stękali i nic nie mówili. Niektórzy szli pieszo, sztywni, posępni, z oczyma osłupiałemi, krokiem lunatyków, z twarzą ziemistą, trzymając nieruchomo zakrwawione ręce, lub podpierając okrwawione głowy.

Ci, co leżeli na wózkach chłopskich słomą wysłanych, byli bezwładni. Inni siedzieli po prostu... ale uderzało u nich wszystkich szczególniej jakieś oszołomienie, głębokie zdumienie, w którem byli pogrążeni... Jakież niesłychane okropności musieli oglądać, jeśli świat cały zdaje się znikać im z oczu! Przychodziło na myśl osłupienie wskrzeszonego Łazarza, gdy mu kazano wyjść

z grobu, i we wzroku tych ludzi co śmierci zaglądali w oczy, szukamy śladów wizji „tamtego świata".

Wtedy odczułem pełną grozy duszę wojny, duszę tajemniczą. Ludzie rzucają się jedni na drugich, pchani mocą potężniejszą, niż oni wszyscy... Czemże jest wola jednostki rzucanej w odmęt tego ponurego chaosu? Czyż jakikolwiek żołnierz może mniemać zuchwale, że jego inteligencja panuje nad takiemi wydarzeniami, że je ogarnia, że może on, błędny atom tej ogromnej masy, przystosować do okoliczności swoje osobiste postępowanie? Choćby najwięcej polegał na swych siłach i zdolnościach, w takiej chwili miesza się i drży. Już nie szuka samodzielnych zastosowań, robi „to co drudzy", idzie za nimi, to znaczy słucha impulsów nie zrozumiałych, których najzręczniejszy generał nie zdoła przewidzieć ani niemi pokierować.

Na twarzach rannych czytam zdumienie, że ich ten straszny wir porwał.

Zatrzymaliśmy się na zachód od wioski Brainville, na buraczanem polu, w linji plutonów czwórkami. Na drugim krańcu wsi padały granaty; mieliśmy wrażenie, że o kilka metrów od nas biegnie linja, za którą zaczyna się panowanie śmierci... Przejmował nas grozą ten próg bitwy, a jednak trzymał nas niby jakiemś zaklęciem czy czarem; dusze nasze doznawały takiego zawrotu, jak nad brzegiem przepaści. Zapomnieliśmy o zmęczeniu, mięśnie nasze drgały. a przedewszystkiem podniecała nas naprężona ciekawość: wciąż rozglądaliśmy się wkoło siebie, jakgdyby nam po wielu miesiącach zdjęto z oczu przepaskę... Nigdy nie wyobrażałem sobie, że można tyle rzeczy widzieć na raz: niebo, obłoki, doliny, drzewa, armaty, niezliczone wyrazy twarzy u ludzi, a wszystkie te widoki wrażały się w mózg i w nim się utwierdzały, jak gdyby nam kto oznajmił, że mamy być świadkami bezprzykładnego w dziejach świata dramatu.

Moi ludzie obserwowali mnie również; chcieli wyczytać w mojej twarzy uczucia, do których mogliby się dostroić; otuchę czy rozpacz. Odgadłem, że chcieliby widzieć mnie spokojnym i pewnym, aby się i sami upewnić mogli. Czułem jak mnie przeobraża poczucie, że mam być czynnikiem odwagi dla mego oddziału. Myśli i spojrzenia, które biegły ku mnie, wytwarzały we mnie nową osobowość; stawałem się tem, czem mnie mieć chciała wola mych żołnierzy... Ach! któż wysłowi dziwne działanie „drugich" na duszę dowódcy? Przybrałem postawę spokojną i wesołą człowieka, który w głębi duszy rozkoszuje się nieomylnością swych planów i siłą, która w nim spoczywa.

— „A co?" mówię: „gdy się kiedyś spotkamy na bulwarach i pójdziemy razem na kufelek, jak to miło będzie wspominać dzisiejszą bitwę!"

Wszyscy się rozśmiali,

Nagle ze wsi wybiegli pędem żołnierze; byli w panice; widzieliśmy ich ogromne, wytrzeszczone szeroko oczy na czerwo-

nych twarzach. Pędzili jeden za drugim; najchybciejsi wyprzedzali innych. Zbliżywszy się do nas i widząc nas w porządku zatrzymali się, lecz gonili resztą tchu, a wielu z nich padło zemdlonych. Ci, którzy zdołali mówić, bełkotali straszne słowa: „To rzeź... pociski... kule! wszędzie potoki krwi! poszarpane członki lecą w powietrze! istny szlachtuz! jesteśmy zabici..." Jeden z nich — ofiara halucynacji, krzyczał: „Oni idą! idą!" i rzucał się wpośród buraków... Wielu wymiotowało. Ze zdumieniem patrzyliśmy na to widowisko.

Dowiedziałem się później, że ten batąljon miał sześciu zabitych i trzydziestu rannych, a cztery dni później toż samo wojsko zachowało się po bohatersku.

Przed wojną czytałem kilka dzieł z dziedziny psychologji; wszystkie stwierdzały prawo, że widok cudzego wzruszenia rodzi w nas wzruszenie pokrewne; czyż gniew lub strach nie są zaraźliwe? To też z najwyższym niepokojem śledziłem wrażenie, jakie to sprawiło na moich ludziach; przeklinałem przypadek, który ich uczynił świadkami paniki tego bataljonu... Czyż to nie mogło ich odrazu zdemoralizować? Właśnie w tej chwili otrzymałem rozkaz:

— „Przygotujcie się do marszu naprzód".

Twarze ich pobladły straszliwie, ale, o dziwo! gdy rzekłem: „Przyjaciele. na nas kolej stanąć do tańca"... odpowiedzieli jednogłośnie: „Jesteśmy gotowi". Odczułem, że w tej sekundzie dokonał się zupełny przewrót w ich duszach... Tajemnicze źródło utorowało sobie ujście i wytrysnęło żywiołowo... zapadło postanowienie — zdecydowano ofiarę; z oczu strzeliły blaski, rozpromieniły się czoła; zrodziliśmy się do nowego życia, życia wybrańców, którym przeznaczono stawiać czoło niebezpieczeństwu. Pod P . . czułem się delegatem mej rodziny, dziś byliśmy wszyscy pełnomocnikami wyższej jeszcze woli, reprezentowaliśmy rasę. Zamilkły głosy wewnętrznego sporu; zapanował niepodzielnie duch poświęcenia... i teraz rozumiem, dlaczego filozofów zastanawiała i głęboko dziwiła łatwość, z jaką człowiek przekracza ciasne ramy swego egoizmu. Byliśmy zaprawdę „opętani" przez tajemniczą siłę, która nami zawładnęła. Równocześnie targała nami niecierpliwa żądza zrobienia użytku z naszej broni; czekaliśmy na pocałunki strzałów, jak młoda dziewica, drżąca przed zagadką miłości.

Począwszy od tego dnia, wydarzenia wojenne w obliczu mej duszy przybierały specjalne zabarwienie. Chciałbym móc zmianę, jaka zaszła we mnie, określić stanem wewnętrznym świętego, tkniętego łaską świętego Pawła, gdy podnosząc się z ziemi na drodze do Damaszku stwierdził, że wszystkie wartości ludzkie odwróciły się dla niego: co było dlań ważnem stało się obojętnem, a olśniony stawał wobec tego, co przed objawieniem wydawało mu się błahem. Tak samo i ja odkryłem w wojnie nieprzeczuwane dotąd strony, wobec których myśl moja

staje zdumiona... Już teraz wojna nie jest dla mnie rodzajem „wielkiego ryzyka"; żołnierze zabici przez nieprzyjaciela są czemś zupełnnie odmiennem od ofiar przypadkowej katastrofy; bitwa uduchowniła się... Niebezpieczeństwa. trudy, kombinacje taktyczne, wojska, tabory, karabiny, działa, mundury... wszysto to są symbole... Tak jak ruchy mularza, budującego katedrę, wyrażają poczucie boskości, tak i cały nasz ruch wojenny symbolizuje szlachetne uczucia duszy: honor, poświęcenie, ofiarę. patryjotyzm.

Obok małego strudzonego żołnierzyka, który idzie drogą, uginając się pod ciężarem swego tornistra, widzę wysoką białą postać niby anioła na świętym obrazku, która go podtrzymuje i pociesza. Coś mu ona szepcze do ucha? Widocznie słowa potężnego zaklęcia, gdyż oto ten człowiek, który już upadał pod brzemieniem trudu, prostuje się w szczytnem uniesieniu. Te nasze tajemne rozmowy z ideałem, który nas wiedzie wtedy, gdy armaty grzmią i zbliżają się strzały, oto znów jeden z mistycznych czynników wojny.

Być może, że kiedyś przeprowadzę analizę tych wzruszeń, tych uniesień i sprowadzę je do pewnych „praw". „Dojrzę w nich zapewne następstwa" „moralnego zbliżenia" . . . „podniecenie nerwów", którego natężenie zmierzyć, a następstwa obliczyć można. Może nawet dojdę do niedorzecznego złudzenia, że w nich nic tajemniczego niema.

Dziś jednak staję w obronie tajemnicy przeciw memu rozumowi; mniejsza o to, jeśli i ja również biorę „moje wzruszenia za rzeczywistość". W obecnej chwili, gdy konieczność zmusza mnie do rozmyślań raczej niż do czynu, lepiej, że uszanuję wewnętrzne dreszcze, którym zawdzięczam porywająco wzniosłą wizję wojny.

Pamiętam, jak pewnego dnia zimą w lewennach widziałem dziwnie melancholijny widok: w pośród wysokich drzew ogołoconych z liści, samotny zamek zdawał się jęczyć pod wichurą, która o niego uderzała; śnieg pokrywał wszystko, była cisza... przeleciało stado kruków... Odczułem bezgraniczną żałość nurtującą niekiedy w przyrodzie, a posiadającą tyle tragicznego piękna...

Ten sam krajobraz widziałem później na wiosnę; była to już tylko wielka willa, rozkosznie przytulona do kępy krzewów i wyrażająca banalną radość życia.

Ach! obyż nigdy nie stopniał ten zimny pokład śniegu, który pokrywa moje wspomnienia wojenne: daje im tyle tragicznego uroku! może zdołam w takim razie zachować na zawsze wspaniałe złudzenie, że dotknęłem tajemniczych szczytów życia.

ROZDZIAŁ XIII.

SKRUCHA KAPITANA.

Kapitan Paroy jest od dwóch dni w ambulansie, i wciąż milczy uporczywie; nic nie może go wyrwać ze smutnego zamyślenia, w którem zatonął; z głową w tył przechyloną na poduszce, z oczyma utkwionemi w suficie, duma o czemś niewiadomem. Czy głowi się nad rozwiązaniem jakiejś bolesnej zagadki?

„Ach! mówi senitarjuszka, to osłupienie, które nastąpiło po wstrząsie nerwowym".

Słychać zdala ryk armat, znajdujemy się w ambulansie dywizji, umieszczonym naprędce w zamku, o kilka kilometrów od linji bojowej; panuje atmosfera tragiczna.

Nagle kapitan budzi się ze swego osłupienia i mówi:

— „Proszę o regulamin służby polowej".

Osobliwa prośba! Czyżby chciał studjować „teorję" po praktycznym eksperymencie który świeżo tak drogo przypłacił?

Sanitarjuszka poczytuje to za kaprys człowieka w gorączce i odpowiada wymijająco:

— „Dobrze, dobrze; zaraz go panu przyniosę".

Ale kapitan nalega: nie ma wcale gorączki, wie, czego chce; chce regulaminu. Przypadkiem znalazła się książka, której żądał. Przynoszą ją rannemu, a ten ręką, którą jeszcze rozporządza, przerzuca ją pośpiesznie, jakgdyby w poszukiwaniu ważnego tekstu; pod niezdarnemi palcami kartki się plączą... W końcu znalazł się ważny ustęp:

„*Obowiązki dowódcy w czasie walki.* Oficerowie i podoficerowie obowiązani są energicznie współdziałać w utrzymaniu dyscypliny i wszelkiemi sposobami trzymać w miejscu oddział pozostający pod ich rozkazami. W szczególności żołnierze nie powinni nigdy porzucać swych miejsc w walce, dla niesienia pomocy rannym; podnoszenie rannych jest wyłącznie obowiązkiem sanitarjuszy i personelu służby sanitarnej."

Oficer natychmiast pochwycił znaczenie tego tekstu, jednak odczytuje go na nowo; tak postępujemy zawsze, gdy wyrazy telegramu, donoszącego o jakiemś strasznem nieszczęściu, skaczą nam przed oczyma. Zrozumieliśmy je odrazu, a jednak wciąż odczytujemy, jakgdyby w szalonem złudzeniu, że odczytaliśmy błędnie. Tutaj jednak sprawa jest uderzająco prosta, zdania jasne, dokładnie określone, rozstrzygające, jak wyrok sądu wojennego.

Ręka Paroy puszcza książkę; ta zsuwa się na ziemię, a ranny znów wpada w zamyślenie głębokie, w którem skupia się cała jego istota. Snują mu się przed oczyma obrazy bitwy.

Dwie noce temu komanja leżała w lasku... Rano komendant bataljonu kazał rozwinąć się na grzbiecie wzgórza, przed laskiem. Wszystkie te przygotowania do bitwy są zawsze podobne do siebie. Z tragiczną monotonją powtarzają się wciąż te same

ruchy... oddział maszeruje, przebywa grzbiet wzgórza, rozwija się, podsuwa skokami, padają nań pociski, kule, ludzie kładą się plackiem w brózdach, nic nie widać; ranni słaniają się.

Ale tego dnia kule padały gęsto na pola; w każdym punkcie, do którego dotarto, pełzały małe obłoki kurzu... Posuwając się naprzód, bawiono się przydeptywaniem tych małych obłoczków w parę sekund po uderzeniu kuli, jakgdyby chodziło o zadeptanie złośliwego robaka... Stanęło mu w oczach i inne jeszcze wspomnienie: konwulsyjnie skurczona twarz przerażonego żołnierza.

Nieraz w powieściach czytał: „Ogarnęła go taka trwoga, że oczy wyłaziły mu na wierzch", a wtedy myślał, że to literacki zwrot. Otóż nie! obraz ten jest wiernem odbiciem fizjologicznej prawdy; skonstatował to w danym momencie. Istotnie, oczy trwogą zdjętego żołnierza, o jakieś pięć do sześciu milimetrów sterczały ponad ich zwykłą osadą. Dawało mu to niezapomniany wyraz obłędu.

Przypominał sobie również i zuchów tych, co to drwią, gdy granat leci; widział jeszcze, jak jeden z żołnierzy wyciągnął sobie z rękawa odłamek granatu, który uwiązł w materjale i odrzucił go w kierunku nieprzyjaciela — tak, jak przy grze w kręgle, odrzuca się kulę graczowi, który chybił, — i wołał przekornie:

— „Źle grasz — stary — mało energji... wróć!"

Kompanja leżała w bróździe, przypłaszczona dobrze, czekając na chwilę przerwy, by zrobić nowy skok.

Wtedy trafiła go kula... Uderzenie w ramię...

— „Patrzcie ją" — rzekł, „dostałem!"

I zdążył pomyśleć:

„To nic; to mnie nie zatrzyma."

Lecz w tejże chwili uczuł, że gorący płyn leje się wzdłuż jego ramienia, a ręka staje się podobną do ręki winiarza, który gniótł winne grona. Z czubka każdego palca sączyły się krople czerwone.

Jakże dziwne okoliczności czynią z nas tchórzów lub bohaterów! Dotąd tylko jedna myśl zajmowała jego głowę: „Odpowiadam za postępowanie moich ludzi i za inteligentne spożytkowanie ich; nie mam prawa się lękać." Mówił sobie wprawdzie: „Kula może mnie ugodzić śmiertelnie", lecz surowe postanowienie trzymało tę myśl w karbach zimnego rozumowania: nie poruszała ona nerwów,

Na widok tej krwi, jakgdyby zerwała się jakaś tama; wola jego od jednego razu zachwiała się i myśl o śmierci, tym razem zupełnie konkretna, zawładnęła całą sferą jego uczuć.

Daremnie usiłował umocnić swą wolę; narzucały mu się myśli takie: „Mam przeciętą arterję — powinni mi zaraz obandażować ramię."

Kompanja zerwała się do nowego skoku pod wodzą sierżanta.

W nastroju tonącego, który chwyta się lada gałęzi, rzekł kapitan do jednego z żołnierzy:

— „Zostań przy mnie, by mnie opatrzyć".

— „Dobrze“ — rzekł żołnierz.

Niepodobna było dokonać opatrunku, leżąc w bróździe. Żołnierz podniósł się trochę, by obandażować ramię rannego.

Kapitan widział go jeszcze: wysoki, pucołowaty blondyn o niebieskich oczach... poczciwa twarz przywiązanego dziecka, które jeszcze w tym strasznym momencie rade oddać usługę swemu dowódcy.

Nagle oficer usłyszał „v'lac“, oczy żołnierza załypały, odwróciły się białkiem na wierzch... człowiek zaczął ciężko oddychać, potem czkawka, rzężenie, głowa przeszyta kulą zachwiała się i zsunęła na ramię kapitana.

Ach! cóż za straszny widok! toć on to właśnie staje wciąż przed kapitanem, gdziekolwiek oczy zwróci; nic nie zdoła go od niego oderwać.

Popełnił bowiem zbrodnię. On, kapitan Paroy, który od dwudziestu lat stara się krzepić serca młodych ludzi i opancerzać je przeciw tragicznym wrażeniom wojny... on dopuścił się tej słabości! Jakiż dziwny obłęd kazał mu prosić, by go pielęgnowano jak dziecko, wtedy, gdy wszystkie bagnety były potrzebne do ataku? Z jego winy jeden człowiek zginął niepotrzebnie. Zaniedbał swego obowiązku; temu niepodobna zaprzeczyć...

Przyszła noc; mimo majaczeń rannych spokój zapanował w zamku. Lekarz dyżurny obchodzi sale i ogrody. Przy drzwiach wiodących do parku zjawia się jakaś chwiejąca się sylwetka.

— „Kto tu?“ — pyta.

— „To ja, kapitan Paroy“.

Oficer jest nawpół ubrany. Bluza, której nie mógł wdzieć na rękawy, zarzucona jest wprost na ramiona... Zdaje się, jakby chciał wyjść.

— „Ale cóż pan tu robisz, kapitanie?“

— „Błagam pana, doktorze, pozwól mi pan odejść. Linje nieprzyjacielskie są nie dalej niż o cztery kilometry stąd, mogę tam iść, chcę umrzeć... mam wielką winę na sumieniu... niechże choć zginę, jak żołnierz — od kuli...“

Lekarz natychmiast stawia djagnozę: gorączka, majaczenie, halucynacja...

Wzywa dwóch sanitarjuszy, a ci przemocą kładą kapitana napowrót do łóżka.

CZĘŚĆ TRZECIA.

ROZMYŚLANIA.

ROZDZIAŁ I.

TEJ, KTÓRA NIE CHCE PŁAKAĆ.

Od czasu, gdy została „wdową wojenną", nie ośmieliłem się pisać do niej i pewny jestem, że słów tych czytać nie będzie.

Jakże się odzywać do tych, których serce bolesnym ciosem rażone, głuche się stało na odgłosy życia? Nic nie może ich oderwać od hymnów boleści, które napełniają ich dusze.

Nie wyobrażajcie jej sobie jednak w postaci biednej kobiety, przygniecionej żałobą, jednej z tych żałosnych mar, błądzących po cmentarnych alejach! Bynajmniej; jest to młoda wdowa, o kroku poważnym i wyniosłym, a od jej otoczenia dowiecie się, że to kobieta mężna, która opanowała swą boleść.

W pierwszych chwilach wdowieństwa, gdy dziękowała krótkiemi zdaniami tym, co jej składali współczucia, wydawała się uosobieniem tryumfu woli nad sercem. Kto wie? Może niejeden głupiec dziwił się i drwił: „Szczęśliwy, kto ma naturę tak łatwo znoszącą cierpienia."

Ach! jej mąż, — jeden z najszlachetniejszych ludzi na świecie — uczynił ją istotnie godną siebie! Słyszało się niejako głos tego dumnego żołnierza w jej słowach, gdy na wieść o strasznej swej stracie oświadczyła: „Mąż mój oddał ojczyźnie życie; ja boleść moją Francji oddaję; płakać nie będę."

Doniósł mi ktoś, że słysząc te wzniosłe słowa, ujrzał przed oczyma duszy obraz tych wzniosłych chrześcijanek pierwszych wieków, które z głową podniesioną szły na męki.

Dotrzymuje słowa... pogodna i poważna oddaje się dobrym uczynkom, pielęgnuje rannych, modli się, wychowuje swe dzieci; spełniając mnóstwo powszednich obowiązków, narzuca swej duszy surową dyscyplinę, która trzyma na wodzy jej boleść. Ci, co ją kochają, cieszą się jej męstwem, podają ją za przykład, że zaś na jej poważnej twarzy widać i uśmiech, jest ona pocieszycielką innych wdów.

* * *

Otóż nie miałem odwagi pisać do niej, gdyż od pierwszych dni czułem, jak straszny ból ukrywa pod maską tej rezygnacji.

Nigdy nie było dwóch istot, tak całkowicie sobie oddannych, jak ona i jej mąż; były to istotnie dwie namiętne, tragiczne natury, bezwzględnie pochłonięte uczuciem. Przysięgnę, że gdy w tę kobietę cios uderzył, ogarnął ją płomień szaleństwa, wybuchający w grozie beznadziejnej katastrofy.

Nerwowa i imaginacyjna nie uniknęła niezawodnie żadnej wyrafinowanej udręki bólu. Gdy okrutne słowa przyniosły jej wieść złowrogą, jakiż korowód ponurych wizji musiał się przesunąć w jej duszy. Wieczorem na równinie dogorywa jej bohater! Świetlany skon, gdyż unosi się nad nim akt dobrowolnej ofiary... ale ciało cierpi, wstrząsane drgawkami śmiertelnemi. Toczy się krew z rany, rany strasznej, — może takiej, o której myśleć trudno. W dali pożary, ryki dział gwałcą spokój nocy, słychać wołania rannych. On, żołnierz nieulękły, nie wydaje daremnych jęków. Ostatnim ruchem wyjął fotografję z kieszeni, wizerunek ukochanej towarzyszki, utkwił w niej wzrok i modli się... Modlitwa płynie ku niebu, za nią pójdzie dusza konającego.

Ale na cóż silić się na odtworzenie obrazów, które w tej okropnej chwili zjawiły się w duszy tej wdowy! To niepodobna! Tylko ten, kto czuł, jak usta gorycz zalewa, krzyk rozpaczy zrywa się z piersi, a ręce wznoszą się do nieba, kto czuł się małym, słabym i bezradnym wobec potęgi wszechświata, grożącej mu zagładą, zrozumie lepiej niż inni, co wycierpieć musiała kobieta, o której mowa.

Świadomy zupełnej bezsilności mowy ludzkiej w takiej chwili, tchórzliwie poprzestałem na posłaniu jej kilku banalnych frazesów współczucia, tak jak wszyscy. Mówię „tchórzliwie", gdyż może byłbym powinien zdobyć się na słowa, trafiające do zbolałego serca; — nie znalazłem ich i wstydziłem się ubóstwa mych zdań, tak niewspółmiernych z boleścią, którą miały koić, że wydały mi się równie jałowe, jak krzyki i gesty ludzi, stojących na wybrzeżu i patrzących na tonący statek. Ach! jakże rozumiem teraz beznadziejny tragizm wielkich moralistów, nie będących w stanie wniknąć do samotnych tajników dusz ludzkich. Choć idziemy obok siebie, jedni drugich nie znamy, tak rozległe przestrzenie dzielą nasze dusze.

To też nie próbowałem wcale przebyć dalekiej drogi do przepaści, w której ty, pani pogrążoną byłaś.

Jak mogłaś, mimo tak głębokiej rany, stać się tą bohaterską wdową, którą podziwiamy? Niewątpliwie uniosła cię ta fala entuzjazmu, która wezbrała w całym narodzie. Lepiej niż ja znasz cuda, jakich dokonać może mistyczna siła, działająca za ciebie...

Nagle krok twój stał się chwiejnym, głowa się pochyliła, a aleje parku przejętego cierpieniem zimy przeszedł powiew wielkiej trwogi; liście wiatrem porwane pędziły jak tłum dzieci, zdjętych lękiem osamotnienia; cienkie gałązki wierzchołków roz-

chwiały się na wszystkie strony; ptaki zerwały się spłoszone... głowę skłoniłaś niżej, i zdało się, że jakaś niewidzialna dłoń utrzymująca w porządku i harmonji układ rzeczy — pofolgowała na chwilę. Ten, kto na ciebie patrzał, stracił cię z oczu, bo znikłaś w ścieżynie, gdzie można się wypłakać bez świadków.

Pani, która mnie nigdy czytać nie będziesz, niedaj się unieść prądem, wyprustuj się, nie płacz... nie powinnaś płakać.

Ach! ja wiem, jak ciężko grać taką rolę, trzymać się prosto i chodzić wyniosłym krokiem, gdy chciałoby się przypaść do ziemi; jak trudno zaprząc myśl do codziennych obowiązków. Jakiegoż wysiłku woli potrzeba, by torturować mięśnie twarzy, zmuszać je do uśmiechu... odpędzać precz długie lecz bolesne widzenia... Taki dramat życiowy wypełnia wielkie dusze.

Zaklinam cię, Pani, graj go dalej.

Widzi pani, nam, silnym, potrzeba twego przykładu. Najhartowniejszym z nas serce omdlewa w pewnych chwilach. Ze zdziwieniem oglądają się w koło siebie. Biada, jeśli wówczas spotykają tylko dusze z granitu, silne z przyrodzenia! Czyż podobna? czy istotnie przyszły czasy „nadludzi", „wesołych tancerzy" — zapowiadanych przez filozofa? Czyż wszyscy ludzie stoją tylko sami przez się bez wewnętrznego wysiłku?

Człowiek, który na chwilę upadł pod ciężarem udręczenia, wątpi i zadaje sobie pytanie, czy nie zaniechać walki, tchórzliwie usunąć się z pola?

Ale oto zjawia się istota słaba, kobieta, wdowa, zgnębiona do ostatka... Duszę jej zdruzgotała i spustoszyła boleść; życie niema już dla niej uroku i niema sensu. A jednak nadludzka energja ją podtrzymuje, walecznie idzie naprzód... z rozrzewnieniem śledzimy cud woli, który rzeźbi przeczystą postać. Czy podobna, aby ona wytrwała? Och! abyż tylko nie zachwiała się! Powinna ona zostać między nami żywa, jak idealny posąg tryumfu ducha nad strachem, lękiem i słabością. Patrząc na nią my, ludzie twardzi, wojownicy, którzy się załamali na chwilę, podnosimy się z wzniesionym mieczem, by walczyć mężnie dalej.

ROZDZIAŁ II.

PO POWROCIE Z URLOPU.

Tego dnia obmawialiśmy „cywilów". Ależ tak! i my mamy różne słabostki ludzkie... i my lubimy bliźnim przypinać łatki, a wtedy, gdy Testurd, zwany „Kotem" opowiadał swe wrażenia z urlopu, „bliźnim" byliście wy, moi mili Paryżanie.

„Kot" tak nazwany, gdyż ma minę nastraszonego kota, był niezadowolony.

— „Ależ tak, zapewniam was, że oni tam „na tyłach" nic sobie z tego nie robią! Teatry, kinematografy, wszystko prze-

pełnione rozbawionym tłumem; w kawiarniach pełno strojnych kobiet; w restauracjach — ani weź! miejsc znaleść nie można po siódmej wieczór. Na ulicy szykowni „dekownicy“ prowadzą pod rękę eleganckie kobietki i rżą na bulwarach, jak pełnej krwi rumaki. A prócz tego wygłaszają uwagi idjotyczne, ci rozochoceni cywile!

Niektórzy z nich mówią: „Co do mnie, to swój obowiązek spełniłem“. Dowiaduję się, że złożył cztery złote luidory i wziął bilet bankowy.

Inni z minką skromną oświadczają, że „starają się być pożyteczni krajowi“ i raz na tydzień chodzą częstować rannych cukierkami i papierosami.

Jeśli im mówisz o błocie w okopach, odpowiadają ci: „I u nas także sprawa oczyszczenia miasta bardzo szwankuje“. Skarżysz się, że tornister bardzo cięży, gdy się idzie pod górę, a usłyszysz lekkie westchnienie i wyrazy ubolewania, że „teraz już trudno dostać się do dorożki lub auta, wychodząc z teatru“.

Wyrażasz pewność ostatecznego zwycięstwa, a usłyszysz wokoło narzekania: „Tak, zapewne, ale czy to jeszcze długo potrwa? Już od dwóch lat nie było wcale polowania; szczęściem pozostała choć „obława“:

A przedewszystkiem niech was nie bierze chętka opowiadania o owych skromnych czynach wojennych, gdyż natychmiast usłyszycie szepty: „Ponieważ mu się jednak nic nie stało, musi to być tchórz lub dekownik“.

Słowa te padały na otoczenie, jak krople nafty w rozżarzone ognisko.

— „A to dobre!“ woła Bourrn, „ci cywile kpią z nas jeszcze“.

— „Tak! tak“ — mruknął Sergjusz Arèse, sprytny żołnierz, „czy chodzi im choć o to, by nas zobaczyć z powrotem?“

Człowiek jest dziwnie towarzyskiem stworzeniem! Świadczy o tem waga, jaką przywiązuje do opinji. Przyjrzyjmy się tym żołnierzom, każdy z nich wie, że rodzina lęka się o jego los, a on w każdym liście zapewnia, że mu się dobrze dzieje, że w okopach jest wesoło, i prosi, by go nie żałować.

Gdy jednak ten sam człowiek dowie się, że ludzie nieznajomi nie troszczą się o niego, wpada w złość. Dalibóg! wie on dobrze, że jego bliscy są całem sercem przy nim, ale to mu nie wystarcza. Ponad wszystko chodzi mu o to, co „się“ mówi w ogóle, a „się“ oznacza łaoną kobietę, swawolnego wyrostka, starego zamyślonego jegomościa, różnych ulicznych przechodniów. Oni to, owi znajomi, których się raz widzi, a nie zobaczy więcej, przeklinani są, jeśli w ich oczach i postawie nie maluie się dość sympatji i uznania dla „Kota“, żołnierza na sześciodniowym urlopie w Paryżu.

Kot ma słuszność. Właśnie w tejże grupie stoi Gamblique, który lubi dysputować. W cywilu musi bardzo mądre tematy objaśniać w szkołach, w których uczą trudnych nauk.

— Nie bez licznych zastrzeżeń co do uwag — może zbyt pospiesznych naszego kolegi — mówi on — muszę wyznać, że i ja ganię cywilów, jeśli śmiechem i zabawami zdradzają, że nie podzielają stanu duszy żołnierzy, oddanych ciężkim i trudnym obowiązkom. Doskonale odgaduję rozumowanie, którem się uniewinniać próbują: „Cóż to szkodzi żołnierzom, że my się bawimy? Czyż przez to. że wyrzekniemy się śmiechu lub obiadu, będzie mniej szczurów i błota w ich okopach? Więc dalej, handlujmy, bawmy się!“ To sofismaty; mamy prawo wymagać większej solidarności ze strony naszych rodaków. Cywile powinni duchem jednoczyć się z nami. Naród jest braterstwem duchowem; jeżeli ty śmiejesz się, gdy ja narażam życie. nie jesteś mym bratem... Czyż ja nie jestem przedstawicielem w walce? Muszę czuć nieustannie w was wolę, zgodną z moją wolą, inaczej wątpię i dziwię się. Musi istnieć moralne współdziałanie“.

Profesor byłby dłużej tak wykładał, gdyby mu dano mówić Nam jednak chodziło o zdanie kolegi Tabourul, wysokiego, bladego marzyciela, który niekiedy bywał zapatrzony w dal, i jakby nieobecny, i którego podejrzywano, że jest trochę poetą... to znaczy, takim człowiekiem, co to odkrywa rzeczy nadzwyczajne tam, gdzie umysł zwykły widzi tylko pospolite i proste.

— „I ja także, przyjaciele, doznawałem podobnych wrażeń, gdy byłem w Paryżu. Po ośmiu miesiącach na froncie najłagodniejszy człowiek dziczeje. Widząc na ulicy mężczyzn i kobiety, ubrane nie po to tylko, by ciało przyodziać, lecz by dobrze wyglądać, gorszyłem się, jak człowiek dziki. Jak to? więc są ludzie, których interesuje kolor ich krawatu? którzy się martwią, że się spóźnili do tramwaju? którzy myślą o dobrym obiedzie? Daremnie obwiniałem się o małostkową zawiść, brała mnie chętka wykłócić się z kimkolwiek.

Ten zły humor opuścił mnie nagle. Jechałem koleją miejską; do mego wagonu weszły znienacka matka i córka, obie w żałobie. Młoda dziewczyna przypatrzywszy się mi, okazała zdziwienie, które zrozumiałem niebawem, gdyż widząc numer pułku na mej czapce, trąciła matkę łokciem i szepnęła:

— „Ach! mamo, to z pułku Pawła“.

Nigdy nie zapomnę głębokiej sympatji, jaką wyczytałem w oczach tych kobiet, którym przypomniałem poległego syna i brata. Oczy te mówiły: „My z waszej rodziny jesteśmy; ten numer pułku błyszczy w oczach naszych, jak tytuł do chwały.“ Wysiadając z wagonu ukłoniłem się z lekka, gdy mijałem nieznajome, i zdawało mi się, że z ust matki posłyszałem szept: „Niech Pan Bóg strzeże“.

Gdy wróciłem na ulicę, zdawało mi się, że już lepiej umiem czytać na twarzach cywilów i odkrywałem na nich różne odruchy sympatji.

Dalej na chodniku spotkałem starca o siwych włosach. Miałem zejść na ulicę, gdy uprzedził mnie i z szacunkiem usuwając się na bok rzekł: „Przepaszam!“

Te bratnie spojrzenia kobiet w żałobie, ta nieśmiała postawa starców, którzy jakoby nas przepraszali, że nie poszli z nami do okopów, nieraz jeszcze nasuwały mi się przed oczy w następnych dniach.

Pomyślcie przyjaciele moi, że ludność wielkiego miasta jest wielką mieszaniną. Nie sądźcie braci cywilów po zachowaniu się kilku tuzinów bezwstydnych hulaków. Widziałem na stacji, gdy nadjeżdżały pociągi z urlopnikami, tłumy drżące z niecierpliwego oczekiwania godzinami całemi, dla przywitania swych ukochanych żołnierzy. Słyszałem w kościele, przy dźwięku organów, gorące modły wznoszone za nas. Wiem że jest bez liku takich ognisk rodzinnych, gdzie wieczorami tylko o nas mówią. Opowiadano mi, ile ograniczeń narzucają sobie niektóre kobiety, by móc sobie pozwolić na wysłanie słodkich przysmaków swym ukochanym na froncie. Ze wzruszeniem patrzałem na wytworne damy, które od szesnastu miesięcy nie opuszczają wezgłowia szpitalnych łóżek, na których leżą ranni, a piękne marzycielskie twarze wielu z nich w ciągu tego czasu uwieńczyły się siwizną. Pewien wielki poeta wyznał mi, że płakał ze wzruszenia, myśląc o nas, dzielnych obrońcach francuskiej cywilizacji. Pewnego dnia, na ulicy, węglarz zaszedł mi drogę, by się dowiedzieć, co słychać na froncie; rozstaliśmy się po dłuższej rozmowie serdecynym uściśnieniem ręki.

A gdy wyjeżdżałem z Paryża, zdawało mi się, że turkotowi pociągu wtórują życzenia i obietnice...“

— „Ha! może on ma i słuszność“ — rzekł Bourrn odchodząc.

ROZDZIAŁ III.

BOLEŚĆ MISTRZA.

Fragmenty z prywatnego dziennika.

Mistrz — człowiek żyjący w wysokich sferach sztuki i filozofji, — pisał do mnie: „Przyrzekam panu współpracę mego najlepszego ucznia, chłopca dwudziestoletniego i naprawdę cudownego dziecka; nigdy w ciągu mego długiego zawodu nie spotkałem się z umysłem, któryby nosił równie wybitne piętno geniuszu. Kocham go jak syna; jest on moją chlubą; jego dusza, to arcydzieło, którem nie przestaję się zachwycać.“

Przed tygodniem doniosłem Mistrzowi, że uczeń jego zginął, trafiony kulą w czoło o kilka kilometrów stąd; został pochowany przez swego towarzysza na punkcie 304, a dziś otrzymałem odpowiedź na mój list.

Jakaż przerażająca i podniosła boleść! Kto nieraz już widywał rozpacz, sądzi, że poznał do dna głębię cierpień ludzkich. Niestety, ten nowy krzyk, który do mnie dochodzi, odkrywa przedemną tragizm nieznany i rzadki, przed którym staję oniemiały.

Widzę tego Mistrza, jakim był przed kilku laty: jeszcze nie starzec, ale już w tym wieku, gdy człowiek ma znacznie mniej drogi przed sobą niż poza sobą. Trudy jego uwieńczyła sława, ale w chwilach szczerych zwierzeń wyznaje on, ile pragnień niespełnionych zostawi po sobie.

Pewnego dnia zbliżyło się do niego dziecko, uczeń wybrany z pomiędzy wszystkich, których ukochał. Mistrz odkrył w jego duszy skarb geniuszu. Z początku powątpiewał: „czyż podobna? chyba ja się mylę.“ Ale nie; nabył pewności: „oto obok mnie rozwija się niepospolita inteligencja!“

Z namiętnością oddaje się swemu dziełu. Hoduje pieczołowicie ten umysł, by go doprowadzić do pełnego rozkwitu. Może on stanie się tym, któremu odda w ręce swoją pochodnię. Jakże uważnie i cierpliwie pielęgnować go trzeba. Ileż niebezpieczeństw czyha na tę bujną inteligencję! Trzeba nią kierować — a szanować jej oryginalność; strzec ją od niskich namiętności, które jak fala morska próbują zawsze podmywać duchowe wierzchołki.

Zadanie godne trudu i wysiłku. Kto pracuje nad rzeczami materjalnemi, kupiec, bankier czy kto inny w tym rodzaju, zawsze znajdzie następcę, ale człowiek, który jak Mistrz, życie całe poświęcił rozszerzaniu sfery poznania ludzkiego, na łamaniu szranków ograniczających umysł, aby światłu torować coraz dalszą drogę, musi w tem widzieć nieprzewidziane szczęście, jeśli znajdzie ucznia, zdolnego przejąć jego spuściznę duchową i pracę jego dalej prowadzić. Co za cudowne zrządzenie losu, i sam fakt przyjścia na świat młodego talentu, i odkrycie duchowego pokrewieństwa między nim a Mistrzem.

Wybucha wojna; uczeń musi wstąpić do szeregów. Jakaż tragiczna walka w sercu starego mistrza! A jeśliby kula... okropność! nie można myśleć o tem. Ale jakżeż! obowiązek narodowy jest niezłomny. Dla państwa ten młodzieniec, to sześćdziesiąt kilo mięśni, energja dostateczna dla władania karabinem, a ojczyzna w danym momencie tego właśnie potrzebuje, nie zaś umysłów zdolnych badać nowe dziedziny sztuki.

„A jednak“ — myśli mistrz — „mam zupełną pewność, że uczeń mój jest geniuszem, który z czasem stanie się chlubą Francji. Jako wojak odda usługi mierne; ma słabe zdrowie... w służbie biurowej znalazłby lepsze zastosowanie... mówiono, że można robić starania... Nie, nie! on zbyt szlachetny, zbyt czysty, by wolno było go poniżać, usiłując ustrzec od niebezpieczeństwa, na które każdy wystawić się powinien.“

Jakże okrutny dylemat musiał rozwiązać nasz filozof w swej głowie! Ten człowiek, miłujący sprawiedliwość nadewszystko, nie byłby się wahał ani chwili, gdyby szło o kogo innego. Czyż

jednak dla tak wyjątkowej istoty nie wolno złamać reguły? Jak każda wielka dusza, wybrał mistrz najboleśniejszą powinność.

On sam, nasz młodzieniec, jako jeden z najlepszych Francuzów, wyruszył ochoczo wraz z innymi piechurami t. j. z tymi, których śmierć najchętniej zabiera.

W liście, który świeżo odczytałem, są akcenty, które dreszczem przejmują... jakgdyby odkrywały jakieś tajemnicze głębie... Tu jest coś więcej, niż zranione uczucie, tu zdaje się, jakoby zdolność cierpienia zbudziła się nagle w owem chłodnem bóstwie duszy ludzkiej — w mądrości samej. Żale tego starca tchną jakąś metafizyczną boleścią; płacze nietylko nad ruiną własnych nadziei, lecz nad czemś nieziemskiem, co byłoby wielką jasnością zapłonęło nad światem, gdyby młody geniusz mógł przynieść owoce.

A tę boleść abstrakcyjną odczuwa tylko on jeden, stary filozof; nikt nie może jej z nim podzielać, gdyż nie jest w stanie ocenić tak, jak on, wielkich zapowiedzi talentu i rozumu, które zgasiła śmierć.

Czyżby mógł mnie dziwić krzyk buntu, który brzmi w tym liście? Rezygnacja u każdego innym rytmem płynie. Dusze pokorne, potulne umysły, czują się przygnębione ogromem świata, którego objąć nie mogą; szybciej poddają się fatalizmowi; nie są tak nieustannie nagabywane przez owe abstrakcyjne strapienia, które podsyca ciągła praca umysłu. A tymczasem mózg tego człowieka, przywykły do stałego operowania ideami, zwraca się przeciw niemu i zadaja mu tem większe cierpienia. Porusza wszystkie socjalne i etyczne zagadnienia i wprowadza je w grę. Co jest prawdą? Co jest sprawiedliwością? W wielkich przesileniach duchowych, umysły o wysokiej świadomości płacić muszą taki tragiczny haracz; piękne umysłowe konstrukcje, które wznieśli w duszy, walą się w gruzy — a potem odbudowywać je trzeba...

Jakże ciężką drogę krzyżową odbyć musi ten starzec; inteligencja jego będzie musiała zbudować całą serję pobudek, wiodących do pogodnego przystania na ofiarę. Ileż ojców, matek, żon, spełnia w tej chwili ów ciężki obowiązek życiowy podźwignięcia duszy z upadku, po huraganie boleści, który ją stargał; honor każe wszystkim podjąć ten obowiązek i spełnić go. I on się od tego nie uchyli. Już widzę błyski tego światła, które zajaśnieje w jego duszy, którą czarna noc rozpaczy ogarnęła. „Chciałbym wszystkim wyjawić jaką stratę ludzkość poniosła", pisze mi. Czem wytłomaczyć to pragnienie zapewnienia nieśmiertelności młodemu bohaterowi, jeśli nie chęcią podniesienia wielkości jego oflary i przyjęcia jej jako faktu wysokiej moralnej wartości?

Ach! któż może wiedzieć, ile jest wartą śmierć człowieka dla tryumfu wielkiej sprawy? Ten młody żołnierz był oczywiście tylko jednostką w swej kompanji lecz ja, jako oficer widziałem w nim, w ciągu jego krótkiego pobytu w wojsku, ognisko z którego promieniował duch poświęcenia. W koło niego krąży wyborny zastęp skromnych, prostych, hartownych dobrych chęci, obdarzo-

nych tęgiemi mięśniami. Czy nie sądzisz, drogi mistrzu, że ci chłopi musieli mniej więcej odczuwać w uczniu twoim, z twarzą bladą i wielkiemi rozmarzonemi oczyma, owe wspaniałe widoki przyszłości, które wraz z życiem narażał na zatratę, idąc obok nich w piekło bitwy? Jeśli tak ochoczo godzą się ponownie stawiać śmierci czoło, to może i dlatego, że człowiek, którego czekała sława i jej upajające rozkosze, stał pośród nich i obecnością swą mówił: „Moje nadzieje tyle warte — co i wasze — a wszystkie poświęcić trzeba, aby z ciał naszych stanął szaniec przeciw najazdowi wroga".

W przyszłości jakąż olbrzymią wartość społeczną mieć będzie ten młody geniusz, spoczywający w mogile! Dla tych, co po nim pójdą drogą, na którą on wstępował, pozostanie „tym, który byłby dokonał znacznie więcej." Może niejeden młodzieniec, któremu pycha podsuwa przekonanie, iż najwyższy stopień doskonałości osiągnął, myśląc o nim powie: „Tak daleko jeszcze nie zaszedłem." Może i to się przyda, gdy umierają młode geniusze, które nie zdążyły wydać owoców; one przyczyniają się do wytworzenia pojęcia ideału. Bez nich ideał byłby tylko abstrakcyjnem widzeniem w granicach możliwości, podczas gdy myśląc o nich, o tem, czego mogliby dokonać, ideał przybiera kształt konkretny, żywy i bardziej pociągający.

Mistrzu drogi, bezwątpienia, gdybym cię miał przed sobą, nie pisałbym tych słów, gdyby bowiem rozum twój wyolbrzymiał twą boleść, moje wątłe myśli rozwiałyby się w świetle bijącem od ciebie, lecz tymczasowo próbuję wyobrazić sobie drogi, jakiemi podążać będzie twój umysł w tak ciężkiej chwili.

Zdaje mi się, że odgaduję, jaką wartość nadasz w przyszłości twemu obecnemu cierpieniu... Mówisz mi o Bogu; mistykom przedstawia się on teraz jako Najwyższy Sędzia, wyrokujący o losach ludzi. By przechylić wagę na swoją stronę, każda rasa rzuca na szalę ofiary. Czujesz zapewne, że boleść tak wielka, jak twoja, gdy dobrowolnie przyjęta stanie się wzniosłą, — zaważy niemało dla tryumfu najczystrzego ducha synów Francji.

ROZDZIAŁ IV.

OBOWIĄZEK STRAPIONYCH.

Od pewnego czasu, zarówno wśród publiczności, jak w prasie, wszczynane bywają dyskusje, dotyczące zagadnień powojennych. Już teraz „eskontuje" się przyszłość. Każdy ją obrabia na swój sposób. W chwili, gdy jeszcze z otwartych ran narodów płynie krew, już ich mięśnie prężą się do nowego wysiłku.

Wśród bolesnych przesileń, takich, jakie obecnie przeżywamy, istotnie grozi niebezpieczeństwo całkowitego pogrążenia

się w bieżących troskach. Gdy przesilenie minie, dziwić się będziemy, że mamy jeszcze coś robić. Otóż żaden wysiłek, choćby najcięższy, nie jest ostatnim; walczyć, to nie tylko znaczy iść do ataku, lecz również przygotować się do pracy, która po ataku ma nastąpić. Takiem jest życie; domaga się ono, byśmy zawsze wzrok podnosili wyżej, ku odległym horyzontom przyszłości, inaczej — źle z nami.

To prawo odnosi się równie dobrze do narodów jak i do jednostek, ale choć wielu uznaje jego słuszność, gdy mowa o ogóle, to jednak jakże nle wielu zdobywa się na to, by je stosować do siebie osobiście!

Stwierdziłem to w ostatnich dniach, czytając różne, bardzo wzruszające listy, pisane przez rodziców lub żony, pogrążone w żałobie przez wojnę. Niejedna z tych osób osiągnęła już podziwu godny spokój. Wysiłkiem woli, odwołując się do najszlachetniejszych uczuć swej duszy, przyjęły bolesną ofiarę. Nie ma tam już łez ani okrzyków rozpaczy, lecz postawa pełna godności, powagi, a także uprawnionej dumy, że ich cierpienie przyczyniło się do wielkości Ojczyzny. To bardzo piękne, ale nie mniej odczuwam w głębi tych dusz, jakieś zrzeczenie się życia, a to jest smutne. Już nic ich nie interesuje; wypadki ślizgają się po nich, nie pobudzając ich do czynu, rodzaj zgorzknienia sprawia, że usuwają się od walki, dążą do odosobnienia, do życia poza nawiasem; przyszłość widzą tylko jako ciemną chmurę. Żałobą swą odgradzają się od świata i zdają się mówić: „już rola moja na tym świecie skończona, niech inni działają, ja niczego już nie pragnę, do niczego nie dążę.“

Jakież straszne stąd mogą wyniknąć następstwa dla przyszłości Francji.

Czas powojenny nieuchronnie musi się zaznaczyć ogromnem rozpętaniem sił duchowych i materjalnych.

Nieświadoma żądza życia weźmie górę u ludów; budować będą nowe społeczeństwo. Już zaczynamy odczuwać drganie nowych potęg. Historja ludzkości świadczy o tem, że to zjawisko jest nieuniknione... Gdy śmierć skończy swe dzieło, życie upomina się o swe prawa.

Wypłynie na wierzch wiele brzydkich objawów. Ludzie zmuszeni w czasie wojny do ograniczenia swych zachcianek, zechcą powetować czas stracony; rzucą się z pośpiechem do robienia grosza, do używania... Materjalne zabiegi pochłoną bardzo wielu. Najskwapliwiej użerać się będą w tej walce o pieniądz, o urzędy i wpływy ci, co nie ucierpieli przez wojnę. Gdy minie strach, podniosą głowy, obmacają sobie boki i powiedzą: „a więc wyszliśmy cało, nie potłuczono nas, w rodzinie nikt nle umarł.“ z nienaruszoną i niezachwianą siłą przystąpią do ataku.

Przewroty społeczne, towarzyszące wojnie, są doskonałą okazją dla śmiałków. Skorzystają z nich, będą działać, pracować, aby się wybić na wierzch.

Obok tego zgiełkliwego, zawziętego tłumu, czem będą ci, w których boleść sparaliżowała zdolność do czynu? Już z góry widzę, jak unikają okoliczności, w których ich żałoba mogłaby być krępującą, jak masy, pragnące jaknajszybciej zapomnieć o latach próby, odwracają się od nich. Niewątpliwie nawet ludzie całkowicie zmaterjalizowani nie odmówią objawów hołdu poległym bohaterom — wieńce, mowy uroczyste przy pomniku publicznym w dzień dorocznego obchodu — toć to tak mało kosztuje. Uczestniczenie w takich ceremonjach będzie nawet kwestją osobistej ambicji i próżności. Inna rzecz jednak, gdy chodzi o uczczenie tych, których zmarli pogrążyli w nieutulonym żalu, Nie miłym jest widok smutku bliźniego i wielu odsunie się od twarzy, na których jeszcze łzy nie obeschły.

Grozi nam to, że wśród jutrzejszego społeczeńswa powstanie nowa grupa społeczna, ludzi strapionych, żałobników wojny. Ojcowie i matki. pozbawione chęci działania, bo „na cóż to wszystko, kiedy j e g o niema", tego, dla którego się żyło i pracowało, — wdowy i dzieci których od działania powstrzyma nieśmiałość, gdyż odwaga słabnie bardzo, w braku silnego opiekuna, w którym się miało oparcie, — wszystkie te „ofiary wojny" oddalać się będą od „świata", coraz więcej zamykając się w sobie, dumne, przeczulone, lęklwe, w miarę jak wir życia zdaleka omijać je będzie. Ich wpływ na życie Francji, ocalonej krwią ich bliskich, spadnie do zera.

Gdy się o tem myśli, powstaje w duszy protest. Nie można na to pozwolić, by ci „inni" zagłuszyli strapionych. Ci, co dziś opłakują poległych, stanowią społeczną elitę. Żołnierz, który śmiercią stwierdził swą waleczność, miał duszę taką, jak i oni, podniósł ich do swego poziomu. Ta arystokracja nie powinna zaginąć. Wszystkie istoty osierocone przez wojnę mają pewien nastrój uczuciowy, który wedle mego mniemania zwiększa ich zdolność przejmowania się cudzem cierpieniem, wynikającą stąd zdolność do poświęceń, żywe poczucie narodowego honoru, przejęcie się obowiązkami rodzinnymi i przyjacielskimi. Boleść rozwija subtelność uczuć, tłumi egoizm, wyolbrzymia altruistyczne popędy. Już dawno zauważyli to moraliści, ze człowiek, który się raz poświęcił, staje się nadal gotowym do ofiar.

Wszystkie te zalety i wiele innych, o których na razie mówić nie będę, posiadają dziś ogromną wagę społeczną. Jakże by zubożała nasza ojczyzna, gdyby wśród innych prądów, myśli i uczuć, zabrakło tych, których źródło tryska w sercu zranionem! Nie zapominajmyż, że idealne, szlachetne cierpienia wiodą jednostki i narody do wyższego uduchowienia życia.

Ddla tego to strapieni winni zwalczać każdy taką postać smutku, któraby unicestwiała ich wolę i pęd do życia. Niechaj pamiętają, że polegli na polu walki zlecili im obowiązek zastępstwa. Duch umarłych ma żyć wśród nich, nie zaś gasnąć w ich bezwładzie i bezczynności.

Wielki zastęp bohaterów silnych i zwycięskich, przebywających w niebie, nie może tu na ziemi mieć swego równoważnika w bladych widmach, milczących, pochylonych i nieużytecznych.

Wedle odwiecznych praw, myśli i czyny będą się i nadal ścierały ze sobą; każdy z nas, każdy z naszych umarłych reprezentuje jakiś ideał; dążcie więc do stwierdzenia go w przyszłej Francji.

ROZDZIAŁ V.

PRAWO DO ŚMIECHU.

Grudzień 1916 r.

Urlopnik, rzucony na bruk paryski, patrzy na życie zupełnie nowemi oczyma. Pewnego dnia skorzystałem z tego. Z wielkiej restauracji wychodził młodzieniec, pulchny i wesoły, w towarzystwie dwuch ładnych uśmiechniętych kobiet. Wiemy wszyscy, że nieraz dość rzucić okiem na przechodnia, by powiedzieć: „A to szczęśliwi!" lub też „Ach! biedacy!" Tym razem nie było wątpliwości. Wystarczyło spojrzeć na kapelusz, zsunięty z czoła mężczyzny, na błyski białych zębów u kobiet, by mieć pewność, że mamy przed sobą ludzi szczęśliwych.

Jakaś kobieta w żałobie widocznie się uczuła dotkniętą tem bezczelnem szczęściem, które raniło jej zbolałą duszę, gdyż rzuciła zgryźliwą uwagę:

— „Jak to można tak hulać w czasie wojny!"

— „Jeszcze czego", odparł mężczyzna tonem, który miał wyrażać uosobniony zdrowy rozsądek. „Czy to zmniejszy klęski wojny, gdy będę łykał suche kartofle i oblewał łzami? Kto mi broni bawić się? Nie skrzywdziłem nikogo."

To banalne zajście, które ani na chwilę nie zmąciło zwykłego nastroju paryskiej ulicy, wpłynęło na bieg mych myśli. Różnorodne wrażenia zaczęły mnie uderzać wiążąc się w mym umyśle w tragiczne zagadnienia. Przed jakimś sklepem zauważyłem spojrzenie kobiety czarno ubranej, która przeszyła wzrokiem elegancką i śmiałą postać innej kobiety. Dzieci o smutnych oczach przyglądały się wesołym zabawom rówieśników. Obok starców, trzymających się prosto, snuli się inni zgarbieni, jakgdyby przytłoczeni ciężarem cierpień. Szczęście i nieszczęście ocierały się o siebie, mijały i krzyżowały na ulicach Paryża.

Wznosząc się myślą ponad tę całą ciżbę, myślałem: „Czyż naprawdę szczęście ma prawo się rozpościerać tam, gdzie większość narodu boleść uciska?"

Na pyranie to najprzód odpowiadała sucha logika. Radość jest pożyteczną w życiu zbiorowem. Czemuż ją potępiać w czasie wojny? Biedne istoty ludzkie tak jej potrzebują! Ich śmiech — bądź co bądź, jak słusznie zauważył ów jegomość, nie ma naj-

mniejszego wpływu na wypadki. Czyż gdyby wszystkie twarze nałożyły maskę obłudnego smutku, ulżyłoby to boleści tych, co we łzach toną? Czyż zbytek, wybryk uciechy, nie stanowi części naszego rodzinnego przemysłu? Aby pomyślność Francji mogła się utrzymać, potrzeba nam ludzi którzy się śmieją. A dalej, czyż nie stanowi to o pewnej wytworności w czasie wojny, gdy się żałobę nosi z pogodą i spokojem? Czyż głos powszechny tysiącznem echem nie powtarza wesołości naszych żołnierzy? Czemuż cywile mieliby się jej zarzekać? Czyż nie wysławiamy również tych żołnierzy, co ginęli ze śmiechem na ustach? To wspaniałe przykłady do naśladowania.

A jednak nie! Mimo tych wszystkich rozumowań, jakiś głos mówił mi, że w obecnym czasie szczęście winno być dyskretne. Gdy logika rani serca, widocznie myli się, lub też może istnieje wyższa od niej logika, pozostająca w zgodzie z naszemi uczuciami.

Krążąc wśród paryskiego tłumu, czułem silniej niż kiedykolwiek, jak błędne są teorje, które człowieka traktują jak odosobnioną jednostkę. Zwłaszcza w takich czasach. jak obecne, jednostka jest niczem. Wojna nie jest sprawą osobistą tego lub owego z pomiędzy nas; jest sprawą wszystkich. Naród musi stanowić obraz zbiorowości, zjednoczonej wszystkiemi myślami i całą sumą wysiłku dla wspólnego celu.

Otóż większość z pośród nas wiele znieść musi, czy to w mundurze żołnierza, patrzącego śmierci w oczy, czy pod żałobną krepą, walcząc z moralnem cierpieniem, znosimy z godnością i mężnie, ale nie mniej trzeba wiele siły woli, by nie poddawać się ponurej grozie rzeczywistości.

Jeżeli obok smutnych i zmartwionych wybucha zuchwale wesołość, czyż nie rodzi to w ich duszach zwątpienia? Ci, co obrali drogę poświęcenia, ciężkiego trudu, mogą postawić sobie pytanie, czy nie zostali oszukani, boć ci inni, nie biorący żadnego udziału w ich ciężkiem zadaniu, nie mniej we wszystkich korzyściach zwycięstwa uczestniczyć będą. Może wtedy dzielimy się na „spryciarzy“ — i ich przeciwieństwo?

Oto wdowa zmartwiona, nie chce wywoływać współczucia i na tem zasadza swój punkt honoru, by smutek w sobie zamknąć. Jeśli jednak w koło niej pieni się hałaśliwy śmiech, ileż będzie jej trzeba mocy charakteru, by odpędzić myśl, że jej bohater — już zapomniany — był tylko nieszczęsną ofiarą... A ten żołnierz, który — nim skórę zaryzykuje — ze zdumieniem widzi, jak ludzie na tyłach nie przestają troszczyć się o zabezpieczenie swych samolubnych pospolitych przyjemności przeciw wszelkim wypadkom, czyż powróciwszy do okopów, będzie miał istotnie przekowanie, że wojna jest wspólnem zadaniem cywilów i wojskowych, zjednoczonych uczuciem i myślą? Nie.

W pociągu, który mnie wiózł do Paryża dn. 1 sierpnia 1914 roku, wśród powszechnego wezbrania uczuć, gdy na wszystkich twa-

rzach wykwitała patryjotyczna duma, gniew, trwoga, zauważyłem jakąś starą pannę, siedzącą spokojnie w kącie wagonu, z pieskiem na kolanach i czytającą bez przerwy powieść: „Salonowa gra miłości.“ W Meaux, gdy przez drzwiczki wagonu chłopak krzyknął: „Rozlepione plakaty o mobilizacji!“ — podróżna podniosła głowę, rzuciła pytanie i rzekła: „Ach! tak“ — i znowu pogrążyła się w czytaniu

Przez kilka minut między mną, Francuzem, a tą kobietą, taka powstała odległość, jakgdyby ona była murzynką ze Środkowej Afryki.

Dla zaspokojenia naszych najgłębszych uczuć, trzeba, aby wojna zacisnęła węzły moralnej i materjalnej solidarności, łączące naród. Nikt nie zgodzi się na to, by jego wspólnik w interesach spacerował sobie z założonemi rękoma, gdy on się mozoli, każdy wyparłby się swego brata, gdyby on bawił się i śmiał, kiedy jego żałoba dotknęła. *Sympatyczni* są nam ci ludzie, których uczucia są w harmonji z naszemi; w przeciwnym razie są antypatyczni. Tragiczne przejścia obecne wymagają wzmocnienia węzłów sympatji w obrębie narodu.

Duszom wyższym wystarczy niewątpliwie ich własne poczucie spełnionego obowiązku. Nie oglądają się na to, co obok nich myślą i mówią drudzy. Działają wedle własnego sumienia, a ich poświęcenie wydaje im się tem piękniejsze, że sami tylko je widzą. Podziwiajmy tych bohaterów duchowego życia, lecz nie bądźmy takimi utopistami, by wymagać od wszystkich zastosowania ich przykładu.

Jeśli osoby zmartwione mają w tem punkt honoru, by boleść swą w sobie zamykać, niechże nawzajem ci, co osobistych cierpień uniknęli, zdobędą się na tyle delikatności, by swej wesołości nie wystawiać na pokaz. Przez ten obustronny wysiłek woli, dojdziemy do takiego nastroju ogólnego, który stanie na wysokości wielkiej epoki, jaką przeżywamy.

ROZDZIAŁ VI.

LITERATURA i ŻOŁNIERZE.

Biuletyn Armji (Bulletin des Armées) stawia następujące pytanie żołnierzom frontowym: „Czy waszem zdaniem to, na co patrzycie, co przeżywacie i czynicie, jest przez literatów na tyłach odtwarzane wiernie i traktowane w sposób odpowiedni i stylem właściwym?“

Pytanie to nasunęło mi następujące uwagi:

Walczący żołnierze czytali zrazu z pobłażliwym uśmiechem ową literaturę tyłową, która przedstawiała ich nieodmiennie w postaci żołnierza wesoło dowcipkującego, który drwi ze wszyst-

kiego i ze śmiechem na ustach idzie na kule i granaty, o nic nie dbając. Taki portret podobał mi się. Czyż sami go nie malowali pisząc do rodzin, gdy, chcąc uspakajać swych najbliższych, zaprawiali swe listy żartami i żołnierskimi rubasznymi zwrotami?

Ten typ żołnierza przerodził się niebawem w komicznie karykaturalną figurę, „relutona", chciwego na wszelką „wsuwę" i na tytoń, śmiejącego się, gdy mu „kuferki" sypią na głowę, hodującego uprzejmie wszy, rozmiłowanego w błocie okopów, jako w nieomylnem lekarstwie na wszystkie choroby, począwszy od reumatyzmu do neurastenji... Słowem, żołnierz stał się w literaturze jednostką zdziczałą, rubasznie jowialną, doznającą nieustanie przygód zabawnych a nadzwyczajnych.

Obecnie ta karykatura jątrzy walczących; wystarczy posłuchać, jak klną i łają wszelkiemi wyzwiskami opowiadania i obrazki wojenne, by mieć pojęcie, czy autorowie trafnie malują stan duszy żołnierza.

Prócz rozdrażnienia walczących, kiedy widzieli, jak ich owa literatura przedrzeźnia i poniża, można było stwierdzić i inne ujemne następstwa tego kierunku twórczości.

Gdy dziś rozmawiamy z żołnierzem, powracającym z urlopu, słyszymy zawsze: „Ach! ci cywile, oni nic nie rozumieją i nic im wytłumaczyć nie można". W tysiącznych anegdotkach będzie on próbował zchakteryzować przykrości i starcia wynikające stąd, że on, człowiek fachowy, naraz znalazł się w otoczeniu nie mającem pojęcia o jego fachu.

To wrażenie rozdźwięku jest powszechnem u żołnierzy, o ile to dotyczy odcieni uczuciowych w stosunku z ludźmi; gdy chodzi o wielkie patrjotyczne zasady, oczywiście o harmonję jest łatwo.

Przez liczne pytania i rozmowy doszedłem do wniosku, że literatura zbłądziła.

Obecnie Indność cywilna, nawet w kołach najlepiej wtajemniczonych, jest zasuggestjonowana, powiedziałbym nawet odurzona — literackim wizerunkiem typu żołnierskiego. Oczekuje ona po swych krewnych, przybywających z frontu, objawów bezgranicznego optymizmu, wybuchów hałaśliwego humoru, bohaterskiego krasomówstwa — i sposobi się na słuchanie opowiadań o czynach nadzwyczajnej waleczności, poświadczonych licznymi medalami i odznakami. Tymczasem na jednego „bohatera", który wraca obwieszony dekoracjami, z głową pełną wielkich wspomnień, przypada stu dzielnych, którzy spełniali po prostu wiernie swą powinność za cenę wielkiego niebezpieczeństwa, lecz bez widoków sławy. Całymi miesiącami tkwili w swych okopach, wciąż ostrzeliwanych, na których nigdy nie zatknięto sztandaru. Ci wytrwali i mężni „pracownicy wojny", o ile nie są obdarzeni fantazją a chcą być szczerzy, przebywając na urlopie, odczuwają jakgdyby milczący wyrzut ze strony otoczenia.

„Czy otrzymasz niedługo Krzyż walecznych“ — rozpytują ich troskliwie.

„Ilu szwabów zakłółeś swym bagnetem?“ pyta drżąc młoda dziewczyna.

Ktoś inny mówi jeszcze: „Czy znasz tego X? cóż za wspaniały człowiek! od jedenastu miesięcy bije się jak lew w Wogezach“.

Jakże tu wytłumaczyć tym wszystkim ludziom, zresztą pełnym dobrych chęci, że bić się na froncie, to w większości wypadków znaczy siedzieć w wilgotnym rowie, kryć się przed granatami i szrapnelami, które czyhają na każdego, kto głowę wychyli, że zasługa polega na odpędzaniu snu, na zadawalnianiu się lichem pożywieniem i na ciągłem oczekiwaniu wybuchu podziemnej miny, która może lada chwila wszystkich wysadzić w powietrze. Byłoby trudną rzeczą opisywać wszystko, byłoby to nudne i rozwlekłe, gdyż nie starczyłoby wymienienie grożących niebezpieczeństw, lecz trzebaby je opisać wzruszającym efektownym stylem, aby pobudzić współczucie,—zatem lepiej dać spokój.

To też żołnierz mniej wymowny milknie, przygnębiony poczuciem swej małości; w drugim dniu urlopu skromnie w cień się usuwa, by nie razić nieudekorowaną piersią; czwartego dnia wstydzi się już, że ma członki całe i skórę nieprzyozdobioną żadną blizną po zaszczytnej ranie, a szóstego dnia wraca na front z pewną ulgą w głębi duszy, zadowolony, że znajdzie się wśród towarzyszy, którzy go rozumieją.

Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że winna tu nietylko literatura. Niektórzy żołnierze, wyrafinowanie sprytni, zaraz odgadli, czego potrzeba cywilom, i ile można na tem zyskać, gdy się naiwnym słuchaczom rzuca pełną garścią różne banialuki.

To też w szpitalach, naprzykład, można codziennie słyszeć gadatliwych a pełnych fantazji relutonów, jak olśniewają „białe panie“ opisywaniem bajecznych awantur, jak, naprzykład, ich pluton wziął armat dwadzieścia i byłby sam jeden poszedł do Berlina, gdyby formalny rozkaz dowództwa nie powstrzymał go w zapędach.

W ogóle odbywa się między literaturą a żołnierzami pewne nieświadome współpracownistwo, wzajemna suggestja. Żołnierz zaczyan od tego, że dla dodania otuchy swoim, sadzi się dobry humor, a przechwala się odwagą dla zjednania sobie sympatji. Literatura pochwyciła to i na swój sposób uwydatniła, nie chcąc zaś znaleźć się poniżej opinji, jaka o nim panuje, żołnierz musiał również przenieść głos o ton wyżej. Wtedy autorów poniosło; wszczął się szalony wyścig, który ukończył się wytworzeniem tego dziwoląga żołnierza, postaci cudacznej i śmiesznej, na którą nasze wnuki z osłupieniem patrzeć będą, pytając, czy podobna, by ich dziadowie należeli do tak pociesznego pokolenia ludzi.

Pewna odpowiedzialność spada również na publiczność, zblazowaną jaskrawymi opisami wojny i wymagającą coraz to sensacyjniejszych opowieści. Na początku wojny, gdy mówiłeś, że

o trzydzieści metrów od ciebie padł granat, 77 m m, dreszcz przechodził po otoczeniu, później dla wywołania tego samego efektu trzeba było pocisku 210 m m. wybuchającego najwyżej na odległość dziesięciu metrów. Dziś, o ile nie zapewnisz, że 420 mm. pocisk wybuchnął tuż o kilka centymetrów od ciebie, nie zainteresujesz nikogo.

Należałoby wyjść z tego błędnego koła; walczący warci są czegoś lepszego niż nasza „literatura żołnierska", by ogół poznał ich zasługi i ich czyny w pamięci zachował.

Niewątpliwie są między nimi ludzie weseli, lecz niechże czytelnik zrozumie, że ta wesołość jest cudowną zdobyczą silnej woli, która dumnie odtrąciła pokusę zniechęcenia i smutku. Bezwątpienia są oni dzielni, ale nie zapominajmy, że na wojnie w najpospolitszych, najpowszedniejszych momentach, wiszą nad nimi najstraszniejsze niebezpieczeństwa, oraz że odwaga — wedle znakomitego określenia — jest przezwyciężeniem trwogi.

Póki z tego punktu widzenia nie oświetli literatura duszy żołnierza, póki nie ukaże nieustannego naprężenia jego woli, zmagania się z lękiem, ze smutkiem i uszlachetniającego duszę wyniku tej walki — póki tworzyć będzie postacie sztuczne, nie mające żadnego powinowactwa z rzeczywistością.

Wiem dobrze, że dyletanci czystej wody, unoszący się w wyższych sferach sztuki, zaprotestują w imię praw literatury do tworzenia fikcji, przypomną, że bohaterowie Kornela nie mieli swych pierwowzorów z ciała i kości. Czytelnik nie żąda niczego więcej, byle powieść była zajmująca. Nie przeczę. Nie myślę bynajmniej odmawiać czytelnikom prawa do złudzeń, ani autorom prawa do wolnego wyboru tematów do swych dzieł w skarbnicy rzeczywistości. Nikt lepiej odemnie nie rozumie, jaka różnica zachodzi między pracą reporterską a literacką, a jestem jaknajgłębiej przekonany, że dopiero dzieła poetów zdołają wyrazić wszystko cośmy myśleli, czuli, przeżywali wciągu tych tragicznych lat. Sądzę jednak także, że przyszłe arcydzieła będą musiały korzeniem tkwić w rzeczywistości naszego żołnierskiego życia, a nie opierać się na sztucznem rusztowaniu zmyśleń, fabrykowanych w swawolnej fantazji pisarzy aktualnych. Należy wniknąć do duszy żołnierza, odczuć jej dreszcze, pozytywne wyobrażenia jej ujawnić, przejąć się jej mistycznymi porywami i utrwalać je w słowach, by przyszłym pokoleniom przekazać godny wizerunek tych, co ginęli za ojczyznę. Mówi się często, że we Francji jutrzejszej, żołnierzom przyzna się szczególne przywileje. Być może, że są jakieś próby w tym kierunku. Jeśli mistrze naszego piśmiennicwa, ci, co nas dawniej zachwycali, chcą nadal naszem uznaniem się cieszyć, niechże nas przedstawiają, jako ludzi zupełnie po ludzku żyjących, lecz postawionych w obliczu rzeczywistości straszliwej, a zasadzających swą wielkość na tem, by energja ich zdołała stawić czoło grozie najstraszniejszych metod niszczenia, jakie kiedykolwiek geniusz ludzki wynalazł.

BIBLIOTEKA NARODOWA
45516
Świerczewskiego

SPIS RZECZY.

CZĘŚĆ PIERWSZA. DUSZE DOWÓDCÓW.

Rozdział I. Przykład 5
„ II. Przed bitwą 7
„ III. Ten, co się sam narzucił 11
„ IV. Pan i niewolnik 13
„ V. Jak się zdobywa powagę. 16
„ VI. Rozmyślania na pogrzebie 19
„ VII. Na zimowych leżach 23
„ VIII. Śmierć bohatera 26
„ IX. Spóźniony 32
„ X. Głos przyszłości przed atakiem 34
„ XI. Karabiny maszynowe 2-go ba-onu 38
„ XII. Rocznica zwycięstwa 41
„ XIII. Ofiara z odwagi 44
„ XIV. Raz wieczorem opowiadał generał 46
„ XV. Pamięć towarzyszy broni 48

CZĘŚĆ DRUGA. W CZASIE BITWY NAD MARNĄ.

Rozdział I. Pochód na nieprzyjaciela 57
„ II. W pochodzie przez Pikardję 60
„ III. Na forpocztach. Widma nocne 68
„ IV. Ront nocny 71
„ V. Walka ze snem 73
„ VI. Niespodzianka 76
„ VII. Ofensywa 78
„ VIII. W pościgu za nieprzyjacielem 84
„ IX. Wyrzuty sumienia na polu bitwy 89
„ X. Śmierć mego porucznika 94
„ XI. Dumania w ambulansie nad psalmami Dawida . . 97
„ XII. Mistyka wojny 108
„ XIII. Skrucha kapitana 117

CZĘŚĆ TRZECIA. ROZMYŚLANIA.

Rozdział I. Tej, która nie chce płakać 123
„ II. Po powrocie z urlopu 125
„ III. Boleść mistrza 128
„ IV. Obowiązek strapionych 131
„ V. Prawo do śmiechu 134
„ VI. Literatura i żołnierze 136

BIBLIOTEKA
ASG
NAUKOWA
A/ 53077